

**PAULINA HENDEL**

ZAPOMNIANA KSIĘGA  
**STRAŻNIK**



NASZA KSIĘGARNIA

**PAULINA HENDEL**  
ZAPOMNIANA KSIĘGA  
**STRAŻNIK**

NASZA KSIĘGARNIA



# ROZDZIAŁ I

- Hubert, wstawaj. Za dziesięć minut mamy zbiórkę na śniadanie.
- Jeszcze pięć minut. – Hubert sennie odwrócił się na drugi bok.
- Jak chcesz, ale ja nie zamierzam się przez ciebie znowu spóźnić. – Ernest wyszedł z hotelowego pokoju, trzaskając drzwiami.

Hubert, mamrocząc coś pod nosem, zwlókł się z łóżka i pomaszerował do łazienki. Z wciąż zamkniętymi oczami wymacał kran, odkręcił zimną wodę i ochlapał nią twarz. „No, można zacząć dzień” – pomyślał, przeglądając się w lustrze. Zerknął na zegarek. „Jeszcze pięć minut, kupa czasu” – stwierdził z zadowoleniem. A poza tym i tak nigdzie bez niego nie mogli pójść. Generał Goebbels, jak nazywali nauczycielkę, już dopilnuje, żeby zwiedzanie Paryża nie ominęło żadnego z jej uczniów. Nie było szans zaszyć się w hotelowym pokoju na całe przedpołudnie.

Zapowiadał się udany dzień. Plan wycieczki zakładał, że przed obiadem dostaną czas na zakupy. A Hubert w swoim siedemnastoletnim życiu już się nauczył, by wszystkie plany dopasowywać do siebie. Bo co to za zabawa robić to, co ci każą? Tak więc gdy klasa będzie się szwendała po uliczkach pełnych sklepów z pamiątkami, on z Ernestem wymknie się spod czujnego wzroku pani generał i pod szklaną piramidą przy Luwrze spotka uroczą Christelle i jej koleżankę.

Jeszcze chwilę ponapinał bicepsy przed lustrem, umył zęby, przeczesał palcami gęste, jasne włosy, ubrał się i zapomniawszy zamknąć pokój na klucz, popędził do jadalni. Wszyscy już pozajmowali miejsca przy stołach i jedli. Generał Goebbels spojrzała na Huberta krzywo, więc posłał jej swój najbardziej rozbajający uśmiech.

W tłumie dostrzegł rudą czuprynę Ernesta i ruszył w jego stronę.

– Siadaj, zająłem ci miejsce. – Przyjaciel nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

– O, nawet zrobiłeś mi kanapki. – Hubert z szerokim uśmiechem wskazał talerz Ernesta. – Szynka i dużo sera. Na ciebie zawsze można liczyć. – Klepnął kumpla w łopatkę.

Z Ernestem przyjaźnił się od zawsze. Od zawsze też pakował go w kłopoty. Nauczyciele mówili, że ich znajomość jest toksyczna i mają na siebie zły wpływ. Nie zdawali sobie sprawy, że gdy rodzice chłopców kiedyś postanowili ich rozłączyć, było tylko gorzej. Wybrali więc mniejsze zło i pozwolili tej przyjaźni trwać.

Nie dało się zaprzeczyć, że to za namową Huberta chłopcy wagarowali i chodzili na piwo, co kończyło się szlabanami i obniżonymi ocenami z zachowania. Zatem co ciągnęło Ernesta do beztroskiego łobuza, który nigdy nic nie brał na poważnie? Otóż była to pewność, że w prawdziwych kłopotach zawsze może na niego liczyć. Tak jak wtedy, gdy mieli po osiem lat, a starsi chłopcy na boisku zabrali Ernestowi piłkę i chcieli go pobić. Hubert bez wahania, z walecznym okrzykiem, rzucił się przyjacielowi na pomoc. Skończyło się na kilku siniakach i podbitym oku, ale tamci już nigdy im nie dokuczali.

– Przed nami widzimy katedrę Notre-Dame – ciągnęła przewodniczka monotonnym tonem. – Wzniesiono ją na wyspie na Sekwanie. Jest to budowla gotycka, zasłynęła na świecie dzięki powieści Wiktora Hugo, *Dzwonnik z Notre-Dame*. Jej nazwę tłumaczymy jako „Nasza Pani”. Oczywiście chodzi o Matkę Boską.

Hubert ziewnął. Nikt nie zwracał uwagi na ten monolog. Kilka osób podrygiwało ze słuchawkami w uszach, dziewczyny plotkowały na uboczu, a chłopcy opowiadali sobie niewyszukane kawały.

– Teraz wejdziemy do środka. – Przewodniczka poprowadziła grupę do ciemnego wnętrza katedry.

Panował tam przyjemny chłód. Turyści spacerowali to w jedną, to w drugą stronę, rozmawiając szeptem. Znudzeni licealiści, niczym stado bezmyślnych owiec, podążali za przewodniczką. Hubert się rozejrzał. Dużo witraży i marmurów. I o co tyle hałasu? Bo ktoś kiedyś wymyślił historyjkę o garbatym dzwonniku?

Z ulgą powitał chwilę, gdy wyszli z katedry, a nauczycielka oznajmiła donośnie:

– Teraz macie dwie godziny czasu wolnego. Tylko nie rozłazić się za daleko!

Uczniowie liceum z Poznania rozpierchli się we wszystkich kierunkach.

– Idziemy. – Hubert pociągnął Ernesta za rękaw od bluzy.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zawahał się jego przyjaciel.

– Pewnie, że tak. Za piętnaście minut będziemy pod Luwrem, tam posiedzimy z dziewczynami jakieś półtorej godzinki, pójdziemy na jakieś piwo czy coś, a potem wrócimy tutaj. Nikt się nie skapnie.

– No nie wiem...

Ale było już za późno na wątpliwości. Hubert bezceremonialnie ciągnął przyjaciela w stronę Luwru.

– Jak znów przez ciebie będziemy mieli obniżone zachowanie... – zaczął Ernest.

– Ernio, Ernio... – Hubert pokręcił głową. – Mnie już nie mają na co obniżać.

Po piętnastu minutach ich oczom ukazało się olbrzymie muzeum.

Hubert wyrzucił ramiona w górę i zawołał:

– To się nazywa wolność!

– Raczej głupota. Mam tylko nadzieję, że ta Christelle będzie tego naprawdę warta.

– Zobaczysz, że będzie. – Hubert poklepał przyjaciela w ramię i ruszył pewnym krokiem przed siebie.

Stanęli przed szklaną piramidą. Dziewczyn nie było jeszcze widać. Zegary wybiły dwunastą. Stada gołębi wzbily się do lotu. Tłumy ludzi spacerowały bez pośpiechu po placu. Turyści wchodzili do muzeum i z niego wychodzili niczym mrówki w mrowisku. Była jeszcze wczesna wiosna, ale Paryż, stolica zakochanych, nawet przed sezonem przyciągał tysiące zwiedzających.

– I niby co takiego fajnego tu jest? – zastanawiał się Hubert, szukając w tłumie znajomej dziewczęcej sylwetki. Tylko hordy ludzi, żadnego ustronnego miejsca.

– Przejdźmy się kawałek – powiedział Ernest. – Czuję się jak idiota, koczując pod tą piramidą.

Odeszli na koniec Place du Carrousel i odwrócili się twarzami w stronę Luwru. Dopiero z tej odległości mogli objąć wzrokiem całe muzeum.

– Już jest piętnaście po, a dziewczyn nadal nie wi... – zaczął Hubert, ale resztę jego słów pochłonął huk.

W pierwszej chwili pomyślał, że pękła opona przejeżdżającego samochodu, ale kiedy spojrzął na muzeum, wszystko na ułamek sekundy zastygło w bezruchu. A potem Luwr eksplodował. Dosłownie. Najpierw środek budynku, a potem oba skrzydła. Chłopcy, jak zakłęci, patrzyli na scenę wyjętą prosto z filmu sensacyjnego. Huk się powtórzył, a fala uderzeniowa zmioła turystów znajdujących się najbliżej budynku. Szklana piramida rozpadła się na miliony srebrnych kawałków lecących z ogromną prędkością w stronę chłopców. Hubert podniósł ręce w geście obronnym. Zanim siła wybuchu go odrzuciła, kątem oka zobaczył, że olbrzymi kawał gruzu leci wprost na Ernesta. Potem zapadła ciemność.

– Nie uwierzysz, co mi się śniło – wymamrotał Hubert, przewracając się na drugi bok i wkładając rękę pod poduszkę. – Terrorysty wysadzili Luwr...

„Co za poryty sen – myślał. – Cholera, zaraz zbiórka”. Powoli zaczęły wracać mu zmysły. Słuch, dotyk, węch – wszystkie dostarczały błędnych informacji. Wcale nie słyszał krzątającego się po pokoju Ernesta, to, co miał pod głową, ani trochę nie przypominało miękkiej poduszki, a zapach stęchlizny i rozkładu nie pasował do trzygwiazdkowego hotelu.

– Co jest? – szepnął i otworzył oczy.

Otaczała go ciemność. Odrobina światła wpadającego przez zabite deskami okienko pod sufitem pozwoliła mu rozpoznać kontury stolika na środku pokoju, szafy pod ścianą i drzwi.

– Gdzie jestem? – Podniósł się na łokciach, a świat zawirował. Coś go strasznie rwało w boku. Miał na sobie starą koszulę, poprzecierane dżinsy i dziurawe skarpetki. Śmierdział. Potem, brudem i... krwią.

Powoli usiadł na łóżku zasłanym zakurczonymi kocami i opuścił stopy na betonową podłogę. Ręką przetarł oczy i twarz. Czuł się jak na olbrzymim kacu. Wszystko go bolało, świat huśtał się raz w jedną, raz w drugą stronę. W ustach miał Saharę i nie mógł zebrać myśli.

– Witamy wśród żywych. – Ktoś wszedł do pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Świeże powietrze buchnęło Hubertowi w twarz.

– Gdzie jestem? – zapytał, zmuszając spuchnięty, zdrętwiały język do współpracy.

– W moim domu niedaleko Czarnej – wyjaśnił mężczyzna. – Mam ci współrzędne podać czy co? – mruknął, widząc tępe spojrzenie chłopaka. – To taka mała wioska jakieś sto kilometrów od morza – wyjaśnił już łagodniej.

Trybiki w mózgu Huberta powoli i opornie zaczęły się obracać.

– Napij się. – Mężczyzna podał mu blaszany kubek pełen wody z domieszką czegoś paskudnego. – Śmiało, poczujesz się lepiej – dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Hubert duszkiem opróżnił naczynie. Rzeczywiście, po chwili świat przestał już tak obłąkańczo się kołysać i nabrał wyraźniejszych konturów. Nadal siedząc na łóżku, chłopak tępym wzrokiem obserwował, jak mężczyzna od zapalki odpala... lampę naftową. Przez chwilę w zdumieniu wpatrywał się w ten zabytek. Nieznajomy wszedł, ale wrócił po kilku minutach, niosąc dwie srebrne puszkę. Światło lampy się w nich odbiło. Hubert znów przeniósł wzrok na tego dziwnego faceta. Był niewysoki, chudy, z czupryną szpakowatych włosów. Poruszał się szybko i ciągle się nerwowo rozglądał. Ubranie miał stare i byle jakie, najprawdopodobniej szmaty z lumpeksu, nosił też trochę za dużą, czarną skórzaną kurtkę i wojskowe buty.

– Głodny? – zapytał, machając w stronę chłopaka puszką.

– A bo ja wiem... – Hubert wruszył ramionami, wszystko tak go bolało, że nie był w stanie myśleć o głodzie. – Strasznie rwie mnie w boku. – Delikatnie włożył rękę pod koszulę i natrafił na bandaż.

– Dziwisz się? – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Taka dziura zawsze rwie.

– Dziura... – powtórzył głucho chłopak.

„Co się tu, do cholery, dzieje? A co jeśli to w Paryżu stało się naprawdę?”. Zimny pot spłynął mu po plecach. Tyle ludzi zginęło... Ernest! Przypomniał sobie olbrzymi kawał betonu lecący na przyjaciela.

– Czy ja jestem nadal we Francji? – zapytał mężczyznę, który teraz otwierał puszkę.

– We Francji? – zdziwił się. – Dlaczego mielibyśmy być we Francji? Jesteśmy w Polsce, na Pomorzu.

A więc to tylko sen. Hubert się uspokoił. „Sen... no właśnie, co jest snem? Atak terrorystyczny na Luwr czy przebudzenie w bunkrze z jakimś dziwakiem? A może oba te zdarzenia?” – pytał się w duchu.

– Trzymaj. – Mężczyzna podał mu otwartą puszkę i powyginaną łyżkę. – Uważaj, bo gorące. A jak będziesz chciał coś przeciwbólowego, to mów, mam jeszcze trochę. Ale za to wybiorę sobie coś w zamian z twojego worka.

„Mojego worka? – zdziwił się Hubert, grzebiąc łyżką w puszcze pełnej kaszy z gulaszem. – To ja mam w ogóle jakiś worek?”.

– Jurek jestem – przedstawił się facet. Najwyraźniej nie przejmował się problemami gościa i z zapalem pałaszował swoją porcję.

Chłopak spojrzał na niego pytająco i dopiero po chwili dotarło do niego, co powinien zrobić.

– Hubert – rzucił.

Dalej posilali się w milczeniu. Wcale nie miał ochoty na kaszę, ale jadł z rozsądku. Najprawdopodobniej był chory, a więc ciepły obiad powinien postawić go na nogi. Próbował przypomnieć sobie, co się stało i jak tu trafił, ale mózg odmawiał wykonywania tak skomplikowanych poleceń.

Kiedy pochłonął całą zawartość puszkę, zmorzył go sen. Uważając na bolący bok, położył się na łóżku, przykrył śmierzdzącym kocem i odpłynął w nicłość.

Ocknął się w tym samym miejscu, zatęchłym, ciemnym bunkrze. Jurek siedział przy stole, zwrócony do niego plecami, i przecierał coś szmatą.

– Która godzina? – zapytał Hubert.

– Za jakieś dwie godziny zacznie się zmierzchać – odparł mężczyzna, nawet się nie oglądając.

– Jest tu jakaś toaleta?

– Kibel? Idź na dwór.

– A woda?

– Przyniosłem trochę w wiadrze, jest w łazience na górze. – Jurek odwrócił się do niego, w ręku trzymał rozebrany na części pistolet. – Dasz radę dojść?

– Chyba dam. – Hubert powoli dźwignął się z łóżka i opierając o ściany, wyszedł z pomieszczenia.

Okazało się, że jest w piwnicy jakiegoś domu. Bez trudu odnalazł schody i wspiął się po nich. Zobaczył zrujnowane mieszkanie. Po podłodze wały się poniszczone meble i sprzęty domowe. Szyby były powybijane, okna zabito deskami. Gdzieś wisiły resztki burych firanek. Przez otwarte drzwi napływało rześkie, zimne powietrze.

– Co to za nora? – Hubert rozglądał się dookoła z niesmakiem.

Odnalazł łazienkę, która wcale nie wyglądała lepiej niż reszta domu. Zlew i sedes rozbite, krany powyrywane ze ścian, żaden kafelek nie był cały. Obok drzwi stało wiadro wypełnione wodą. Hubert z trudem przy nim przykląkł i zamoczył ręce w zimnej cieczy. Obmył twarz i kark, co sprawiło, że od razu poczuł się lepiej, choć woda była lodowata.

Podniósł się i wtedy zobaczył kawał lustra prowizorycznie przyczepiony do ściany. W pierwszej chwili pomyślał, że wzrok płała mu figle, bo ten ktoś, czyje odbicie widział, po prostu nie mógł być nim. Miał ciemniejsze, brudne i zaniedbane włosy, twarz dojrzałą, naznaczoną bliznami i zmarszczkami. Oczy zionęły pustką. Do tego jeszcze kilkudniowy zarost. Hubert badał twarz opuszkami palców, ale odbicie ani trochę się nie zmieniło.

– Co się, do diabła, dzieje? – zapytał obcego faceta w lustrze, ale ten nie odpowiedział.

Krzywiąc się z bólu, zdjął koszulę. Z boku zobaczył opatrunkiem nasiąknięty krwią. To ciało też nie mogło należeć do niego. Było potężniejsze, bardziej muskularne, na brzuchu nie miało ani grama tłuszczu, nieodłącznego towarzysza Huberta. A poza tym cały tors i przedramiona przecinały drobniutkie blizny. Nie przyszło mu do głowy, że takie pamiątki mogą pozostawić tysiące szkiełek z wysadzonej w powietrze szklanej piramidy.

– Wyglądam nieźle – stwierdził z aprobatą. Odzyskał dobry nastrój. To mu się podobało. Nie miał już chudego ciała z wystającym brzuchem. Obecne musiało należeć do żołnierza, było męskie, dobrze zbudowane i pobliźnione. Marzenie każdego nastolatka. – Szkoda tylko, że nie jestem wyższy.

Chociaż rana w boku go bolała, spróbował naprężyć mięśnie przed lustrem.

Postanowił sprawdzić, co się kryje pod opatrunkiem. Przygryzając dolną wargę, delikatnie odkleił bandaż od skóry.

Skrzywił się z obrzydzeniem na widok rany ściągniętej kilkoma szwami. „Co mi się stało? Co ja robiłem, że tak oberwałem? A może tam w Paryżu umarłem i wcieliłem się w jakiegoś komandosa?”.

Zaczynało mu się trochę kręcić w głowie, więc nałożył znów opatrunek, narzucił koszulę i wyszedł na dwór. Był w gęstym lesie. Kiedy załatwił potrzebę, wrócił do piwnicy. Jurek właśnie otwierał kolejne puszkę z jedzeniem.

– Mam nadzieję, że lubisz kaszę z gulaszem, bo tej akurat nam nie brakuje – powiedział do Huberta.

– Niespecjalnie, ale głodny nie wybrzydza – odparł. – Możesz mi wyjaśnić, co się stało? Jak się tu znalazłem?

– A skąd mam wiedzieć? – Jurek podał mu otwartą puszkę.

Hubert zaczął grzebać łyżką w swoim posiłku. Jakie pytanie zadać temu facetowi, by otrzymać sensowną odpowiedź? Nie miał pojęcia, gdzie jest ani co się wydarzyło. Co było snem, a co jawą? Czy zaraz się obudzi w hotelowym łóżku? Albo w szpitalu po tym ataku terrorystycznym? Jego umysł wciąż był zamulony, nie myślał jasno.

– Ty naprawdę nic nie pamiętasz? – Jurek przyjrzał mu się badawczo. Jego ciemne oczy sprawiały wrażenie, jakby chciały przeświecić Huberta na wylot.

Chłopak pokręcił bezradnie głową.

– Przedwczoraj wywalileś mi drzwi z zawiasów – wyjaśnił mężczyzna. – W nocy – podkreślił. – Nie wiem, jakim trzeba być wariatem, żeby samemu po ciemku pałętać się po lesie. Nic nie mówiłeś, ledwie się trzymałeś na nogach. A ta rana z boku wyglądała naprawdę paskudnie. To co miałem z tobą zrobić? Sprowadziłem tu na dół, opatrzyłem i pozszywałem. Ale po co żeś tu przylazł i skąd, nie mam pojęcia. Aha, pozwoliłem sobie przejrzeć ten twój worek. Za usługę lekarską wziąłem kurtkę. Jak będziesz chciał więcej leków, to dorzucisz też bagnet.

– Mój worek... A gdzie on jest? – Hubert zmarszczył czoło, po raz kolejny słysząc o czymś, czego nie pamiętał.

Jurek machnął łyżką w stronę wielkiego worka żołnierskiego leżącego w kącie. Chłopak, wiedziony ciekawością, odłożył ledwie ruszoną kaszę i podszedł do tajemniczego bagażu. Był ciężki, więc Hubert musiał się trochę namęczyć, żeby dociągnąć go do łóżka, a potem na nie rzucić. Próbując ukryć szok, zaczął powoli rozpakowywać zawartość. Była naprawdę interesująca i z całą pewnością nie mogła należeć do siedemnastolatka. Na posłaniu znalazło się coś, co wyglądało jak ruska pepesza z gazety o militariach, i materiałowa torba wypełniona amunicją. Po chwili wylądowała obok niej strzelba z garścią naboii. „Na niedźwiedzie?” – przemknęło Hubertowi przez myśl. Jeszcze pistolet z napisem Colt 1911, kilka granatów z wykręconymi zapalnikami, zapalniczka, bagnet i nóż myśliwski. „Co ja jakieś muzeum wojskowe okradłem?”. W worku miał jeszcze trzy litrowe butelki z wodą, puszkę z jedzeniem, dwie bluzki z krótkimi rękawami, kilka par bielizny, wojskowe spodnie i bluzę, w kieszeni której znajdowały się zapalniki.

„Jezu, to nie może być moje – myślał Hubert. – To się nie dzieje naprawdę, nie może”. Pokręcił głową, zamknął oczy, ale kiedy je otworzył, nadal tkwił w tej ciemnej piwnicy, której powoli zaczął nienawidzić.

– Dobrze się czujesz, chłopcze? – zapytał Jurek. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Nic nie rozumiem. – Hubert czuł, że za chwilę się rozklei. – Co ja tu w ogóle robię? Przecież byłem na wycieczce w Paryżu... miałem się spotkać z Christelle pod piramidą, a potem... potem był ten wielki wybuch. Wyszadziłem Luwr w powietrze! Obudziłem się tutaj. To już nie jest zabawne, chciałbym wrócić do domu, obudzić się. – Ukrył twarz w dłoniach.

Jurek przypatrywał mu się uważnie.

– Kiedy to było? – zapytał.

– Nie wiem, wczoraj, przedwczoraj...

– Chłopcze, Luwr wysadzili w kwietniu siedem lat temu. – Mężczyzna mówił powoli i spokojnie.

– To na pewno nie było siedem lat temu. Może to jakiś inny zamach?

– A o ilu zamachach na Luwr słyszałeś? No właśnie. Siedem lat. I nic od tamtej chwili nie pamiętasz? – Jurek przypatrywał mu się uważnie. Płomień lampy naftowej odbijał się w jego oczach.

– Nic, totalna pustka. – Hubert przetarł dłońmi twarz. – To jest niemożliwe. To mi się śni, prawda? Zaraz się obudzę...

– Nic ci się nie śni.

– Nie mogłem przespać siedmiu lat! – wykrzyczał poirytowany chłopak.

– No raczej. – Mężczyzna spojrzał wymownie na arsenał wyłożony na łóżku. – Musiałeś ostatnio dostać porządnie w głowę i masz częściową utratę pamięci. Tak ja to przynajmniej widzę.

Hubert znów ukrył twarz w dłoniach. A więc dlatego miał takie superciało. Wcale nie wcielił się w żadnego komandosa! Był starszym sobą! Miał teraz dwadzieścia cztery lata. Siedem lat z jego życia zniknęło. Co przez ten czas robił? Co z jego rodziną i znajomymi?

– Trzymaj. – Jurek szturchnął go w rękę, podając kubek wypełniony do połowy.

– Co to?

– Wódka.

Hubert jednym haustem opróżnił naczynie. Zapiękło go w gardle i niemal się zakrztusił, ale już po chwili poczuł się lepiej. Płyn przyjemnym ciepłem rozlał się po organizmie. Jurek jeszcze raz dołał mu wódki.

– Trzymałem ją na specjalną okazję, ale cóż, chyba tobie jest bardziej potrzebna – stwierdził gospodarz. Nalał sobie trochę alkoholu do kubka, a butelkę postawił przy łóżku gościa.

Hubert próbował pozbierać myśli. Jeżeli to sen, to niedługo się obudzi, a jeśli nie... no to cóż, przecież musi wiedzieć.

– To co się działo przez te siedem lat? – zapytał w końcu.

– Armagedon – odparł Jurek. – Kiedyś ktoś powiedział, że choć nie wie, jak będzie wyglądała trzecia wojna światowa, to jest przekonany, że czwarta odbędzie się na kije i kamienie. Ale to nie była wojna. Bez wielkich bitw, o których można potem przeczytać w książkach. Bez widzialnego wroga. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje. Wszystko potoczyło się tak szybko. Cały świat legł w gruzach. Korea Północna uderzyła w Stany. Podejrzewano, że Chiny też maczały w tym palce. Jednego dnia, ósmego kwietnia, w całej Ameryce odpalono kilkadziesiąt bomb. Samochody pułapki, zamachowcy... Uczyłem wtedy historii w szkole, kiedy dotarły do nas te wiadomości. Niedługo potem ktoś zaczął odpalać ładunki w większych miastach Europy i Ameryki Południowej. Podejrzewam, że ty byłeś w Paryżu, kiedy to się stało...

Hubert za jednym zamachem wypił całą zawartość kubka i ponownie go napełnił.

– Mam mówić dalej? – zapytał Jurek. Widać, że było mu żal chłopaka.

Hubert pokiwał głową.

– To była całkiem niezłe zorganizowana akcja. Nie wiedzieliśmy, kto, kogo, gdzie i kiedy zaatakuje. Jeszcze tego samego dnia ktoś wpuścił wirusa do sieci. Wirusa, który wykasował wszystko. Internet przestał działać. Nie dało się komunikować, ludziom poznikały pieniądze z kont. Wyobraź sobie, jaką reakcję mogło to wywołać. Wszystkie bazy danych szlag trafił. Tłumy wyszły na ulice, zaczęły się rozruchy i strajki. Następnego dnia wysiadł prąd, nie było wody ani gazu. Globalna katastrofa. Do tego zaczął się rozprzestrzeniać paskudny szczep grypy. Ludzie padali jak muchy, naukowcy nie zdążyli opracować szczepionki... Z dnia na dzień było coraz gorzej. I jeszcze ten impuls. – Jurek pokręcił głową.

– Jaki impuls?

– Impuls elektromagnetyczny. Broń straszliwsza niż bomba atomowa. Korea groziła, że zaatakuje nim Stany, później się okazało, że impulsem dysponowało co drugie państwo na ziemi. To było jak domino, nikt nie spodziewał się podobnych rezultatów; jeden impuls uruchamiał kolejny i w jednej chwili na całym świecie diabli wzięli wszystko, co działało na prąd.

Ataki terrorystyczne wywołały panikę, tak samo jak grypa, brak internetu i wody, ale zniszczenie całej elektroniki okazało się ciosem ostatecznym. Wtedy dopiero zobaczyliśmy, jak bardzo byliśmy uzależnieni od prądu. Ludzie sami dokończyli dzieła zniszczenia. Włamania, kradzieże, morderstwa zdarzały się na porządku dziennym. Nikt już nie był pewien swojej przyszłości. Policja i wojsko nie mogły temu zaradzić, ich systemy też padły.

Wyginęły całe masy ludzi, a ci, którzy przeżyli, mordowali się nawzajem. Panika wyzwoliła w nich najniższe instynkty. Dopóki mieliśmy jako taki kontakt ze światem, szacowano, że zginęło trzy czwarte ludności na całej Ziemi. Potem wiadomości z zewnątrz się urwały. Grypa zabiła wszystkich, których znałem...

Hubert wpatrywał się tępo w ścianę. Jak przetrwać taką wiadomość? Że spełniła się jedna z najgorszych postapokaliptycznych wizji? „Koniec świata naprawdę się wydarzył” – pomyślał gorzko.

– A co z rządem? Wojskiem? – zapytał. – Przecież ktoś musiał przeżyć.

– Nie wiem, jak to wygląda w innych krajach. – Jurek wzruszył ramionami. – Ale słyszałem, że u nas na południu jest jakaś baza wojskowa. Tam ukryło się kilku wojskowych... tych, którzy przeżyli. Ale co robią, nie mam pojęcia i jakoś niespecjalnie mnie to interesuje. Średnio umieli zająć się nami, gdy był pokój, więc nie sądzę, byśmy znaleźli u nich pomoc po armagedonie.

– A co z moją rodziną? – zapytał Hubert szeptem.

– Skoro teraz jesteś sam, to podejrzewam, że im się nie udało – mruknął Jurek. – Przykro mi, młody.

Jeszcze noc wcześniej mężczyzna przypuszczał, że gości pod dachem zaprawionego w bojach dojrzałego faceta. Teraz jednak miał przed sobą załamanego nastolatka, którego świat zawałił się w jednej chwili.

Hubert nalał sobie kolejną porcję wódki i wypił ją jednym haustem. Chciał zagłuszyć słowa, które przed chwilą usłyszał, przestać czuć, a przede wszystkim pragnął się obudzić w pokoju hotelowym w Paryżu. Potem urwał mu się film.

Obudził się następnego dnia rano. Było mu niedobrze, głowa go bolała, świat wirował, a rana w boku znów dawała o sobie znać. Jurek podał mu wodę po piciu, potem na siłę wcisnął trochę jedzenia. Godziny zlewały się ze sobą. Hubert budził się często, wychodził na dwór za potrzebą, potem życzliwy gospodarz wmuszał w niego jedzenie i wodę. Chłopak tracił orientację, kiedy jest dzień, a kiedy noc. Czasem zdawało mu się, że słyszy z zewnątrz jakieś hałasy, krzyki, zawodzenia, jednak nie zwracał na nie uwagi. Nie zastanawiał się też, dlaczego Jurek często rygluje drzwi do piwnicy.

Kiedy się obudził kolejny raz, opiekun dał mu tylko trochę wody, a potem wyciągnął na spacer do lasu.

– Musisz się przewietrzyć, inaczej w życiu nie dojdiesz do siebie – tłumaczył.

Ale Hubertowi wszystko było obojętne. W sercu miał ogromną pustkę, której nic nie było w stanie wypełnić.



– Na Boga, weź się w garść! – zniecierpliwiał się Jurek, kiedy dreptali leśną ścieżką. – Rozumiem, że to nie był najlepszy tydzień w twoim życiu, ale musisz się jakoś pozbierać.

Nagle Hubert stanął jak wryty. Pewna myśl uderzyła go z siłą tarana.

– Chcę odnaleźć rodziców – powiedział. – Nie mam pojęcia, co robiłem przez te wszystkie lata, ale muszę dowiedzieć się, co się z nimi stało.

– Wiesz, że to jest raczej bezcelowe? – Jurek spróbował ostudzić jego zapał. – A poza tym podróżowanie w pojedynkę może być dość niebezpieczne...

– Nieważne. Po prostu muszę to zrobić.

Nowy cel pulsował w jego umyśle niczym supernowa po wybuchu. Porzucenie tego pomysłu oznaczało powrót do zięjącej w sercu otchłani.

– Posłuchaj, młody. Zostało na tym świecie mało ludzi i każdy dba o swoje interesy. Nikt ci nie pomoże – tłumaczył Jurek.

– Ty mi pomogłeś – powiedział Hubert dobitnie.

– Tak łatwo teraz zginąć – westchnął ciężko. – I nigdy nie wiesz, co się czai w ciemnościach...

Ostatnie zdanie towarzysza sprawiło, że w mózgu chłopaka zapaliła się ostrzegawcza lampka.

– A co się czai w ciemnościach? – zapytał.

– Nie chciałem tego mówić, jeszcze nie teraz. – Jurek pokręcił głową. – Kiedy zabrakło prądu i tych wszystkich zdobyczy cywilizacji, z których byliśmy tacy dumni, z ciemności zaczęły wylazić upiory. Strzygi, ghule i wszystkie inne stwory, które przez setki lat ukrywały się przed nami. Teraz się już nas nie boją, a są bardzo głodne.

– Chwila, nie rozumiem. – Umysł Huberta wciąż nie mógł się dopasować do nowej rzeczywistości. – Jakie strzygi, jakie ghule?!

– Wszystko to, w co kiedyś wierzyli ludzie, to prawda.

– To wcale nie jest zabawne.

– Bo to nie jest żart. – Jurek nie wyglądał na rozbawionego. – Myślisz, że po co każdej nocy zabarykadowuję drzwi? Kilka miesięcy temu mieszkałem tu z przyjacielem. Wieczorem, jeszcze nie było nawet ciemno, wyszedł na zewnątrz i wiesz, co się stało? Nigdy nie wrócił. Usłyszałem tylko krzyk, a kiedy wybiegłem z domu, jego już nie było. Zobaczyłem tylko krew na ziemi. Szukałem ciała, ale nigdy go nie znalazłem. Zabiłem deskami okna i rygluję drzwi. Nie chcę, żeby coś, co go zabiło, wdarło się do domu. A ty chcesz, ot tak sobie, wyruszyć do Poznania!

– Muszę – powiedział cicho Hubert.

Kolejne dni były dla Huberta takie same. Godzinami włóczył się po lesie, rozmyślając nad swoją sytuacją, nad tym, co powiedział Jurek. Wiele razy próbował przypomnieć sobie cokolwiek z minionych siedmiu lat. Nadaremnie. Umysł dwudziestoczworoletka funkcjonował na poziomie umysłu siedemnastoletka. Zaczął się więc zastanawiać, czy nie trafił w jakąś pętlę czasową i po prostu nie przespał tego okresu.

Zrozumiawszy, że chłopak nie zrezygnuje z poszukiwań rodziny, Jurek podarował kompanowi mapę Polski.

– Może nie być aktualna – przestrzegł – ale naniósłem na nią trochę poprawek.

Hubert rozłożył mapę na stole i dokładnie się jej przyjrzał. Niektóre obszary były pokreślone.

– Co to znaczy? – zapytał chłopak, wskazując na krzyżyki na drodze do Poznania.

– Że droga jest zupełnie nieprzejezdna – odparł nauczyciel. – Falowana linia jest w miejscach, gdzie kiedyś się natknąłem na nieprzyjemnych typów. Mogą migrować, jednak na wszelki wypadek lepiej ich unikać. Żółta linia to wsie, gdzie nadal żyją ludzie, ale nie lubią obcych, więc na ich tereny też się nie zapuszczaj. Właściwie to unikaj wszystkich, teraz każdy dba o swoje interesy: najpierw strzela, potem pyta. Aha, prawie bym zapomniał, jakieś dwadzieścia kilometrów na południe, o, tutaj – Jurek wskazał na mapie niewielką kropkę – jest opuszczona miejscina. Może uda ci się znaleźć tam coś do jedzenia.

Hubert długo wpatrywał się w mapę, aż trasa podróży powoli zaczęła się układać w jego umyśle.

Następnego dnia postanowił ruszyć w drogę.

– Nadal uważam, że to nie jest dobry pomysł – powiedział przy śniadaniu Jurek. – Powinieneś unikać miast, a nie pchać się do jednego z największych w Polsce.

– Nie mieszkaliśmy w samym Poznaniu. – Hubert z niechęcią grzebał w puszcze z kaszą i gulaszem, miał jej już naprawdę dosyć. – Mieliśmy dom na peryferiach.

– Jak sobie chcesz. – Gospodarz pokręcił głową. Zazwyczaj nie pomagał obcym, ale ten chłopak był wyraźnie zagubiony i miał w sobie coś, co sprawiało, że nie mógł przejść obok niego obojętnie. – Tylko pamiętaj, nie włócz się nigdzie po zmroku – dodał. – Najlepiej nocuj w opuszczonych domach, ale przedtem dobrze sprawdź, czy nic tam nie siedzi, a na progu zostaw trochę jedzenia. To może udobruchać różne stwory. No i zasada stara jak świat: nie podążaj w nocy za błędnymi ognikami.

- Błędny ognikami? Jak one wyglądają?
- Nie mam pojęcia. Nie znam nikogo, kto by przeżył spotkanie z nimi.
- Czyli tak naprawdę nie wiesz nic o żadnych stworach?

Jurek pokręcił głową.

– Kiedyś ludzie przekazywali sobie wiedzę, jak unikać tych potworów, jak je rozpoznawać, znali sposoby na ich ułaskawienie i zabicie. Dzisiaj nie wiemy na ten temat nic.

Gdy zjedli śniadanie, Hubert zarzucił na plecy swój wojskowy worek. Stał z Jurkiem na progu domku.

- To się trzymaj, młody... I nie daj się zabić – pożegnał go zdawkowo gospodarz.
- Dziękuję za wszystko. – Chłopak podał mu rękę, a potem ruszył wąską ścieżką przez las.

## ROZDZIAŁ II

Wiosna była chłodna, trawa błyszczała rosą w promieniach wschodzącego słońca. Z ust Huberta wydobywały się obłoczki pary. Liście na drzewach jeszcze nie zdążyły się w pełni rozwinąć, co wcale nie przeszkadzało ptakom świergotać zapamiętałe na gałęziach. „Świat wcale nie wygląda źle po tej apokalipsie” – pomyślał chłopak. Najwyraźniej nie wszystko jeszcze szlag trafił.

Po około trzech godzinach wąska ścieżka zamieniła się w zarośniętą polną drogę. Jeżeli nie zabłądził, to niedługo powinien dotrzeć do asfaltu, a potem jeszcze dwa kilometry i znajdzie miasteczko, o którym mówił Jurek. Na razie nie natknął się na żadne ślady cywilizacji.

W południe, kiedy worek z bronią zaczął już mu naprawdę ciążyć, zatrzymał się, żeby coś zjeść i się napić. Usiadł na trawie i z ciekawością wydobył z bagażu paczkę wojskowych sucharów SU-2.

– No to zobaczymy, czym żywi się nasze wojsko. – Ugryzł pierwszy kęs i zamarł. – Chryste!... – jęknął.

Suchary okazały się paskudne. Były twarde, a jakiegokolwiek walory smakowe zostały stłumione przez olbrzymie ilości kminku. Popicie ich wodą niewiele pomogło. Dał radę zjeść tylko dwa, resztę schował do kieszeni, zarzucił worek na plecy i ruszył dalej.

Dwie godziny później nadal nie odnalazł asfaltowej szosy.

– Zabłądziłem – mruknął i ze złości kopnął zmurzały pieńek leżący mu na drodze. – Gdybym kiedyś nie używał ciągle GPS-u w komórce, to może teraz umiałbym czytać mapy.

Miał już serdecznie dość podróży. Gubił drogę, pogryzły go komary spragnione świeżej krwi, był głodny i zły. Zatęsknił za domem, za smacznym jedzeniem, czystymi ubraniami i przede wszystkim gorącym prysznicem.

Pod wieczór trafił wreszcie na asfaltową drogę, a do miasteczka dotarł, gdy się już ściemniało.

– Co za upiorna wiocha – mruknął, idąc opuszczoną ulicą i patrząc na pozostałości domów. Wszystkie miały powybijane okna, dwa były w kompletnej ruinie, inny budynek świecił dziurą w dachu. Las zaczął się już upominać o swoje i powoli, centymetr po centymetrze, wkraczał do miasta. Trawniki w dawnych zadbanych ogródkach zamieniły się w gęsty busz, wszędzie rosły samosiejki, pomiędzy powykrzywianych płyt chodnikowych wystawały kępki trawy, uparcie walcząc o przestrzeń życiową.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Hubert znalazł dom, który nadawał się na nocleg. Najpierw dokładnie sprawdził wszystkie pomieszczenia, choć kiedy wchodził na piętro, bał się, że strop może się zawalić. W ogródku nazbierał gałęzi i po wielu nieudanych próbach udało mu się rozpalić ogień w kominku.

– Oby komin nie był zapchany – mruknął pod nosem, grzejąc dłonie przy płomieniach. – Inaczej się tu uduszę... Chociaż... śmierć we śnie chyba nie jest taka zła.

Po kilku minutach podgrzał kolację z puszki, pamiętając, żeby trochę jedzenia zostawić na progu domu. Jakoś nie bardzo wierzył w to, co mówił Jurek o tych wszystkich stworach, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Położył się na kanapie śmierdzącej pleśnią, lecz nim zasnął, długo jeszcze rozmyślał. Uparcie wracało do niego pytanie, czy naprawdę tak to wszystko się skończyło. Czy większość ludzi wymarła, a reszta zamieniła się w półdzikie zwierzęta? Ciężko przyswoić takie wiadomości. Ci, co przeżyli, oswajali się z sytuacją siedem lat, on – zaledwie kilka dni. Jeszcze tydzień temu był zadowolonym z siebie licealistą, czerpał z życia pełnymi garściami, nie myśląc o jutrze, teraz miał dwadzieścia cztery lata i cały jego świat legł w gruzach. Na razie nie dopuszczał do siebie myśli o tym, co zrobi, gdy w domu nie znajdzie żadnego śladu rodziców. W końcu zapadł w sen o dziwnych stworach i światelkach.

W środku nocy zbudził go hałas.

– Co jest? – szepnęła, przecierając dłońmi zaspane oczy.

W pierwszej chwili zupełnie nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie mógł zogniskować wzroku na cieniach w zrujnowanym pokoju. W końcu pamięć wróciła, a oczy przyzwyczyły się do ciemności. Hubert po cichu usiadł na kanapie, wziął do ręki pistolet i mechanicznie go odbezpieczył. Przez chwilę zastanawiał się, jakim cudem wie, jak to zrobić.

Hałas na dworze się powtórzył.

– I co teraz? – zapytał sam siebie. Nie miał najmniejszej ochoty sprawdzać, co to takiego, ale uznał, że nie zmrzyży oka, dopóki się nie przekona, iż wszystko jest w porządku.

Na palcach wyszedł z pokoju i skierował się do drzwi wyjściowych. Spróbował wyjrzieć przez okno, ale niewiele mógł zobaczyć przez szpary między deskami, którymi je zabito. Położył dłoń na klamce, serce z każdą chwilą biło mu coraz

szybciej. „Nie chcę, naprawdę nie chcę się przekonywać, co tam jest” – pomyślał i powoli uchylił drzwi. Wyrzwał ostrożnie na zewnątrz, wciąż trzymając pistolet w gotowości. Ulicę oświetlała słaba księżycowa poświata. Krzewy i drzewa poruszał delikatny wiatr. Świat wydawał się spokojnym i bezpiecznym miejscem.

Hubert cofnął się znów za próg domu. I w tej właśnie chwili usłyszał tupot, a kątem oka zauważył ciemny kształt pędzący po drodze. Błyskawicznie odwrócił się i wycelował broń, lecz cokolwiek zakłóciło spokój wymarłej ulicy, zniknęło. Chłopak jeszcze chwilę stał na progu, żeby upewnić się, że nic więcej nie grasuje po okolicy, a potem wszedł do domu, zastawił drzwi przewróconą szafą i wrócił do pokoju, w którym spał.

„Jestem sam – myślał – zupełnie sam. Nikt nie wie, gdzie jestem. Cokolwiek może tu przyleźć, zeżreć mnie i nikt się o tym nie dowie. Nikogo nie zainteresuje moja śmierć”.

Stanął pod ścianą i przyłożył do niej czoło. Była zimna i ani trochę nie dawała ukojenia.

– To wszystko jest popieprzone! – powiedział na głos, rzucając pistolet na kanapę.

W tej chwili broń wystrzeliła i zrobiła dziurę w szafie. Nagły huk tak przestraszył Huberta, że chłopak się skulił.

– Idiota! Kretyn! – zaczął wyzywać siebie, a potem w bezsilnej złości skopał ścianę, aż zrobił w niej całkiem spore wgniecenie.

Później wyładował złość na szafie i kanapie. W końcu jednak się zmęczył tym napadem furii i opadł na łóżko.

– Chciałbym obudzić się w domu – jęknął, przykrywając się brudnymi kocami.

Rano znalazł w ogródku dziko rosnące warzywa. Nabierał, ile tylko mógł, w końcu świeże warzywa to nie paskudne zarcie z puszek. Spojrzał w kierunku progu domu. Z lekkim niepokojem dostrzegł, że zostawione tam jedzenie znikło.

– Na pewno jakieś dzikie koty – mruknął niepewnie.

Potem rozpoczął poszukiwania. Wchodził do każdego domu, rozglądając się za niezbędnymi przedmiotami. Znalazł trochę jedzenia w puszkach, kilka pudełek zapalek, a nawet paczkę makaronu i soli. Jednak większość budynków była zupełnie zdewastowana. Wyglądały, jakby banda dzikusów urządziła w nich niezłą imprezownię. W niektórych zamieszkały zwierzęta – koty, lisy, natknął się nawet na kilka młodych, które szczeknęły na niego cienkimi głosikami, a potem się rozpierzchnęły. Hubert w pośpiechu opuścił ich legowisko, nie chciał wypłoszyć matki szczeniąt. Widział też ślady bytności myszy, na dobre zadomowionych w ludzkich mieszkaniach. A raz zobaczył kawkę, która założyła gniazdo w szafie ubraniowej.

Widząc zakres zniszczeń, zaczął wątpić, że znajdzie tu coś wartościowego. Jednak po dwugodzinnych poszukiwaniach szczęście się do niego uśmiechnęło. Na końcu miasteczka zobaczył duże gospodarstwo. Dom był tak samo zrujnowany jak pozostałe, ale za nim stał wielki blaszany garaż, który najwyraźniej nie zainteresował wandalów.

Polnym kamieniem zerwał kłódkę i otworzył metalowe drzwi. W środku panował półmrok, jego kroki wzbity w powietrze masę kurzu.

– I co ja tu znajduję, oprócz starych wideł? – zastanawiał się, idąc pomiędzy najróżniejszymi gratami.

Na środku garażu zobaczył znajomy kształt przykryty płachtą. Widłami odgarnął śmieci i zdecydowanym ruchem zdarł materiał z samochodu. Jego oczom ukazał się stary, zielony volkswagen Mk1. Hubert zagwizdał.

– Przynajmniej nie muszę iść pieszo. Ale dziewczyny raczej na niego nie polecą.

Kopniakiem przestawił wiadro blokujące drzwi kierowcy i wszedł do środka. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

– Mam dzisiaj szczęście. – Zatarł ręce. – Tylko niech odpali...

Przekręcił kluczyk, golf zakrztusił się i po chwili Hubert rozkoszował się miarowym odgłosem warkotu silnika.

– Jest! – krzyknął, uderzając dłońmi w kierownicę. – Więc jednak ten impuls nie rozwalił wszystkiego.

Zgasił silnik, oczyścił drogę wyjazdową z garażu i już po chwili pędził wyznaczoną wcześniej na mapie trasą na Poznań. Wskazówka paliwa pokazywała, że bak jest napełniony do połowy.

– Jak daleko na tym zajadę? – zastanawiał się. – Dobrze, że przed wycieczką do Paryża miałem kilka lekcji kursu na prawo jazdy.

Hubert poruszał się głównie drogami gminnymi, a nawet polnymi. Wiele razy musiał usuwać przeszkody albo nawet zawracać i szukać innej trasy. W kilku miejscach asfalt popękał pod naporem korzeni drzew lub pokruszył się zimą pod wpływem temperatury. Gdzieś wiatr naniósł na niego wielkie łachy piasku. Co jakiś czas chłopak mijał opuszczone wsie i miasteczka. W większości przypadków były zupełnie zrujnowane. Na razie nie natknął się na żadnego człowieka, ale nie martwiło go to zbytnio, przejmował się za to tym, że wskazówka ilości paliwa nadspodziewanie szybko opadała.

„Skąd wziąć paliwo? – zastanawiał się. – Stacje benzynowe zapewne nie działają. Więc co robić?”

Pomyśl narodził się, gdy w niewielkim miasteczku zobaczył rozbity samochód. Wóz cały przód miał skasowany, ale tył razem z bakiem wydawał się nienaruszony. Hubert zaczął przeszukiwać piwnice opuszczonych domów. „Błągam, ktoś musiał tu pędzić wino” – myślał gorączkowo. W końcu się udało, przy balonie pełnym wina znalazł gumowy przezroczysty wężyk. Chwycił go i już miał wyjść z pomieszczenia, ale zatrzymał się w drzwiach. Po chwili namysłu odszukał dwie litrowe szklane butelki i spuścił do nich rubinowy trunk.

– Dobry rocznik. – Pociągnął łyk prosto z butelki.

Stosując tę samą metodę, spuścił benzynę ze zniszczonego samochodu do kanistra. Nie było jej dużo, ale na kolejne kilka kilometrów powinno wystarczyć.

Następnego dnia po południu dotarł już blisko Poznania. Okolica była zarośnięta, lecz zaczął ją rozpoznawać. „Jeszcze ze dwa kilometry, a zajadę do domu” – myślał, nerwowo ściskając kierownicę golfa. Dłonie zaczęły mu się pocić, serce z minuty na minutę biło coraz szybciej. Nie dopuszczał myśli, co zrobi, gdy nic nie znajdzie.

Został mu jeszcze kilometr do celu, kiedy okazało się, że droga jest zupełnie nieprzejezdna. W asfalcie widniała wielka dziura, niczym lej po bombie, a po obu jej stronach zalegały zwaly gruzu.

Nie pozostało mu nic innego, jak iść dalej pieszo. Hubert wysiadł z samochodu. Próbował odpędzić niespokojne myśli. Z torby leżącej na tylnym siedzeniu wyciągnął pistolet. Sprawdził, czy jest naładowany, i wetknął go za pasek spodni. Zastanawiał się, czy w razie konieczności zdoła go użyć. Po chwili namysłu wziął też pepeszę i przewiesił ją przez ramię. Była ciężka i nieporęczna, ale dawała poczucie bezpieczeństwa.

Jego dawna dzielnica wyglądała na zupełnie zniszczoną. Na ulicy pośród zawalonych domów poniewierały się poprzewracane i spalone samochody. Wszędzie leżał gruz.

– Teraz znajdę nadpaloną lalkę i się wzruszę jak na tandetnym filmie – mruknął Hubert, próbując poprawić sobie humor marnymi żartami.

Gdzieś z boku usłyszał hałas. Zareagował instynktownie. W ułamku sekundy odwrócił się w tamtym kierunku, chwycił pepeszę w dłoń, jednym ruchem ją odbezpieczył i wycelował. W popłochu uciekł przed nim bury kot. Chłopak odetchnął.

– Przez te siedem lat wyrobiłem refleks – stwierdził, zadowolony z siebie.

Ruszył dalej, ale już nie wypuszczał broni z rąk.

W końcu dotarł na miejsce. Jego dom wciąż stał, lecz nie wyglądał najlepiej. Miał wyważone drzwi, potłuczone szyby i ściany zabazgrane kiepskim graffiti. Nie wyglądało na to, żeby ktoś tu jeszcze mieszkał.

Hubert wziął głęboki wdech i przekroczył próg. Ledwie poznał wnętrze rodzinnego domu. Co cenniejsze przedmioty zostały rozkradzione, a te, których nie dało się wynieść, ktoś porąbał siekierą. Wszędzie leżały smętne resztki talerzy i szklanych rzeczy. „Jeszcze jest nadzieja, jeszcze jest nadzieja” – myślał, przemierzając pokoje. Ale nie znalazł nic, co powiedziałoby mu cokolwiek o losie rodziców. Wszedł po schodach na piętro i zajrzał do swojego pokoju. Łóżko było połamane i odwrócone do góry nogami, tak samo biurko. Ktoś pozdzierał plakaty ze ścian, potłukł żyrandol.

Hubert odłożył pepeszę i oparł się o ścianę. Do tej pory żył nikłą nadzieją, że znajdzie tutaj jakąś odpowiedź, wskazówkę, co robić dalej. W głębi duszy spodziewał się rozczarowania, ale prawda uderzyła w niego z siłą rozpędzonej ciężarówki. Łza spłynęła po jego brudnym policzku.

„Jesteś sam. Nie masz nikogo. Oni wszyscy nie żyją” – kołatało mu w głowie.

Ukrył twarz w dłoniach.

„Nie masz nic oprócz tego przeklętego worka”.

Siedział w swoim dawnym pokoju, którego już nie poznawał. Wszystko i wszyscy, których kiedykolwiek znał i kochał, odeszli.

A może jednak coś tu zostało? Drobiazg, który mógłby mu przypominać, że kiedyś istniał jego mały, bezpieczny świat. Na chwilę znów odzyskał energię i zaczął przeszukiwać dom. Może znajdzie stare pióro, z którym tata się nie rozstawał? Albo ulubioną książkę mamy?

„Czy mama miała jakąś ulubioną książkę?” – zadał sobie zniecierpliwione pytanie.

Nie pamiętał, zresztą nigdy nie obchodziły go takie rzeczy.

Przeszukał wszystkie połamane szafy i szuflady, rozcierając śmieci leżące po kątach pokoi, ale nie znalazł nic. Wtem dostrzegł biały skrawek papieru wystający spod kanapy. Z wysiłkiem przesunął mebel, schylił się i podniósł zniszczone zdjęcie.

Pamiętał je. Stało zawsze na szafie w salonie. Zrobione, kiedy miał dziesięć lat, podczas wakacji nad morzem. Z rodzicami budował coś z piasku. Nie było to dobre zdjęcie. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego mama tak się nim zachwycała i nie pozwalała go zabrać z widoku. A teraz stanowiło jego jedyną pamiątkę po tamtym życiu.

Stał na środku pokoju i z bólem w sercu przyglądał się fotografii, kiedy usłyszał hałas w piwnicy. Zastygł w bezruchu, nasłuchując. Do jego uszu dobiegł przytłumiony chichot. Schował zdjęcie do kieszeni na piersi.

– Nie idź tam, nie idź tam – szeptał do siebie, ale jego stopy same powiodły go do drzwi od piwnicy.

Głupia brawura siedemnastolatka albo ciekawość dojrzałego mężczyzny kazały mu powoli nacisnąć klamkę. Otworzył drzwi na oścież, piwnica była pogrążona w mroku. Ostrożnie wszedł. Nic. Tylko bałagan i głucha cisza. Otworzył kolejne drzwi i znalazł się w drugim pomieszczeniu.

Przeszedł przez próg i w tej chwili uświadomił sobie, że pepesza została w jego pokoju. Już chciał sięgnąć po pistolet tkwiący za paskiem na plecach, gdy kątem oka zobaczył poruszającą się postać. Zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, coś się na niego rzuciło. Coś wielkiego, czarnego i kudłatego. Z hukiem wylądował na plecach, a stwór na jego klatce piersiowej. Upadek wycisnął Hubertowi powietrze z płuc. Bestia, ni to ze szczekiem, ni to z warkotem, zbliżyła swój łeb do jego twarzy. Hubert zobaczył tylko gorejące ślepia i wielkie, brudne zęby. Niewiele myśląc, wyrzucił obie nogi przed siebie i zwałił stworzenie na ziemię. Błyskawicznie wstał i rzucił się w stronę schodów. Chwytając rękoma poręczy, zaczął przeskakiwać po dwa stopnie w górę. Słyszał, że potwór się podnosi i zaczyna pędzić za nim.

Kiedy wybiegł na korytarz, wyjął zza paska pistolet, odbezpieczył go i odwrócił się w kierunku wyjścia z piwnicy. Słyszał, jak to coś się zatrzymało, a potem zaczęło powoli wspinać się po schodach. Przeraziłwie sapało. Chłopak cofał się w głąb korytarza. Jeden krok, drugi i potknął się o kawał drewna. Wylądował na plecach. Stwór wyskoczył z piwnicy. Hubert chwycił pistolet obiema dłońmi i wystrzelił do atakującej bestii. Raz, drugi, trzeci... Wystrzelał niemal cały magazynek. Potwór padł martwy.

– Ja pier... co to było?! – wykrzyczał.

Wstał z ziemi i jedną ręką otrzepał spodnie. W drugiej nadal trzymał colta i celował do nieruchomego stworzenia. Ostrożnie podszedł do truchła i trącił je butem. Nie poruszyło się.

– Czym ty, u diabła, jesteś? – zapytał martwą bestię. – I dlaczego tak cuchniesz?

Przypominał mu skrzyżowanie psa z... z czymś wielkim, kudłatym i śmierdzącym.

– Dobra, nic tu po mnie. Pora wracać do samochodu.

Wspiął się ponownie do swojego pokoju po pepeszę i cały czas trzymając ją w dłoniach, wyszedł z domu. Na ulicy stało trzech mężczyzn.

– No nie, co znowu?! – jęknął na ich widok.

Nie wyglądali na groźnych, więc Hubert powoli ruszył w ich stronę, cały czas celując w nich z pepeszy. Musiał ich ominąć, żeby wrócić do samochodu. Nic nie mówili, tylko stali nieruchomo. Wszyscy trzej byli ubrani w brudne dresy, jeden miał na głowie dziurawą czapkę. Trzymali kiję bejsbolowe i łańcuchy. Śmierdzieli nawet z odległości kilkunastu metrów. Kiedy się im przyjrzał, Hubert pomyślał, że muszą być w jego wieku. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież nie ma już siedemnastu lat. Był od nich dużo starszy, silniejszy, sprawniejszy, no i miał naładowaną broń.

– Coś ty za jeden? – Chłopak w czapce zdobył się na odwagę i wystąpił naprzód.

– A co cię to obchodzi? – Dzielili ich już tylko cztery metry.

– Obcy nie mają prawa wstępu na ten teren.

– Zabroń mi. – Hubert znacząco zerknął na pepeszę. Ten argument najwyraźniej trafił do chłopaków, gdyż cofnęli się o krok. – Właśnie zamierzam stąd odejść. Jeśli spróbujecie zrobić cokolwiek głupiego, powystrzelam was.

Nie wiedział, czy zdołałby zabić trzech bezbronnych nastolatków, ale jakaś częśćka jego umysłu kusila, żeby pociągnął za spust. „Zastrzel ich, będzie spokój. A tak zwołają resztę i wtedy stracisz przewagę”. Podejrzewając, że to ta częśćka jego umysłu, która rozwinęła w ciągu ostatnich siedmiu lat, zignorował ją. Minął chłopaków i idąc do tyłu, wciąż trzymał ich na celowniku. Dopiero za rogiem na wprost zburzonego domu odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do samochodu. Dotarł do niego po dziesięciu minutach. Wrzucił pepeszę i colta na siedzenie z tyłu, a sam usiadł za kierownicą.

– Co za popieprzone czasy! – Otwartymi dłońmi uderzył w deskę rozdzielczą.

Nie znalazł żadnej wskazówki co do losu rodziców, zaatakował go jakiś zmutowany kundel i jeszcze ci trzej na ulicy. Miał wrażenie, że gdyby nie pepesza w jego rękach, rozszarpałiby go na strzępy. Sięgnął na tylne siedzenie i wydobyl z worka butelkę wina.

– Ale przynajmniej można pić za kółkiem – mruknął, a potem wlał w siebie kilka łyków alkoholu.

Gdy jego nerwy trochę się uspokoiły, ruszył przed siebie. Nie wiedział, dokąd jedzie ani co ma teraz zrobić. Chciał znaleźć się jak najdalej od tego przeklętego miasta. Na noc zatrzymał się w lesie i położył na tylnym siedzeniu. Było mu zimno i niewygodnie, ale wino w końcu przytłumiło wszelkie zmysły i zapadł w niespokojny sen.

Rano obudził się na kacu. Wypił pół litra wody, zagryzł paskudnym sucharem i marchewką.

– Odżywcze śniadanie – westchnął, żując powoli. – Co teraz? – Rozłożył na masce golfa mapę od Jurka. Nie wiedział, gdzie powinien się teraz kierować. Może wrócić do nauczyciela? I co tam robić? Jakoś nie zachęcała go ta perspektywa. Chciał sprawdzić, czy rzeczywiście cały świat jest tak zdewastowany, jak mówił Jurek. Powrót do domu w lesie znów przywołałby wspomnienia i pustkę w sercu Huberta. Oznaczałby też, że się poddał, że akceptuje śmierć bliskich.

„Jesteś sam – podszeptował mu umysł. – Zupełnie sam. Nie masz nikogo”.

Hubert sięgnął po kolejną butelkę wina. Jego rodzice prawdopodobnie nie żyli, a jeśli nawet ocaleli, to nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie ich szukać. Co prawda nigdy nie czuł się z nimi bardzo zżyty, bo zazwyczaj nie mieli dla niego czasu, ale teraz, gdy ich zabrakło, gdy został sam w tym nieprzyjaznym świecie, nie wiedział, co ze sobą począć.

Przez kilka minut siedział na masce samochodu i popijał wino z butelki. Potem usiadł za kierownicą i ruszył. Mijał niewielkie, zrujnowane wsie. „Gdzie się podzieli wszyscy ludzie?” – zastanawiał się. Brakowało mu kogoś, z kim mógłby pogadać, był bowiem bardzo towarzyski. Dla poprawy nastroju wypił jeszcze kilka łyków wina i przezornie zwolnił do czterdziestu kilometrów na godzinę.

Drzewa zaczęły zlewać się w zieloną plamę.

– A może się zatrzymać i przespać? – zastanawiał się, ale szybko odrzucił ten pomysł. Nie miał ochoty na sny o śmierci rodziców czy ataku tego mutantu z piwnicy.

– Muzyka! – olśniło go.

Radio pewnie nie działało, ale samochód miał odtwarzacz na kasety. Jedną ręką wciąż trzymając kierownicę, drugą sięgnął do skrytki naprzeciwko siedzenia pasażera. Po chwili zmagania otworzył schowek, a cała jego zawartość wysypała się na podłogę.

– Jest! – Wśród śmieci i papierów dostrzegł kasetę. – A teraz którą stroną to się wkłada do odtwarzacza?

Kilka minut później w sunącym podziurawionym asfalcem wozie na cały regulator leciało disco polo do wtóru śpiewów Huberta. Muzyka oznaczała, że kiedyś byli ludzie, którzy to śpiewali, kiedyś istniała cywilizacja. Ta myśl, w samym środku pustkowi, naprawdę poprawiała humor.

– Cholera! – W ostatniej chwili Hubert zobaczył wielki pień leżący na drodze i gwałtownie skręcając kierownicę, sprawnie go wyminął. – To się nazywa jazda! – zakrzyknął. – Prawko bym zdał za pierwszym podejściem. Jestem *master of the...* jak była droga po angielsku? – Odwrócił się, żeby jeszcze przez ramię spojrzeć na ten podstępny pień, a wtedy jedno z kół wjechało w wielką dziurę. Samochodem szarpnęło w bok. Na moment Hubert stracił panowanie nad golfem, a to wystarczyło, żeby wylądował w rowie. Gwałtownie poleciał do przodu, uderzając głową o kierownicę. „Jak policja mnie złapie, to będę miał przerabane” – pomyślał mgliście, zanim świat wokół niego zgasł.

Słyszał muzykę i czyjś głos, ale nie wiedział, skąd te dźwięki dochodzą. Z jego głowy? A może z telewizora? Czy ktoś w ogóle mówi do niego?

– Wsiadaj z samochodu! – rozkazał ktoś. Cały świat brzmiał jak zza ściany. – I, na Boga, wyłącz ten jazgot.

„Siedzę w samochodzie i to radio tak się drze” – stwierdził Hubert.

Otworzył oczy i zobaczył przed sobą kierownicę. Okropnie bolała go głowa. Powiódł wzrokiem po desce rozdzielczej, potem odszukał radio i wyłącznik. Zapanowała błoga cisza.

– A teraz wsiadaj – powtórzył ktoś nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Tylko powoli.

Chłopak odwrócił głowę w drugą stronę i zobaczył lufę pistoletu wycelowaną w jego kierunku. „Teraz to oni mają przewagę” – pomyślał. Zostawienie broni na tylnym siedzeniu nie było najlepszym pomysłem.

Ostrożnie wystawił nogi na zewnątrz przez otwarte już drzwi. Złapał oddech, po czym wstał, cały czas opierając się o samochód. Dotknął ręką bolącego miejsca na czole, na palcach została mu krew. „No super” – pomyślał.

– Coś ty za jeden? – niecierpliwził się właściciel pistoletu. Hubert odważył się spojrzeć na niego i zobaczył piękną dziewczynę. Była od niego niższa, bojówki i szara koszula w kratę przykrywały z pewnością umięśnione, zwinne ciało. Miała twarz w kształcie serca i kasztanowe włosy związane w krótką kitkę. Poprzez lewą brew biegła cienka blizna. Jednak najbardziej niesamowite były jej oczy – jedno ciemnobrązowe, drugie intensywnie zielone.

„Gdzie twoje maniery? Nie gap się” – zganiał siebie. Dawny instynkt podrywacza w końcu doszedł do głosu.

– Hubert jestem... – zaczął.

– Jesteś, ale pijany! – warknęła dziewczyna.

– Nie, tylko trochę – zapewnił i wyciągnął rękę do nowej znajomej, przy czym niefortunnie potknął się o kępę trawy i się zachwiał. Dziewczyna odczytała to jako atak. Kolbą pistoletu walnęła go w skroń, a cios poprawiła jeszcze kopniakiem kolanem w brzuch.

Świat Huberta wywrócił się do góry nogami, a ziemia popędziła mu na spotkanie.

Ocknął się na trawie niedaleko swojego golfa. Bolało go niemal wszystko, cała głowa pulsowała tępo, żebra rwały przy każdym oddechu.

– Ja chciałem się tylko przywitać! – jęknął do siebie.

– Masz szczęście, że cię nie zastrzeliłam. – Dopiero teraz zauważył, że dziewczyna siedzi na pobliskim kamieniu. W dłoni nadal trzymała pistolet, choć już nie celowała w Huberta.

– Możesz go schować, zapewniam cię, że nigdy więcej nie będę próbował podać ci ręki – przekonywał chłopak, na co ona prychnęła z lekceważeniem.

Hubert z trudem usiadł. Delikatnie dotknął opuszkami palców bolącego czoła. W okolicach skroni wyczuł wielkiego guza, obok tkwił drugi, wymacał też piekące miejsce na skórze, najpewniej rozcięcie.

Dziewczyna wyjęła z kieszeni kawałek szmatki, namoczyła ją wodą z manierki, którą miała przytroczoną do paska, i rzuciła Hubertowi.

– Ogarnij się! – rozkazała ostro.

Chłopak przetarł czoło, czując, że tylko rozmazuje krew.

– Po co tu przyjechałeś? – zapytała.

– Jechałem po prostu przed siebie. – Wzruszył ramionami.

– Nie widziałeś znaków? Przekroczyłeś je, a to oznacza, że jesteś albo ślepy, albo głupi.

– Znaków? Takich na jednej nodze...?

Zbiła go z tropu.

– Pni drzew pomalowanych żółtą farbą, idioto.

– Nie. – Pokręcił głową, czym wywołał falę mdłości. – A co one znaczą?

– Skąd ty się urwałeś? – zdziwiła się.

– Uwierz mi, że sam chciałbym to wiedzieć – zapewnił, usiłując delikatnie masować skronie.

Dziewczyna rozejrzała się, nad czymś rozmyślając, a kiedy podjęła decyzję, schowała pistolet do kabury przy pasku.

– Dobra, wstawaj, nie możesz tak tu siedzieć – powiedziała i sama się podniosła.

Chłopak z trudem dźwignął się na nogi. Znów poczuł mdłości i zakręciło mu się w głowie. Mógłby szukać wsparcia u nowej znajomej, pamiętał jednak, jak go przed chwilą potraktowała, więc profilaktycznie odchylił się w drugą stronę. To nie był dobry manewr, bo gdyby dziewczyna nie złapała go za koszulę na piersiach, ponownie wylądowałby na ziemi. Z ciężkim westchnięciem i zniesmaczoną miną zarzuciła sobie na barki ramię nieznanego i wyprowadziła go na drogę. Chłopakowi plątały się nogi.

– To gdzie idziemy? – Hubert, zapewne dzięki ciągle działającemu winu, zachował odrobinę dobrego humoru.

– Do mojego przyjaciela – warknęła. Przez resztę drogi milczała.

Poprowadziła go kawałek asfaltem, a potem skręcili w wąską leśną ścieżkę.

– Wiesz, zazwyczaj to kobiety znajdują we mnie oparcie, a nie na odwrót... – zaczął szarmancko.

– Jak się nie zamkniesz, to ci w tym pomogę – zagroziła.

„Może z flirtem lepiej poczekać, aż będzie miała lepszy humor” – pomyślał.

Wkrótce dotarli do niedużego domku z drewnianych bali. Hubert czuł się tak wyczerpany, że włókł nogę za nogą, a pokonanie trzech schodków na ganek trwało w nieskończoność. Kiedy w końcu stanęli przed drzwiami, dziewczyna kilka razy kopnęła je ciężkim butem. Hubert opierał się na niej już całym ciężarem, więc dyszała ze zmęczenia.

– I po jaką cholere ja to robię? – warknęła.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich potężny mężczyzna ze szpakowatymi włosami i twarzą poznaczoną siateczką blizn. W zdziwieniu uniósł jedną brew, ale ustąpił im z drogi. Dziewczyna wprowadziła półprzytomnego przybysza do wnętrza pokoju i bezceremonialnie rzuciła na łóżko.

– Jeżeli będę miała przez ciebie kłopoty, to osobiście cię zastrzelę – zagroziła, a potem wszystko ogarnęła ciemność.

Obudził się na miękkim pościeli. Pierwszym od wielu dni, które nie śmierdziało stęchlizną. W pokoju panował półmrok, tylko przez uchylone drzwi wpadało do środka nagle światło lampy naftowej. Co się stało? Wysilił umysł i przypomniał sobie obraz tamtej superdziewczyny. To ona go tu przyprowadziła. Żył, więc na razie chyba nic mu nie groziło.

Spróbował wstać z łóżka i walcząc z zawrotami głowy, poczłapał w kierunku drzwi. Zatrzymał się przy nich i oparł ramieniem o drewnianą framugę.

Oświetlone pomieszczenie okazało się kuchnią. Pod oknem stał prowizoryczny zlew, na szafkach poustawiano garnki i talerze. Na samym zaś środku znajdował się drewniany stół i kilka niedopasowanych plastikowych krzeseł. Na jednym z nich siedział wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, który usiłował czytać książkę przy nikiłym świetle lampy naftowej.

– Dobry wieczór, śpiąca królowo – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Nie stój tak w drzwiach, siadaj – dodał, gdy Hubert nie wykonał żadnego ruchu.

Chłopak usiadł naprzeciw niego.

– Głodny? – zapytał gospodarz.

– Bardziej spragniony.

– Henryk. – Mężczyzna wyciągnął rękę. Uściskawszy dłoń Huberta, wstał od stołu i z plastikowej butelki nalał trochę wody do kubka. Podał go chłopakowi.

– Ta dziewczyna, która mnie tu przyprowadziła... – zaczął Hubert, ale nie wiedział, o co pytać dalej.

– Iza? – Mężczyzna uniósł brew. – Masz szczęście, że na nią trafiłeś. Reszta Święcina by cię okradła, a potem zostawiła. Albo zastrzeliła, a potem okradła.

– Święcina?

– Uhm, tutejszej osady – wyjaśnił Henryk. – Co cię podkuśiło, żeby tu wjeżdzać?

– Nie lubicie obcych?

– Z całą pewnością nie.



Hubert pokiwał głową. Co, do licha, stało się z cywilizacją? Miał wrażenie, że otaczają go jedynie ludzie, którzy bez mrugnienia okiem mogliby go zabić. Nie była to pocieszająca myśl, tym bardziej gdy sobie uświadomił, że wszystko, co posiadał, w tym broń, zostawił w samochodzie. W milczeniu obserwował, jak Henryk przygotowuje kolację. Gospodarz rozpałił w starodawnej kuchence ogień, z szafki wyjął słoik, a jego zawartość przelał do metalowego garnka, który ustawił na kuchennej płycie.

– Pokrój chleb – polecił chłopakowi, podając mu na drewnianej desce wielki bochenek oraz nóż.

– Nie będę miał jak się odwdziżyć za gościnę – uprzedził Hubert. Zdążył już się zorientować, jakie zasady obowiązują w tym świecie. Nawet były nauczyciel nie pomógł mu za darmo.

– Nie ze mną o tym rozmawiaj. – Henryk stał przy kuchence i dużą łyżką mieszał w garnku. – Iza cię tu sprowadziła, więc jesteś jej problemem.

„Ekstra, to już awansowałem na problem” – pomyślał gorzko.

– Co ze mną będzie? – zapytał, krojąc krzywe pajdy chleba.

– Dojdiesz do siebie, a potem ruszysz w drogę.

Hubert się zadumał. „Ci ludzie nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. W życiu radzą sobie sami i nie potrzebują obcych. Szkoda, że nie mam osoby, na którą mógłbym liczyć. Moja obita głowa pewnie jutro, pojutrze wydobrzeje, lecz rana w boku, która się otworzyła, kiedy wjechałem samochodem w rów albo gdy tamta laska mnie kopnęła, będzie potrzebowała więcej czasu. Jednak za trzy, najwyżej cztery dni będę musiał iść dalej. Tylko dokąd? I po co? To nie fizycznie, ale psychicznie muszę dojść do siebie”.

– Człowieku, czy ty w życiu chleba nie kroileś? – Henryk uniósł kromkę, która na jednym końcu miała dwa centymetry grubości, a na drugim prześwitywało przez nią światło lampy naftowej.

– Ostatnio nie za często miałem ku temu okazję – usprawiedliwiał się chłopak.

Henryk uniósł brew. Położył na stole dwa poobtlukiwane talerze, nalał do nich sosu i wybrał z garnka po kilka kawałków mięsa. Kolację zjedli w milczeniu. Mężczyzna najwyraźniej nie był zbyt rozmowny, Hubert też nie miał ochoty na pogawędkę. Czuł się zmęczony, więc kiedy tylko wytarł kawałkiem chleba resztki sosu z talerza, ruszył w stronę łóżka.

– Jak będziesz chciał mnie zaszlachtować w nocy – rzucił od niechcienia Henryk – pamiętaj, że śpię z pistoletem pod poduszką.

Rano Hubert wstał wraz z pierwszymi promieniami słońca. Fizycznie miał się całkiem dobrze, lecz psychicznie był wykończony. Pragnął powrócić do swojego dawnego życia i ciała, które może nie miało takich walorów jak obecne, za to należało do niego i czuł się w nim o wiele lepiej.

Henryk jeszcze spał, więc chłopak najciszej jak mógł włożył buty i wyszedł na dwór.

– Boże, jak ja tęsknię za toaletą i prysznicem – westchnął, widząc stojący nieopodal wychodek. – Cóż za upodlenie ludzkości.

Koło domu znajdowała się też studnia z wielkim żurawiem. Trochę się zeszło, zanim nabrał wody do wiadra, ale myjąc twarz, uznał, że warto było się pomęczyć. Choć poranek należał do chłodnych, po chwili namysłu zdjął też koszulkę. Drżąc z zimna, umył tors i oczyścił okolice rany.

„Mam nadzieję, że nie złapię zakażenia”.

– Widzę, że nie należysz do tych, którzy lubią wylegiwać się w łóżku. – Niemal podskoczył, słysząc kobiecy głos. – A może to poranny kac cię męczy?

Obejrzał się i splonął rumieńcem. Iza, trzymając ręce w kieszeniach płaszcza, opierała się o ścianę domu. Przez ramię miała przewieszony jego wojskowy worek. Przyłapany na porannej kąpieli, poczuł się nieswojo. Tym bardziej że dziewczyna bezczelnie się na niego gapiła. Ciężko mu było to przyznać, ale jej obecność krępowała Huberta. Iza emanowała pewnością siebie i poczuciem własnej wartości. Nie mógł też ocenić jej wieku. Wyglądała jak nastolatka, ale miała w sobie coś, co kazało przypuszczać, że jest dużo starsza i bardziej doświadczona niż była w rzeczywistości.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Hubert w milczeniu osuszył ranę i przykleił plaster. Na jeszcze mokre ciało zarzucił koszulkę. „Chwila, przecież ja mam dwadzieścia cztery lata – uświadomił sobie nagle. – Muszę więc być od niej starszy! Może tylko rok czy dwa, ale na pewno jestem starszy”. Ta myśl dodała mu pewności siebie.

– Nie mogłem spać – wyjaśnił krótko, wziął od Izy swój worek, wyminął ją i wszedł do domu. Dziewczyna podążyła za nim.

Okazało się, że Henryk już wstał i właśnie gotował wodę na herbatę. Kiedy zobaczył Izę, skinął jej głową na powitanie.

– Pokroisz chleb? – poprosił ją po chwili, patrząc wymownie na Huberta. Chłopak się zaczerwienił. Spojrzenie gospodarza wystarczyło, by znowu zapomniał, ile ma lat.

Na śniadanie dostali pętko wędzonej kielbasy, twaróg i miód. „Prawdziwy staropolski posiłek” – pomyślał Hubert. Razem z Henrykiem zasiadł do stołu. Iza odkroiła kawałek kielbasy i stanęła obok mężczyzn, opierając się o szafkę.

– Jesteś z miasta? – zapytała chłopaka bez ceregieli.

– Z miasta? Co masz na myśli?

– Mieszkasz w mieście? – Wywróciła oczami, jakby rozmawiała z idiotą.

– Ee, nie – zająknął się Hubert. – Ostatnio sporo podróżowałem – wyjaśnił. W końcu dostał się tu jakoś z Francji, nie? A poza tym raczej i tak by nie zrozumieli, gdyby próbował im wyjaśnić, że nie pamięta ostatnich siedmiu lat.

– Dokąd jechałeś? – wypytywała Iza.

Henryk zaś sprawiając wrażenie, że nie słucha, spokojnie jadł chleb z twarogiem.

– Przed siebie. – Chłopak wzruszył ramionami. Czuł się jak na przesłuchaniu. – Zupełnie bez celu...

– I co teraz zamierzasz? – Iza badawczo mu się przyglądała. Jedną rękę trzymała w kieszeni, nogi skrzyżowała w kostkach. Całą sobą dawała do zrozumienia, że tutaj to ona ma najwięcej do powiedzenia.

– Nie wiem, OK? – zdenerwował się Hubert. – Po co w ogóle całe to przesłuchanie? Nie mam dokąd pójść, nie mam co robić. Nie mam nikogo ani niczego. Przedwczoraj się dowiedziałem, że moi rodzice nie żyją, i jakiś wielki zmutowany kundel zaatakował mnie we własnej piwnicy. Więc wybaczone, jeżeli nie mam ułożonego żadnego cholernego planu pięcioletniego!

Zapadła cisza. Hubert ze złością przeżuwał kanapkę. Henryk uniósł głowę i zerkał to na niego, to na dziewczynę.

– Oj, przestań się ze sobą pieścić. – Ton głosu Izy stał się bardziej ugodowy. Wyraźnie zmieniła postawę i przestała patrzeć na chłopaka z góry.

Hubert posłał jej zmęczone spojrzenie.

– Jak na razie nie masz gdzie się zaczepić, to mogę ci załatwić metę tutaj. – Iza podeszła do stołu i usiadła na krześle.

Henryk zmierzył ją badawczym wzrokiem.

– Jesteś pewna? – zapytał z lekkim niedowierzaniem.

– Tak. Widzisz, facet wygląda jak dziewięć nieszczęść. Wyrzucić go to jak skopać ufnego szczeniaka. Umiesz się posługiwać tym, co znalazłam w twoim samochodzie? – zwróciła się do Huberta.

– Raczej tak – odparł. Nie dodał, że robi to tylko pod wpływem zagrożenia albo impulsu, ponieważ nie pamięta, by wcześniej miał jakkolwiek broń w ręku. – Poza tym czy każdy tutaj musi tak bezcześcić mój worek?

– Teraz posłuchaj mnie uważnie. – Iza położyła obie dłonie na stole i pochyliła się nieznacznie w jego stronę, patrząc mu natarczywie w oczy. – Jestem córką Sołtysa w Świącinie. – Hubert instynktownie wyczuł wielką literę w słowie „Sołtys”. – Mogę za ciebie poręczyć i dołączyłbyś do strażników...

– Strażników czego? – zaciekawiał się chłopak.

– Skąd ty żeś się urwał? – Iza powoli traciła cierpliwość. – Oczywiście, że naszej wsi.

– Ach, wsi, no tak – bąknął. – I co miałbym robić?

– Pilnować naszych granic, w razie napadu bronić ludzi, pracować na rzecz Świącina... – wyjaśniła. – Za to dostaniesz miejsce do spania i wyżywienie.

– Brzmi nieźle.

„I tak nie mam dokąd pójść. Mogę więc równie dobrze zatrzymać się tutaj na jakiś czas” – pomyślał. – „Wtopa tylko będzie, jak się dowiedzą, że nie jestem takim kozakiem, na jakiego wyglądam...”

– Ale osobiście będę cię pilnować – dodała Iza. – Jakikolwiek numer z twojej strony, a sama cię zlikwiduję.

– Nie wątpię – bąknął chłopak.

– Umowa stoi? – Wyciągnęła rękę w jego stronę.

– Niech i tak będzie. – Hubert podał jej swoją.

„Ale ma uścisk – przemknęło mu przez myśl. – Jak imadło”

– A tak w ogóle, co z moim samochodem?

– No właśnie – powiedział Henryk. – Gdzie go znalazłeś?

– Po drodze, w jakimś starym blaszanym garażu... – Chłopak wzruszył ramionami.

– Widzisz? Mówiłem ci. – Mężczyzna zwrócił się do Izy, uśmiechając się z satysfakcją. – Klatka Faradaya.

Iza prychnęła cicho.

– Jaka klatka? – zdziwił się Hubert.

– Przetrwały tylko sprzęty, które podczas impulsu znajdowały się w klatce Faradaya – wyjaśnił Henryk. – Metalowy garaż z dobrym uziemieniem mógł odegrać taką rolę. Ale teraz nieźle żeś tę brykę rozbił, nie wiem, czy coś z niej jeszcze będzie.

– Dobra, muszę już iść. – Iza wstała od stołu i zdjęła z oparcia krzesła szary, wełniany płaszcz. – Mam jeszcze sporo roboty, jutro jest dzień handlowy.

„Jakby mi to wiele mówiło” – pomyślał Hubert, patrząc na zamykające się za nią drzwi.

– Posprzątaj po śniadaniu. – Henryk również się podniósł. – Wrócę późnym popołudniem, muszę sprawdzić pułapki na zające.

– Co mam w tym czasie robić? – Hubert poczuł lekki niepokój na myśl, że zostanie sam w obcym domu.

– Nie wiem, zajmij się czymś, możesz narąbać drewna. – Henryk ubrał się, wziął strzelbę i już go nie było.

Hubert został sam.

– A może te chore czasy nie są aż takie złe? – mruknął do siebie. Obcy ludzie mu pomogli, obiecali łóżko do spania i jedzenie. Czegoż więcej chcieć, gdy jego dotychczasowy świat obrócił się wniwecz?

Posiedział jeszcze chwilę przy stole, delektując się smakiem kielbasy i chleba, których nie jadł Bóg raczy wiedzieć od kiedy. Potem odezwała się aktywna część jego natury. Posprzątał ze stołu, przyniósł wody ze studni i umył naczynia. Za domem odnalazł stos drewna i siekierę. Postawił przed sobą kołek i zaczął się zastanawiać, jak rąbać drewno, żeby nie pozbawić się żadnej części ciała. Może już to robił w ciągu tych siedmiu lat, jednak żadne oświecenie nie nadeszło. Kołki okazały się bardzo twarde, a siekiera w porównaniu z nimi niezwykle tępa. Często się klinowała w drewnie i musiał się nieźle namęczyć, żeby ją wydobyć. Po kilku godzinach padał ze zmęczenia. Zaczęła go boleć głowa i dała o sobie znać rana w boku, jednak efekty pracy okazały się dość mizerne.

– Ale dno – mruczał do siebie, układając porąbane szczapy w szopie. – Oni mieli siedem długich lat, żeby przywyknąć do tego wszystkiego, a ja wciąż muszę się uczyć podstawowych rzeczy. W dzieciństwie trzeba było budować domki na drzewach, a nie siedzieć z Ernim przy komputerze.

Na wspomnienie o przyjacielu soseniał. Ciągłe jeszcze śnił mu się po nocach obraz wysadzanego w powietrze Luwru i Ernesta ginącego pod gruzem. Gdyby tylko mógł cofnąć czas... Nigdy by się nie wymknął na to głupie spotkanie z Christelle i jej koleżanką, uratowałyby kumpla. W ogóle nie pojechałby do tego przeklętego Paryża i teraz pewnie by wiedział, co się stało z jego rodzicami.

Po południu zrobił sobie przerwę, wziął z kuchni dwa jabłka i usiadł z nimi na schodkach chaty. Rozmyślał właśnie nad tym „co by było, gdyby”, kiedy zobaczył na ścieżce Henryka, który wracał z lasu, niosąc dwa zające. Chłopak był zdziwiony ich rozmiarami, zawsze wydawało mu się, że są mniejsze.

– Umiesz sprawić zająca? – zapytał mężczyzna.

– Eee... chyba nie bardzo. – Hubert ze słabo skrywanym obrzydzeniem wpatrywał się w martwe zwierzęta.

Henryk zmierzył go zdegustowanym spojrzeniem.

– Patrz, jak się to robi – rozkazał, wręczając jednego zająca chłopakowi.

Drugiego powiesił za tylne nogi na haku przed domem i ponacinał futro przy końcówkach łap. Hubert ze wstrętem przypatrywał się, jak Henryk zdejmuje z zająca skórę, a potem na stole zbitym z desek patroszy zwierzę.

– Teraz ty. – Mężczyzna ustąpił miejsca Hubertowi.

Chłopakowi nie poszło już tak sprawnie, ale jakoś sobie poradził.

Dwa dni później po południu przyszła Iza.

– Rozmawiałam z ojcem – powiedziała. – Kazał cię przyprowadzić. Tylko jak zrobisz coś głupiego... – pozwoliła, żeby niema groźba zawisła w powietrzu.

Hubert wziął swój jedyny dobytek, czyli worek wojskowy, i podążył za dziewczyną. Szli leśną ścieżką, która z czasem zmieniała się w polną drogę i drzewa ustąpiły miejsca polom, gdzie pracowali ludzie. „Scena jak z sielskiego obrazka” – pomyślał. Iza nie odezwała się do niego przez całą drogę. Po półgodzinie dotarli do prowizorycznej bramy, przy której stał wartownik. Zadbana wioska wyglądała tak zwyczajnie, jakby nigdy nie dotknął jej żaden kataklizm. Wszystkie domy były murowane, niektóre nawet pobielone wapnem. Po lewej stronie minęli wybrukowany plac, na którym stał niewielki kościół z muru pruskiego.

– Zupełnie jakby ten cały armagedon się nie zdarzył – westchnął Hubert, rozglądając się na boki.

– Wszystko musieliśmy odnowić, niektóre domy budowaliśmy od zera – wyjaśniła Iza.

– Całkiem nieźle wam poszło.

Na ulicy minęli kilku ludzi, którzy uważnie obserwowali przybysza. Coś odróżniało ich od tych, których zapamiętał z poprzedniego życia. Jednak nie umiał określić, co się zmieniło, ubiór czy zmęczone twarze.

Spojrzał na grupkę kilkuletnich dzieci zaabsorbowanych grą rysowaną na piasku patykiem. Krzyczały do siebie i się śmiały... „Boże, one nie znają tamtego świata” – pomyślał Hubert.

Na jedynym skrzyżowaniu w osadzie skręcili w prawo. Oczom chłopaka ukazał się duży budynek z czerwonej cegły.

– Kiedyś, jeszcze za Niemców, była w nim szkoła – wyjaśniła Iza. – Teraz mieszkam tu z tatą.

Dziewczyna pierwsza przekroczyła próg domu, Hubert niespiesznie podążył za nią. Weszli do przestronnego pokoju, w którym znajdował się regał z kilkoma książkami i biurko z dykty. Siedział za nim tęgi mężczyzna z czerwoną twarzą i łysiną na czubku głowy. Pochylał się nad starą, pożółkłą księgą.

– Tato, to on – odezwała się Iza.

Mężczyzna nie zareagował, zupełnie jakby nie słyszał, dopiero po chwili uniósł głowę i spojrzał uważnie na Huberta.

– To ten młody człowiek, który szuka schronienia? – zapytał.

Hubert kiwnął głową dopiero, gdy Iza kopnęła go w kostkę.

– I nie jesteś z miasta?

– Nie, proszę pana – w końcu wydobył z siebie głos.

– Moja córka mówi, że dobrze się znasz na broni i jesteś gotów zostać naszym strażnikiem...

„To było pytanie czy stwierdzenie?” – zastanawiał się chłopak.

– Ee, tak, proszę pana.

– Jesteś gotów strzec naszej osady za wszelką cenę? Pracować w pocie czoła dla dobra naszej społeczności?

– Taak. – Hubert kiwnął głową. „Zaraz każe mi pakt własną krwią podpisać”.

– A więc witamy w Święcinie. – Sołtys wstał zza biurka i podał mu dłoń. – Jestem Marian Kościuszko.

Na szczęście Hubert w porę ugryzł się w język i nie rzucił głupiej uwagi.

– Hubert Zawrocki. – Uściśnął dłoń Sołtysa.

– Izo, pokaż naszemu nowemu strażnikowi jego kwaterę – polecił Marian. – I pamiętaj, że to ty za niego ręczysz – dodał na odchodnym.

– Idziemy. – Dziewczyna chwyciła Huberta za łokieć i wyprowadziła z domu.

– Cóż za socjalistyczna przemowa – zażartował chłopak, kiedy znaleźli się na drodze. Iza zmroziła go wzrokiem.

Zaprowadziła go do małej chałupy na samym końcu wsi. Domek był trochę przekrzywiony, miał lekko zapadnięty dach porośnięty mchem i zapuszczony ogródek.

– Mieszkała tu stara wdowa Niwicka – powiedziała, otwierając pokrzywione od wilgoci drzwi. – Ale umarła zimą.

– Dom po nieboszczce, zawsze o takim marzyłem. – Hubert zajrzał do kuchni i jednego z dwóch pokoi.

– Zawsze masz takie głupie teksty czy tylko wtedy, kiedy nie wiesz, jak się zachować? – zapytała uszczypliwie Iza.

– Wszyscy zawsze cenili moje poczucie humoru...

– Na pewno – ucięła.

– A ty zawsze jesteś taka złośliwa? – zapytał, zapominając, że to ona załatwiła mu mieszkanie i pracę.

– Nie, tylko w towarzystwie totalnych idiotów.

Przeszli do ciasnej kuchni. Stała tam staroświecka kuchenka westfalka, kilka szafek, tak jak drzwi wejściowe powyginanych od wilgoci i z luszczącą się farbą. Małe okienko pokrywał brud, podobnie zdobiacą je firankę. W kącie upchnięto niską lodówkę ze sparciałymi uszczelkami. Oczywiście nie była podłączona do prądu. Stół nakryto brudną i wypłowiałą ceratą w kwiatki. Stało na nim kilka słoików z mięsem, smalcem, pętka kielbasy, wędzona ryba oraz kosz z warzywami i jabłkami.

– To od sąsiadów – oznajmiła Iza. – Od jutra zaczynasz robotę. Może oprowadzę cię po okolicy.

– Wprost nie mogę się doczekać. – Przywołał na twarz swój popisowy uśmiech, ale chyba wyszedł z wprawy, gdyż Iza skrzywiła się niechętnie. Uniosła jedną brew, tak samo jak robił to Henryk.

– Mamy osiemdziesięciu sześciu mieszkańców – powiedziała. – Ty będziesz osiemdziesiąty siódmy. Kiedyś było tu więcej młodych ludzi, ale odeszli szukać szczęścia albo zaginionych rodzin gdzieś do innych osad czy miast. Zostaw tu swoje rzeczy, to cię oprowadzę.

Hubert zaniósł worek do pokoju i rzucił na łóżko. Zastanawiał się, czy wziąć ze sobą pistolet, ale nie wiedział, jak zareagowałyby na to Iza i reszta mieszkańców. Wyszedł więc z domu nieuzbrojony. Wrócili na skrzyżowanie.

– To jest szkoła. – Iza wskazała na niewielki budynek. – Jest w niej też biblioteka – dodała z niejaką dumą. – Wszelkie spotkania przeprowadzamy właśnie tutaj.

Niedaleko szkoły stał kościół, który już widział, gdy go tu przyprowadziła.

– W razie zagrożenia biją w dzwon i wszyscy zbieramy się na placu przed kościołem – kontynuowała dziewczyna. – Tam dalej jest stajnia. – Machnęła ręką na lewo. – Józek Maciejak zajmuje się końmi, ma ich piętnaście... Umiesz jeździć konno?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział. „Ciekawe, czy miałem okazję się tego nauczyć” – zastanowił się.

– Dobra, popracujemy nad tym – obiecała, ale Hubert wyczuł w jej głosie groźbę. – Całą osadę otacza ostrokół z drutem kolczastym. Trzy razy dziennie któryś ze strażników sprawdza, czy nie ma w nim dziur, czy coś się nie przedostało do środka.

– Co masz na myśli, mówiąc „coś”?

– Wszystko, od ludzi po demony.

Hubert zmarszczył brwi.

– Czyli jak to jest z tymi demonami? – zapytał w końcu. – Jakie stwory znasz? Co mogło mnie zaatakować wtedy w piwnicy? Wyglądało jak duży, kudłaty i śmierdzący pies.

Iza wzruszyła ramionami. – Nie wiem, może bies. Nie znam się przecież na nich. Sama widziałam kiedyś topielca, a Maciejak chwali się, że zabił strzygę. Ale to stary pijak.

– Jak to możliwe, że one jednak istnieją? – dopytywał. Wciąż nie mógł przejść do porządku dziennego nad nową rzeczywistością.

– Gdzie ty się podziewałeś przez ostatnie lata? – zdziwiła się Iza. – Mówią przecież, że cywilizacja je wypłoszyła, ale kiedy nasz świat upadł, powróciły.

„I to by było na tyle, jeżeli chodzi o genezę demonów – pomyślał chłopak. – Oni je traktują jak coś oczywistego!”.

Okrążyli całą wieś wzdłuż ostrokołu. Na północy, tuż za nim, znajdowało się niewielkie zarośnięte jezioro. Hubert wypatrzył tylko jedno miejsce, gdzie brzeg nadawał się do kąpieli.

Kiedy ruszyli w stronę jego nowego domu, zobaczył dziewczynę, która szeroko się uśmiechając, szła w ich kierunku.

– Cześć, nowy przybyszu – powiedziała radośnie i wyciągnęła do niego rękę.

– Ehm, cześć – przywitał się chłopak. Dziewczyna była zaokrąglona tu i ówdzie, miała długie, jasne włosy i śliczne niebieskie oczy. To pierwsza mieszkanka Święcina, którą Hubert widział w sukience.

– Jestem Marika.

– Hubert.

– Cała wieś mówi o tobie. – Uśmiechnęła się zalotnie.

Iza odsunęła się i z założonymi na piersi rękoma ostentacyjnie patrzyła w niebo.

– Czy to prawda, że przybywasz z bardzo daleka? – zapytała Marika. – No i słyszałam, że świetnie strzelasz...

– To, że ma niemały arsenał, wcale nie znaczy, że będzie dobrym strażnikiem. – Iza wydawała się zniecierpliwiona. – Wybacz, ale musimy iść. – Chwyciła Huberta za rękaw bluzy i pociągnęła za sobą.

– Ej, przecież rozmawialiśmy... – oburzył się chłopak.

– Gdyby jej pozwolić, w życiu by się nie zamknęła – mruknęła Iza. – Marika może i uczy dzieciaki, ale jak dla mnie ma totalną próżnię w głowie. No i podrywa wszystko, co nosi spodnie.

– Ależ ty jesteś cyniczna – westchnął.

– A ty denerwujący.

Rozstali się pod jego nowym domem. Iza zapowiedziała, że następnego dnia z samego rana przyjdzie po Huberta i zapozna go z innymi strażnikami, których jest sześciu. Długo stał jeszcze w progu i odprowadzał dziewczynę wzrokiem. Nie potrafił określić jej wieku, ale to się nie liczyło. Była cyniczna, zgryźliwa, a jednak miała w sobie coś magnetycznego. Przy niej zapominał języka w gębie, zaczynały mu się pocić dłonie – a znał ją dopiero trzeci dzień!

– Nie ma co, fajna dziewczyna – westchnął, wchodząc do domku. – Tylko spojrzenie tych jej niezwykłych oczu przyprawia mnie o ciarki na plecach.

Tak jak zapowiedziała, Iza przyszła po Huberta następnego ranka.

– Weź ze sobą broń – mruknęła, a potem, nie pytając nawet, czy jest gotowy, wyszła.

Hubert, jako że nie zdążył zjeść śniadania, chwycił kawałek suchego chleba i popędził za swoją przewodniczką.

Weszli do budynku szkoły.

– Marika, którą wczoraj poznałeś, opiekuje się tu ośmiorgiem młodszych dzieci. Starsze uczy Kazimierz Łuczyk, kiedyś był fizykiem – tłumaczyła Iza, prowadząc chłopaka do piwnicy.

W pomieszczeniu było chłodno i wilgotno. Niski, popękany strop, ściany pomalowane na beżowo lata temu i gołe, betonowe podłogi bynajmniej nie wyglądały zachęcająco.

– Tam jest rupieciarnia... – Iza machnęła ręką w stronę zamkniętych drzwi, które właśnie minęli – ...a tu nasza piwnica.

Wprowadziła Huberta do ciemnego wnętrza. Dwa małe okienka tuż pod sufitem wpuszczały do środka niewiele światła. W lewym rogu upchnięto chaotycznie kilka stolików, również krzesła stały, gdzie popadło. Na prawo od drzwi wisiała stara czarna tablica. Była zapisana białą kredą. Iza zaczęła czytać te gryzmoły. Tuż obok wisiał na kawałku tektury zabazgrany kalendarz.

Hubert, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, wzruszył ramionami i usiadł na krześle w kącie. W ciągu dziesięciu minut piwnica zapełniła się strażnikami. Iza przedstawiła wszystkich: Stanisława, potężnego mężczyznę koło sześćdziesiątki; Marka, poważnego ciemnowłosego czterdziestolatka; uśmiechniętego blondyna Jacka; Andrzeja, który był dwa razy większy od Huberta i miał miążdzący uścisk dłoni; Adama, najwyższego ze wszystkich, z krótko przystrzyżonymi włosami; oraz Mikołaja, wysokiego chudzielca z potarganą czupryną. „I tak nie zapamiętam tylu imion naraz” – myślał chłopak, podając każdemu po kolei rękę. Wszyscy byli starsi od niego i wyglądali na silnych mężczyzn.

Wspólnie ustalili grafik wart przy bramie i obchodów wsi. Hubert dowiedział się też, że codziennie ktoś objężdża konno okoliczne lasy i pola.

– Dzisiaj my udamy się na patrol – oświadczyła Iza. Strażnicy pokiwali głowami. Huberta dziwiło, że jej słuchali, przecież była sporo od nich młodsza. No i była dziewczyną.

– Chodźże wreszcie – warknęła, kiedy nowy wciąż wpatrywał się w grafik zapisany na tablicy.

„Po cholere ona za mnie poświadczyła, skoro jest tak antypatyczna? – zadawał sobie pytanie. – Pomyślałbym, że się jej spodobałem, ale ona traktuje mnie jak wrzód na tyłku”.

Iza zaprowadziła go do stajni należącej do Maciejaka. Leciwy, pomarszczony mężczyzna właśnie czyścił boksy, co chwila pociągając spory łyk z piersiówki.

– Jest starym pijakiem, ale na koniach zna się jak nikt inny – szepnęła, żeby mężczyzna nie słyszał.

Wybrała Hubertowi konia, pokazała, jak go osiodłać i założyć ogłowie.

„Jezu, i wy chcecie, żebym na to wsiadł” – przemknęło mu przez myśl, kiedy wyprowadził swojego wierzchowca ze stajni.

– No, już, nie guzdraj się – pogoniła go Iza, która już siedziała w siodle.

Hubert wdrapał się na konia i zadowolony rozejrzał dookoła.

– Jedziemy! – zarządziła dziewczyna. – Dziś nie będzie szaleństw, najwyżej trochę pokłusujemy.

Do południa zdążyli objechać całą okolicę. Hubert był zaskoczony, że ziemia należąca do Świącina jest tak rozległa. Oprócz wielu hektarów pól do jego posiadłości zaliczał się jeszcze las. Każdą starą drogę wjazdową na te tereny oznaczono pniami pomalowanymi na wściekle żółty kolor. Do samej wsi wchodziło się przez główną bramę i mniejszą od strony jeziora.

Po kilku godzinach pokłusowali z powrotem do stajni i Hubert myślał, że go wytrzęsie. Kiedy zsiadł z wierzchowca, ledwie utrzymywał się na nogach. Miał wrażenie, że wewnętrzną stronę ud i łydek obtarł do krwi, a jakby tego było mało, Iza kazała mu jeszcze wyczyścić konia, na którym jechał.

– Dzisiaj zjesz obiad u nas – zarządziła, kiedy skończyli pracę.

Zasiedli do posiłku we trójkę, Hubert, Iza i jej ojciec. Mówili niewiele, dziewczyna zdała suche sprawozdanie z patrolu, a Marian tylko kiwał głową. „Nie tylko ja nie dogadywałem się z rodzicami” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

Po obiedzie oboje pełnili wartę przy bramie i nic ciekawego się nie wydarzyło, mieszkańcy wioski tylko krążyli wte i wewte. Iza prawie się nie odzywała, chociaż Hubert usiłował ją co chwila zagadać. Jedyne, czego się o niej dowiedział, to że ma dwadzieścia trzy lata.

„A więc miałem rację. Jest ode mnie rok młodsza”.

Wieczór nadszedł szybko. Przy bramie zastąpili ich inni wartownicy, Andrzej i Marek. Hubert udał się do swojego nowego domu. Ze studni znajdującej się za domem przyniósł wody i ją zagotował, a potem w dużej plastikowej misce spróbował się umyć. Podjął także wysiłek ogolenia się brzytwą, którą wręczyła mu Iza ze słowami, by „się ogarnął”. Efekt tych prób okazał się jednak marny.

Było około dziewiątej, kiedy Hubertowi dały o sobie znać zakwasy po jeździe konnej. Przeszedł do sypialni, usiadł na szerokim łóżku i wygładził dłonią przykrywający je koc.

– To teraz moje miejsce – mruknął z niechęcią.

Nie podobało mu się tu. Każdy dom z biegiem lat przejmuje cechy osób w nim mieszkających. Różne drobiazgi, kolor zasłonek i dywanów mogą wiele powiedzieć o właścicielach. Ta przestrzeń wciąż odzwierciedlała charakter starej wdowy.

Po chwili zastanowienia wyciągnął z kieszeni zdjęcie z rodzicami i ustawił je na szafce nocnej.

W końcu położył się spać.

– Łóżko po nieboszczce – westchnął, przykrywając się grubą pierzyną. – To będzie ciekawa noc i jeszcze ciekawsze koszmary.

Zasnął niemal natychmiast i o dziwo nie dręczyły go żadne senne mary.

W środku nocy Huberta obudził jakiś hałas.

„Budzik” – pomyślał, zaraz jednak przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

– Dzwon kościelny! – sapnął, wciągając w pośpiechu spodnie.

Na koszulkę narzucił sweter, włożył buty, sięgnął do szafki przy łóżku po colta i popędził pod kościół. „A jak to jakieś chore kotowanie czy chrzest bojowy, to pozarzynam” – pomyślał.

Jednak alarm nie okazał się fałszywy. Na placu była już Iza i strażnicy, brakowało tylko Andrzeja.

– Usłyszeliśmy płacz – relacjonował Marek. – Gdzieś w lesie, głowę bym dał, że to dziecko. Więc Andrzej poszedł sprawdzić, a potem dobiegł mnie jego krzyk i zapadła cisza...

– Przecież nikomu nie wolno samemu wchodzić do lasu po zmroku! – Iza wyglądała na zdenerwowaną.

W ciągu kilku sekund na placu zebrali się wszyscy mężczyźni z wioski. Jeden ze strażników, Adam, zarządził poszukiwania. Rozdzielili się w pary i wyszli z osady tyralierą. Każdy zespół nie oddalał się od kolejnego na więcej niż

dwadzieścia metrów. W lesie odczuwało się ciemność po dwakroć. Choć chudy księżyc dawał trochę światła, gęste drzewa nie przepuszczały jego promieni niżej. Hubert szedł z Izą, która w jednej ręce trzymała pochodnię, a w drugiej browninga.

– Mam nadzieję, że wzięłeś broń – powiedziała cicho.

W odpowiedzi Hubert wyjął zza paska pistolet i go odbezpieczył.

– Tylko nikogo nie postrzel – warknęła.

Szli powoli, w lesie leżało mnóstwo gałęzi i połamanych drzew. Łatwo było się potknąć. Po obu stronach Hubert widział inne pochodnie. Poza oświetloną nimi przestrzeń panowały egipskie ciemności.

Długo szli przed siebie i nawoływali Andrzeja. Jednak bezskutecznie.

Hubert podążał w ciemnościach i uważnie rozglądał się na wszystkie strony, nie patrząc pod nogi. W pewnym momencie potknął się o wystający z ziemi korzeń i prawie upadł.

– Czy musisz być aż taką niezdarą? – syknęła Iza, wyprzedzając go o kilka kroków.

„Jeszcze trochę, a moje szanse u niej spadną poniżej zera – pomyślał gorzko. – Ma mnie za nedorajdę”.

Wtem z prawej strony usłyszeli przeraźliwy krzyk. Oboje zamarli – coś biegło w ich stronę. I to bardzo szybko. Wyraźnie słyszeli tupot na suchym podszybie lasu. Hubert wysilił wzrok i zobaczył w ciemności zbliżający się kształt. Po chwili już rozpoznawał szare, podobne do ludzkiego ciało opierające się w biegu na przednich kończynach, rude, kosmate włosy, paszczę z ostrymi zębami i długie pazury. Nagle zdał sobie sprawę, że potrafi nazwać tę istotę. To była strzyga!

Jak w zwolnionym tempie widział stwora pędzącego wprost na Izę. Dziewczyna upuściła pochodnię, pewnie podniosła pistolet, wycelowała i strzeliła. Strzyga była coraz bliżej. Hubert wiedział, choć nie miał pojęcia skąd, że naboje niewiele pomogą w starciu z bestią o tak twardej skórze. Potwór był rozjuszony, głodny i przestraszony, a przede wszystkim – pioruńsko szybki.

Chłopak, niewiele myśląc, ruszył biegiem w kierunku Izy. Dotarł do niej chwilę przed strzygą. Nie zauważył nawet, kiedy upuścił colta. Mocno objął dziewczynę ramionami i razem potoczyli się po ziemi.

– Złaż ze mnie! – warknęła Iza, wyrrywając się z uścisku. Zaczęła gorączkowo szukać pistoletu, który wypadł jej z dłoni podczas upadku.

Strzyga przebiegła jeszcze kilkanaście metrów, ale po chwili się zatrzymała i odwróciła w ich stronę. Bacznie obserwując dwójkę ludzi, przestępowała z jednej nogi na drugą. Hubert jak we śnie podniósł z ziemi grubą gałąź. Wiedział już, co robić.

– No chodź tu.

Strzyga wystartowała. Chłopak przez cały czas stał nieruchomo, gotowy na zderzenie. W ostatniej chwili odskoczył, uderzając potwora w łeb. Strzyga zawyla dziko i rzuciła się na niego. Hubert upadł plecami na ziemię, osłonił się gałęzią, a nogami usiłował zrzucić z siebie napastnika. Stwór zajadle kłapał zębiskami. W tym momencie Iza uderzyła bestię pochodnią. Strzyga wrzasnęła i odskoczyła. Gorący olej dotkliwie ją poparzył. Była wściekła na ludzi. Przerwali jej posiłek, na który czekała od tak dawna, strzelali do niej, a teraz jeszcze zaatakowali ogniem. Zawarczała gardłowo. Tej nocy podje sobie więcej.

Hubert pozbiierał się z ziemi i podniósł swoją gałąź. Iza z pochodnią stanęła u jego boku. Oboje przypatrywali się rozwścieczonemu potworowi, przygotowując się na kolejny atak. Strzyga wrzasnęła opętańczo, gotowa do skoku, lecz wtedy jej głowa poszybowała w bok, a reszta ciała bezwładnie osunęła się na ziemię. Za nią stał Henryk z maczetą w dłoni.

– Przeklęty mutant! – wycedził.

Po chwili dołączyli do nich pozostali mężczyźni. Z obrzydzeniem patrzyli na truchło. Miny mieli niewesołe, stwór wtargnął na ich ziemię. Jak mogli spać spokojnie, chronić swoje dzieci, kiedy coś takiego włóczyło się po lesie?

– Znaleźliśmy Andrzeja – odezwał się jakiś mężczyzna. Hubert przypomniał sobie, że ma na imię Jacek. – To coś rozwlekło go na dobre dziesięć metrów.

Chłopak opuścił głowę. Ledwie rozpoznał zmasakrowane ciało, przecież nie zdążył nawet zapamiętać, jak facet wyglądał. Hubert poczuł niespodziewanie silną więź ze zmarłym – w końcu obaj byli strażnikami.

Iza zaklęła i ze złością kopnęła ciało potwora.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedział Marek. – Tak, żeby się nie odrodziło.

– Strzygę i jej głowę chowa się osobno – odezwał się Hubert. – Można też ją pogrzebać twarzą do dołu z sierpem dookoła szyi. Wtedy już nie wstanie z grobu.

Wszyscy zamilkli.

– Skąd wiesz? – zapytała w końcu Iza.

– Nie mam pojęcia. – Chłopak wzruszył ramionami. – Po prostu wiem.

Było mu obojętne, skąd ma tę niezwykłą wiedzę. Musiał się już kiedyś natknąć na strzygę, ale w tej chwili średnio go to obchodziło. Zginął człowiek. I to w głupi, bezsensowny sposób, a jego kompani nie mogli nic na to poradzić.

Do rana stwór i jego głowa zostały pochowane poza terenami osady. Ktoś zajął się ciałem Andrzeja, pozbiarał je i zaniósł do wioski. Ktoś inny zaopiekował się żoną zmarłego. Wszystko nadzorował Sołtys.

Ludzie w końcu rozeszli się do domów.

– Wstąpisz do mnie? – zaproponowała Iza Hubertowi. – Mam ochotę na kawę. I to mocną.

– W sumie czemu nie?

W milczeniu poszli do jej domu. Dziewczyna rozpałała ogień w kuchence i wstawiła wodę w czajniku. Do dwóch kubków nasypała kawy. Napój był lekko zwietrzały, ale to im nie przeszkadzało.

– Cholera jasna! – Iza ze złością uderzyła pięścią w stół. – I mamy o jednego strażnika mniej.

– Nie obraż się, ale trzeba usprawnić system ochrony – zauważył Hubert. – Zanim wszyscy się zebraliśmy, Andrzej pewnie już nie żył...

Iza ze smutkiem pokiwała głową.

– Coś wymyślimy, nie martw się – zapewnił chłopak.

– A jednak nie jesteś taką oferumą, za jaką ciebie miałam – mruknęła Iza. Siedzieli po przeciwnych stronach stołu, każde z parującym kubkiem. – Nikogo nie postrzeliłeś.

– Ano nie.

– Pewnie dlatego, że upuściłeś pistolet.

Kiedy wypili kawę, Hubert pożegnał się z Izą i poszedł do siebie. To była długa i wyczerpująca noc.

Następnego dnia wszyscy w wiosce chodzili jak struci. Dzieci nie były takie głośne i nie biegały beztrudnie po drodze.

W południe odprawiono mszę.

– Nawet księdza macie? – zdziwił się Hubert, kiedy weszli do kościoła.

– Nie, ojciec wyznaczył człowieka do czytania Biblii – wytłumaczyła Iza. – Odprawia też pogrzeby, ale co kilka miesięcy odwiedza nas wędrowny kapłan i wtedy święci groby, udziela ślubów i chrztów.

Kościół miał typowy wiejski charakter. Od środka pobielono ściany, podłogę wyłożono kafelkami chyba jeszcze przed komunizmem. Drewniane słupy podpierające niewysoki strop i stare ławy od lat były zjadane przez korniki. Ołtarz spodobał się Hubertowi – estetyczny, rzeźbiony w ciemnym drewnie i przykryty białym obrusem.

Iza kazała chłopakowi usiąść z nią i jej ojcem w pierwszej ławie. Gdy obejrzał się, zobaczył, że wszystkie inne miejsca były zajęte. W kościele w ponurym nastroju zebrała się cała wieś. Zjawił się nawet Henryk. Jako jedyny stanął pod drzwiami, jakby izolując się od innych.

Ciało Andrzeja pochowano na miejscowym cmentarzu.

Po pogrzebie większość mieszkańców osady udała się na skromny poczęstunek, jednak ktoś musiał się zająć patrolami lasów, sprawdzić, czy nie czai się tam nowe niebezpieczeństwo, czy grób strzygi pozostał nienaruszony. Iza zgłosiła siebie i Huberta na ochotnika. „Kolejne godziny w siodle – myślał gorzko chłopak. – Ona chce mnie wykończyć”.

– Dlaczego Henryk na mszy stanął z tyłu? – zapytał Hubert, kiedy jechali przez las.

– Zawsze tam staje – Iza odparła obojętnie.

– Mieszka poza wsią jak jakiś odludek...

– I co z tego? Pomaga nam i pracuje jak każdy inny.

– A nie boi się tam być sam? – dociekał chłopak.

Iza zgromiła go spojrzeniem.

– Ja nie powiem, kto sam po pijaku jeździł sobie po świecie.

– Ej, to się nie liczy – zaprotestował.

– Henryk jest specyficzny – wyjaśniła w końcu Iza. – Nie jest rozmowny, wszystkich uważnie obserwuje. Ludzie nie wiedzą o nim za dużo, tylko że był kiedyś wojskowym... no i go nie rozumieją. Ale jak z czymś mają problem albo się boją, to od razu uderzają do niego. Potrafi naprawić niemal wszystko i świetnie zna się na broni palnej...

– A ty? Wydajesz się być z nim dość blisko.

– No i? – Iza znów spoglądała na niego krzywo. – To on nauczył mnie wszystkiego, co umiem.

Tego popołudnia las był spokojny. Nic groźnego nie czaiło się w cieniu bukowych drzew. Gdyby nie opadłe liście splamione krwią strażnika, można by zapomnieć, że jeszcze w nocy rozgrywał się tu prawdziwy koszmar.

Kolejne dni były podobne do siebie. Co rano Iza zabierała Huberta na objazd okolicznych terenów. Chłopak coraz lepiej radził sobie w siodle. Pełnił też w parze wartę przy bramie, potem uczestniczył w obchodzie dookoła wsi. Na obiad często zapraszano go do domów innych strażników, a wieczorami ktoś zawsze przynosił mu chleb i mięso. Wciąż był tu obcy, ale z czasem ludzie zaczęli się przyzwyczajać do tego dziwnego chłopaka, a i on zaprzyjaźnił się z wieloma osobami. Często gdy nie miał co robić, wybierał się do szkoły i przesiadywał tam w towarzystwie Mariki, która uczyła młodsze dzieci. Może lubiła flirtować i nie miewała głębszych myśli, ale zawsze była wesoła, pogodna i ubierała się w kwieciste sukienki. Stanowiła odskocznnię od szarego, smutnego życia. Oprowadziła Huberta po bibliotecę, która zawierała zaledwie kilkaset



pozycji, ale całe Świącino było z niej dumne. Zawsze robiła mu herbatę i częstowała ciastkami. Iza nigdy nie przegapiła okazji, żeby drwić z jego odwiedzin w szkole.

Nie było dnia, kiedy Hubert nie próbowałby poderwać córki Sołtysa, ale ta tylko z niego kpiła. Wszelkie próby zalotów dusiła w zarodku. „Najwyraźniej chce być traktowana jak inni strażnicy” – pomyślał Hubert i postanowił dać sobie spokój, choć nadal czasem przychodziła do niego w snach.

## ROZDZIAŁ III

– Zimno mi – marudził Hubert na nocnej warcie.

– Trzymaj. – Stanisław, najstarszy strażnik, podał mu kubek i termos z kawą, niesłodzoną i bez mleka. Ale kiedy człowiek był wymarznęty i senny, przestawało to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Siedzieli w stróżówce przy bramie. Budowla ta przywodziła Hubertowi na myśl bardziej wychodek niż prawdziwą strażnicę. Była dość niedbale pozbijana z desek, w które ktoś prowizorycznie wstawił małe okna. W środku starczyło miejsca tylko na trzy krzesła i piecyk typu koza. Niby coś się w nim paliło, ale nikt nie pomyślał, żeby ocieplić ściany, więc ciągnęło zimnem przez liczne szpary w deskach. Do tego Stanisław uparł się, żeby zostawić drzwi otwarte i nasłuchiwać, co dzieje się na zewnątrz. Na szczęście dach był pokryty papą i nie przeciekał podczas deszczu. Choć Hubert nie zdziwiłby się, gdyby podczas silniejszej burzy całą budowlę zmiotło. Ziewając, przeciągnął się na niewygodnym krześle, wyprostował nogi i oparł stopy o mały taboret.

– Jak wy tu wytrzymujecie zimą? – zapytał.

– Nie jest tak źle – odparł stary strażnik. – Jak się dobrze napali, to i zimno nie jest. A jak postawi się na piecyku kubek z kawą, to nie stygnie.

Hubert nie przepadał za nocnymi wartami. Strasznie podczas nich marzł, a kiedy już wygodnie się usadowił na krześle i opatulił kocem, trzeba było iść na obchód wsi. Poza tym niby nie działo się nic ciekawego, ale chłopak ciągle miał wrażenie, że w cieniu czai się niebezpieczeństwo, że krzaki drżą lekko, bo coś groźnego szykuje się do skoku.

– Idziemy? Już pora. – Stanisław wstał z krzesła.

– No dobra. – Hubert również się podniósł.

Stary strażnik chyba jako jedyny zawsze brał na obchód wsi lampę naftową i nigdy jej nie zapalał.

– Gdy świeci księżyc, lepiej wszystko widać bez sztucznego światła – tłumaczył.

– A jak nie świeci? – zapytał Hubert.

– To też da radę. A jeśli ciągle błyskasz lampą po oknach, nie dość, że nie dajesz ludziom spać, to jeszcze widać cię z drugiego końca wsi.

– I to tak źle? Jeżeli coś siedzi na drugim końcu wsi, to na pewno nas wyczuje albo usłyszy – stwierdził chłopak. – Do namierzenia nas nie potrzebuje światła naszej lampy.

– Mów sobie, co chcesz, ja i tak wiem swoje – skwitował Stanisław.

Powolnym krokiem przemierzali uliczki osady, zaglądając do ogródków i sprawdzając każdy podejrzany cień. Noc była spokojna i cicha, tylko wiatr szumiał między drzewami w oddali. Nagle Hubert usłyszał pojedynczy ni to szloch, ni to skowyt, który gwałtownie rozdarł ciszę i równie szybko zamilkł.

– Co to było? – szepnął chłopak.

– Co? – Stanisław rozejrzał się dookoła. – Nic nie słyszałem.

Oboje czekali w napięciu, czy dźwięk się powtórzy.

– Może się przesłyszałem – powiedział cicho Hubert i w tym momencie znów do jego uszu dotarł ten upiorny niby-płacz.

Chłopak spojrzał pytająco na starego strażnika.

– To? – zdziwił się mężczyzna. – Toć to koziołek był.

– Jaki znowu koziołek?

– Koziołek, mąż sarny – wyjaśnił Stanisław, jakby rozmawiał z dzieckiem. – Chyba jakąś mutację przechodzi, bo taki ochrypły.

– Jesteś pewien? Mnie to brzmiało trochę jak strzyga...

– Strzyga? Daj spokój. Może nie do końca wiem, jakie dźwięki wydaje strzyga, ale polowałem w tych lasach jeszcze przed twoim narodzeniem i wiem, że to beknął koziołek.

Hubert mimo wszystko odbezpieczył pistolet. Andrzej wtedy też być może myślał, że to dziecko płakało w lesie, i jak skończył? Rozwleczonej po okolicy na kilka metrów.

Urywany skowyt powtórzył się jeszcze raz i zamilkł na całą noc.

– Ludzie nie znają lasu – odezwał się Stanisław, kiedy wrócili do strażnicy. – Boją się go. Tak było, od kiedy pamiętam. Powiedz mi, ilu twoich znajomych, jeszcze przed tym wszystkim, przed wojną, czuło się nieswojo w nocy w lesie?

Hubert się zastanowił. Znał kilka dziewczyn, które za nic nie weszłyby do ciemnego lasu. A jeżeli chodzi o kumpli, to choć żaden by się do tego nie przyznał, też pewnie by się bali.

– I popatrz – kontynuował Stanisław. – Kiedyś usłyszałbyś takiego koziołka i spróbował racjonalnie sobie wytłumaczyć upiorny dźwięk, a i tak odetchnąłbyś dopiero rano w bezpiecznym miejscu.

– No, w sumie tak – mruknął Hubert.

– A wtedy miałeś w zasięgu ręki wszystkie cuda techniki. W cywilizacji ludzie czuli się bezpieczni, wszystko miało wytłumaczenie. To teraz weźmy takiego ucywilizowanego człowieka, zabierzmy mu całą technikę i pokażmy, że w ciemności jednak czają się stwory, o których opowiadała mu kiedyś babka. I co z tego wyniknie?

Hubert zastanowił się chwilę. Stary myśliwy miał rację.

– Ludzie wpadają w panikę – powiedział chłopak. – Wszystko, czego nie znają, przypisują demonom.

– Złożę się, że przez ostatnie lata co najmniej połowa widzianych czy słyszanych demonów to jedynie wytwory ludzkiej wyobraźni.

– Ale nie zaprzeczysz, że one istnieją i że jest czego się bać.

– Chłopcze, one zawsze istniały. – Stanisław pokręcił głową. – Nasi dziadkowie o nich opowiadali, a myśmy myśleli, że to bajki. To nie jest tak, że przez cywilizację wyginęły. One były zawsze, czekały w cieniu, tylko my temu zaprzeczaliśmy.

Huberta przeszedł dreszcz. „One zawsze tam były, czaiły się gdzieś na granicy cienia, a myśmy nie wierzyli – pomyślał. – Ilu ludzi widziało przed wojną demony, a potem przypisywało to omamom?”

– Jak myślisz, w lesie mogą jeszcze kryć się jakieś strzygi? – Hubert zagadnął Jacka, kiedy dwa dni później obaj mieli wartę przy bramie.

Strażnik siedział wygodnie rozparty na ławce i zajadał się kawałem szynki.

– A skąd ja to mogę wiedzieć? Ponoć to ty jesteś ekspertem.

– Gdzie tam. – Chłopak machnął ręką, przeszedł kilka kroków w poprzek drogi i oparł się o otwartą bramę. – Sam nawet nie wiem, skąd miałem jakiegokolwiek pojęcie, co wtedy robić ze strzygą.

– A szkoda, bo przydałby nam się ktoś, kto wie – westchnął Jacek. – Kiedyś ludzie byli mądrzejsi. Wiedzieli, jak przebłagać demona albo jak go wykończyć. Jak go rozpoznać i co z nim zrobić. A my działamy na ślepo, zgadujemy to, co dla naszych babek było oczywiste.

Hubert podniósł z ziemi kamyk i przez chwilę go podrzucał w dłoni.

– A nie ma w bibliotece żadnej książki na ten temat? – zapytał. – Macie Biblię i *Encyklopedię zdrowia*...

Jacek pokręcił głową.

– Chcielibyśmy, ale niestety... mamy za to mnóstwo romansów. Ech, jakoś odbudowaliśmy naszą wieś, jakoś dajemy radę przeżyć, nauczyliśmy się, co powinniśmy robić, i choć nie jest łatwo, ciągniemy do przodu, ale te przekłete demony... – Uderzył otwartą dłonią w udo. – Wiedza o nich jest na wagę złota.

Tego popołudnia Hubert po raz pierwszy usłyszał o demonologii.

– Mówią, że kiedyś biblioteka w mieście miała w zbiorach książkę ze starymi wierzeniami – powiedział Jacek. – Spis demonów, wskazówki, jak je zabić czy oswoić... Nawet nie wiesz, ile taka książka jest warta.

Następnego dnia Hubert wybrał się do szkoły, żeby porozmawiać z Mariką i zapytać ją o księgę.

Dziewczyna była pochłonięta lekturą w bibliotece. W rogu, przy stole, siedział nad jakimiś wykresami mężczyzna około czterdziestki i mamrotał coś pod nosem. Hubert uznał, że to musi być Łuczyk, ten fizyk, który uczy starsze dzieci.

– Cześć. – Marika rozpromieniła się na widok gościa. – Co cię tu sprowadza?

– A, tak wpadłem pogadać. – Wsadził ręce do kieszeni. – No i zastanawiałem się, czy wiesz może coś na temat tej demonologii.

– Tak, słyszałam o niej – westchnęła dziewczyna, parząc herbatę. – Ale nie wiem, czy to prawda, że istnieje. Na wsiach biblioteki są marnie zaopatrzone, a te w miastach już dawno temu spłonęły. Jeśli więc kiedykolwiek istniało coś takiego jak ta demonologia, to teraz pewnie należy już do historii.

Hubert się zasępił. Spotkał strzygę, zobaczył, do czego jest zdolna, a gdyby wcześniej to wiedział, może zapobiegliby śmierci Andrzeja.

– Ale mamy przecież takich dzielnych strażników. – Marika złapała go za rękę. – Na pewno obronią nas przed wszystkimi demonami.

„Ona jest taka niedzisiejsza – pomyślał chłopak – święcie wierzy, że jest bezpieczna, że ją obronimy, a świat to całkiem przyjazne miejsce”. Ale to właśnie ta ufność i naiwność przyciągała go do tej dziewczyny. Przy Marice czuł się jak

prawdziwy mężczyzna, zdolny do wielkich poświęceń i czynów. Nie to co Iza, która pokazywała, jak wielką Hubert jest oferując; w jej towarzystwie zawsze robił lub mówił coś niewłaściwego.

Dwa tygodnie po przybyciu nowego do osady Iza wraz z trzema innymi strażnikami wybrała się do miasta, gdzie był dzień handlowy. Hubert został przy bramie z Markiem.

– O co chodzi tak dokładnie z tym dniem handlowym? – zapytał chłopak.

– Nikt ci jeszcze nie powiedział? – zdziwił się mężczyzna. – Nasi zawożą do miasta, a właściwie przed miasto, bo na jego teren nie mamy wstępu, jedzenie, skóry, mięso, wędzone ryby, mąkę, chleb i wymieniają to na te rzeczy, których my nie mamy, a które z gruzów wybierają miastowi.

– Nie możemy sami ich powybierać?

– Słuchaj, synku: my nie wchodzimy do miasta, oni nie przekraczają naszych granic, handlujemy ze sobą i wszyscy są szczęśliwi. Czasami jesteś naprawdę nierozgarnięty.

„Gdyby tobie uciekło siedem lat życia, też byś tak miał” – pomyślał z goryczą chłopak.

– Będę kiedyś mógł też tam pojechać? – zapytał.

– Nie wiem, jesteś cały czas na okresie próbnym. Musisz pogadać z Izą, to ona jest za ciebie odpowiedzialna.

– Zanim tu przyjechałem, widziałem mnóstwo opuszczonych wsi i miast – powiedział Hubert, zastanawiając się nad czymś. – Dlaczego nikt tam nie mieszka? A poza tym nie byłoby łatwiej i taniej stamtąd wziąć to, czego potrzebujecie?

Marek przyjrzał się uważnie chłopakowi i pokręcił głową.

– A ty chciałbyś mieszkać sam w zapadłej dziurze, gdzie jeszcze poniewierają się kości poprzednich mieszkańców? Bezpieczniej jest żyć tak jak my, w grupie, na wsi. A jeżeli chodzi o duże miasta, to cóż... jest tam wiele miejsc i kryjówek, gdzie może zamieszkać w spokoju parę osób. Ludzi ciągnie do siebie, zajęli kilka dzielnic i co prawda prowadzą te swoje małe wojenki, ale za to mają spokój z demonami. Tam nie ma tylu potworów co w lasach. Jeśli zaś chodzi o twoje drugie pytanie, to nie, nie byłoby taniej wybrać się do jakiejś opuszczonej wioski. Po pierwsze, wszystkie są oddalone od nas o więcej niż dzień drogi, a nocowanie w lesie nie należy do najprzyjemniejszych, a po drugie, najbliższe miejscowości są, że tak powiem, zupełnie wyczyszczone. Nic tam nie znajdziesz. A Poznań jest blisko i oferuje olbrzymie ilości różnych towarów, co prawda przeterminowanych, ale zbyt mało ludzi zostało, żeby się nimi nie cieszyć.

– Rozumiem. – Hubert pokiwał głową.

– Ale raz czy dwa razy do roku kilka osób wybiera się na szaber do dalszych miejscowości i przywożą, co znajdują...

Chłopak nie zdążył dowiedzieć się niczego więcej, gdyż w tym momencie podeszła do nich córka Marka z obiadem. Przyniosła mięso z warzywami.

– Dzięki. – Marek pocałował ją w czoło, ale dziewczyna nie odeszła. Wpatrywała się w Huberta.

– Dziękujemy – powiedział, na co uśmiechnęła się zalotnie.

„Ładna jest – pomyślał. – Szczupła i taka śliczna, no... i w moim wieku. Nie, przecież nie może mieć więcej niż siedemnaście lat. Jestem dla niej za stary” – uświadomił sobie, przestał się uśmiechać i odwrócił wzrok. Dziewczyna odeszła niepokieszona.

„Wszyscy się tu znają, nie ma szans poderwać kogoś nowego... co za dno – przemknęło mu przez myśl. – Nic dziwnego, że dziewczyny na mnie lecą, jestem dla nich kimś nowym. Tylko Iza ma mnie za idiotę. No, ale zawsze pozostaje jeszcze Marika...”

– Cóżeś się tak zamyślił? – zapytał Marek, dzieląc obiad na dwie porcje.

– Co? – Hubert się ocknął. – Ech, nic takiego. Wiesz co, jedno mnie zastanawia. Dlaczego Iza jest jedyną kobietą strażnikiem?

– Iza strażnikiem? – zdziwił się Marek. – Skąd ci to przyszło do głowy?

Chłopak poczuł się zbity z tropu. – No bo spędza z nami dużo czasu? Jeździ też na patrole i siedzi na warcie...

– Bo to lubi i robi w wolnym czasie.

– A co w takim razie robi, kiedy nie ma wolnego?

– Pomaga Henrykowi. Facet jest prawdziwą złotą rączką i mówi, że Iza też ma talent, więc uczy ją wszystkiego. Jak trzeba naprawić coś bardziej skomplikowanego, to oni się tym zajmują. Opiekują się bronią, polują.

Hubert się zamyślił. Iza tak się różniła od pozostałych kobiet we wsi. Ba, ona nie była podobna do żadnej dziewczyny, jaką kiedykolwiek poznał. Świetnie sobie radziła z końmi, dobrze strzelała ze swojego browninga i wydawało się, że nie bała się niczego. Bez chwili zastanowienia poszła na polowanie na strzygę, zaatakowała ją uzbrojona tylko w pochodnię...

W kolejnych dniach Hubert miał bardzo dużo pracy, gdyż u Józka Maciejaka zawałił się dach i Sołtys oddelegował chłopaka do pomocy. Razem z Henrykiem najpierw uprzątnęli wnętrze domu i rozebrali pozostałości dachówek. Maciejak niby im pomagał, ale woleli, gdy siedział pijany w stajni. Jego żona, Barbara, z dwójką synów na kilka dni przeniosła się do sąsiadki.

Zazwyczaj pracowali w milczeniu. Hubert co jakiś czas próbował zagadać Henryka, ale ten odpowiadał półsłówkami. Wiosna była już w pełni, słońce przygrzewało w południe, więc kiedy przybijali deski stropowe, chłopak zdjął koszulkę. Niedługo potem córka Marka, Ania, przyniosła im wody do picia.

– Ciężko pracujecie – powiedziała, łakomym wzrokiem patrząc na Huberta.

– Ech, gdzie tam... – Chłopak machnął ręką. Jego próżność została mile połączona.

Ania podała mu pełną plastikową butelkę, przez cały czas uśmiechając się zalotnie. „Śliczna jest – myślał – a czy siedem lat różnicy to tak dużo? Ale Marek by się chyba wściekł...”

Hubert z chęcią pogawędziłby z ładną nastolatką, ale Henryk mu w tym przeszkodził.

– Ty, Romeo! – zawołał. – Chodź tu przytrzymać belkę!

– No cóż, obowiązek wzywa. – Chłopak uśmiechnął się do Ani i świadom tego, że dziewczyna nadal ich obserwuje, z lekkością wspiął się po drabinie na dach.

– Ta mała pożera cię wzrokiem – powiedział Henryk od niechcenia, kiedy Hubert pomagał mu przybić belkę stropową do kalenicy.

– Ma się ten urok osobisty – odparł zadowolony chłopak.

– Albo jest się po prostu nowym we wsi. Uważaj na nie, niejedna miejscowa dziewczyna z chęcią zaciągnęłaby cię przed ołtarz.

– Przed ołtarz? – Hubert z pewnością jeszcze nie był gotowy na stawanie przed jakimkolwiek ołtarzem. – Dobrze, że nie macie księdza na stałe.

– A jak tylko byś skrzywdził którąkolwiek z tutejszych dziewczyn – kontynuował Henryk – to żaden ojciec ci nie podaruje. Reszta wsi zresztą też.

Groźba zawisła w powietrzu. „Ciekawe, czy chodzi mu ogólnie o wszystkie tutejsze dziewczyny, czy o konkretną – zastanawiał się Hubert. – O Anię chyba raczej nie, przecież była dla niego za młoda. A może o Marikę? E, jej ojciec to spokojny rolnik, raczej nie pogoniłby mnie ze strzelbą w rękę. Iza? Ona umie o sobie zadbać i najwyraźniej jako jedyna nie jest nim zainteresowana. Lecz Henryk jakby zastępuje jej ojca... a nie chciałbym stać z nim po przeciwnych stronach barykady”.

W nocy śniło mu się, że spotkał w lesie piękną dziewczynę. Miała czarne włosy, ciemne oczy, była ubrana w białą sukienkę i chodziła boso. Chciał zapytać ją, jak się nazywa, spróbował złapać ją za delikatną dłoń, ale za każdym razem wymykała mu się ze śmiechem. W pewnej chwili, kiedy byli już wyjątkowo blisko siebie, ona nagle zamieniła się w strzygę i z upiornym skowytym uciekła w las. Potem Józek Maciejak gonił go po Świącinie ze strzelbą, krzycząc, że Hubert zbałamucił mu córkę.

Chłopak obudził się dopiero, kiedy spadł z łóżka na twardą podłogę. Był cały zlany potem.

– Co za kretyński sen – mruknął i szczerliwie owijając się pierzyną, znów się położył. – Za dużo kiedyś oglądałem horrorów.

Znów męczyły go nieprzyjemne sny. A kiedy wstało słońce, nakrył głowę poduszką, ciesząc się, że w końcu ma dzień wolny i może się wyspać. Najwyraźniej jednak cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu, gdyż jak tylko zapadł w przyjemny letarg, usłyszał pukanie do drzwi.

– Idź sobie – mruknął do poduszki, lecz gość nie zamierzał tak łatwo odpuścić i wciąż natarczywie się dobijał. – No dobra, już idę – krzyknął, gdy pukanie powtórzyło się po raz piąty.

Wcisnął się w spodnie i półprzytomny ruszył do drzwi.

– No i gdzie się pali? – mruknął, otwierając je.

– Och, przepraszam, myślałam, że już wstałeś – usłyszał słodki dziewczęcy głosik.

Przetarł oczy i zobaczył Anię.

– Spójrz, co ci przyniosłam na śniadanie – pochwaliła się, unosząc w górę trzy słoiki. – Tu masz dżem truskawkowy, tu aroniowy, a tu wiśniowy. – Wręczyła mu prezent i wyczekująco na niego spojrziała.

„No i co ja mam teraz zrobić? – zastanawiał się. – Wypada ją zaprosić do domu? Czy może bez przyzwyczajenia jest to teraz karalne?”

Machnął w powietrzu dłonią, próbując odpędzić wizję Maciejaka ścigającego go z dubeltówką. „Marek chyba mnie nie pobije – stwierdził w końcu. – Mam przynajmniej taką nadzieję”.

– To może wejdiesz na jakąś herbatę? – zaproponował dziewczynie, która zaczęła już przestępować z nogi na nogę.

– Z przyjemnością. – Ania się rozpromieniła.

– Wybacz bałagan, ale wiesz... – Hubert zaczął się tłumaczyć, gdy przepuścił ją w progę. – Jakoś nie miałem kiedy ogarnąć...

– Wiem. – Ania z żalem pokiwała głową. – Zauważyłam, że Iza nie daje ci spokoju. Ciągłe masz jakieś warty, obchody...

Hubert zaprowadził gościa do kuchni. Dziewczyna usiadła przy stole, rozejrzała się, a po chwili jej wzrok zatrzymał się na nagim torsie chłopaka.

– Ee, to ja coś na siebie narzucę – mruknął i wymknął się do pokoju. Zupełnie zapomniał, że jest na wpół nagi, a ta mała najwyraźniej miała ochotę na podryw.

Kiedyś Hubert byłby zadowolony, że jest dla dziewczyn tak łakomym kąskiem, teraz jednak musiał przystosować się do nowych realiów. Poza tym pamiętał o ostrzeżeniu Henryka. „Bądź dla niej miły, ale trzymaj na dystans” – chłopak pouczał siebie, kiedy wkładał koszulkę. Gdy wrócił do kuchni, zobaczył, że Ania już rozpałała ogień w starej westfalce. „Rany, która z moich koleżanek potrafiłaby tak szybko to zrobić? – zastanowił się. – Ba, podejrzewam, że mało która byłaby w stanie rozpałać ogień nawet za pomocą rozpalki do grilla”.

– Gdzie masz herbatę? – zapytała Ania.

– Tam. – Wskazał jedną z szafek.

W końcu usiadł za stołem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Nie spróbujesz? – zmartwiła się Ania, patrząc na wciąż zakręcone słoiki dżemu.

– Co? Ach, tak. – Hubert otworzył dżem truskawkowy i posmarował nim kromkę chleba. – A ty? Nie chcesz?

– Dziękuję. Nie jestem głodna – powiedziała.

Chłopak jadł, a ona patrzyła na niego z tym swoim uśmiechem. Sytuacja była niezręczna, rozmowa się nie kleiła, ale Ani najwyraźniej to nie przeszkadzało.

– Masz dziurę – odezwała się nagle.

– Co?

– No, masz dziurawą koszulkę.

Hubert spojrział na swoje ubranie. Rzeczywiście w pośpiechu włożył najgorszą koszulkę, która już dawno temu poprzecierała się w kilku miejscach.

– E tam. – Machnął ręką.

– Nie możesz tak mówić – zganiła go. – Moja mama cały czas powtarza, że choć świat się skończył, to jeszcze nie powód, żeby wyglądać niechlujnie. Jak chcesz, mogę ci ją zaszyć – zaproponowała z nagłym ożywieniem.

„Na pewno – pomyślał chłopak. – Chciałabyś, co? Potem ugotujesz mi obiad i zaczniesz sobie wyobrażać, jakie kwiaty będą pasowały do twojej ślubnej sukienki, a Marek rzeczywiście pogoni mnie z dubeltówką”.

– Dzięki – odpowiedział. – Sam dam radę. A poza tym... twoi rodzice w ogóle wiedzą, że tu jesteś?

– No... ehm – zająknęła się. – Nie bardzo. – Pokręciła głową.

Hubert wiedział, że to cios poniżej pasa, ale ta pannica musiała przestać wyobrażać sobie nie wiadomo co.

– To może ja już pójdę – mruknęła Ania, spuszczać głowę.

Zrobiło mu się żal dziewczyny.

– Ale dzięki za dżem. – Uśmiechnął się, gdy odprowadzał ją do drzwi. – Jest pycha.

– To na razie – powiedziała i odeszła.

Hubert jeszcze chwilę stał na progu swojego nowego domu. „Biedna dziewczyna – pomyślał. – Ile miała lat, jak to wszystko się wydarzyło? Dziesięć? Wtedy jeszcze była za mała, żeby docenić wszystkie walory tamtego świata. Ja w jej wieku dostawałem wszystko, drogie sprzęty, markowe ubrania, jeździłem na zagraniczne wycieczki, chodziłem na piwo z kumplami i koleżankami... A ona? Co ma ona? Ciuchy sprzed siedmiu lat i mnóstwo pracy w gospodarstwie. Pewnie od kilku lat nie opuściła granic Święcina, nie ma gdzie poznać fajnego chłopaka ani nowej koleżanki”.

Hubert wszedł z powrotem do budynku i rozejrzał się wokół. „Teraz to mój dom – pomyślał. – Nie mam rodziny, jestem na tym świecie sam...”.

– Ale bajzel to mam jak za dawnych dobrych lat – stwierdził, patrząc na otaczający go bałagan. – Mama by się wściekła.

Teraz jednak nikogo nie obchodziło, czy miał porządek ani czy był dobrze ubrany.

– Jestem panem samego siebie – powiedział z udawaną radością. Wolność wcale nie była tak cudowna, jak to sobie kiedyś wyobrażał. – I przez wzgląd na to wszystko powinienem tu ogarnąć – dodał po chwili.

Po śmierci wdowy, która kiedyś tu mieszkała, ktoś wysprzątał domek i zabrał wszystkie rzeczy mogące się przydać innym. Hubert nie miał więc zbyt wiele sprzątanego, lecz najpierw udał się do Izy, która z wiejskiego magazynu dała mu miotłę, ścierki i środki czystości. Potem zmiotł pajęczyny ze ścian, wytrzeptał na podwórku koce, przetrął okna, umył podłogi. Uznał, że kiedyś jeszcze naprawi wypaczone od wilgoci szafki, ale na razie nie miał do tego serca. Nie wiedział, co przyniesie kolejny dzień, czy nie zechce opuścić Święcina. A może mieszkańcy sami go stąd wyrzucą za jakiegoś przewinienie? Nie czuł się tu jak u siebie, a poza tym chciałby się dowiedzieć, co porabiał przez te siedem lat od katastrofy w Paryżu. Musiał przecież poznać nowych ludzi... i jakoś wrócić do Polski. Dawni znajomi pewnie się zamartwiali, co się z nim dzieje.

– Może nie powinienem niczego ani nikogo szukać, w końcu ktoś tak mnie załatwił, że straciłem pamięć – mruknął do siebie.

Na razie postanowił pozostawić takie rozmyślenia w spokoju i zająć się swoim tu i teraz. A to znaczyło również zrobienie porządku z odzieżą. Zapas czystych ubrań skończył mu się już dawno temu. Trzeba było je wszystkie wyprać i pozszywać.

– Potrzebuję mydła, wody, igły i nici – zaczął wyliczać.

Najpierw poszedł do studni, nabrał wody, dumny, że już nie ma problemów z posługiwaniem się żurawiem, potem wziął mydło i zabrał się do prania.

– Boże, to robota głupiego – marudził, gdy plamy z ubrań nie chciały zejść, nawet gdy je mydlił i tarł aż do przedziurawienia materiału. – Rodzice nie przygotowali mnie do prawdziwego życia. Przecież mama nie pozwoliła mi uprać nawet skarpetek! Ba, działanie pralki to była dla mnie magia. Te wszystkie przyciski, pokrętła, regulacja temperatury... A swoją drogą... gdybym miał tutaj chociaż bieżącą wodę, nawet zimną, żeby nie latać co chwila z wiadrem do studni. Albo sedes ze spluczką!

Hubert prał i rozmyślał, jak załatwić bieżącą wodę, ale nie wpadł na żaden pomysł. Poszedł więc do ogródka i zaczął rozwieszać mokre ubrania, gdy zobaczył za płotem dzieciaka, który mu się przyglądał.

– Cześć, mały! – zawołał i machnął do niego ręką, ale chłopiec schował się za krzakiem. – Cóż... – Wzruszył ramionami i wrócił do pracy, lecz po chwili zauważył, że pod płotem stoi już troje dzieci. Wszystkie przyglądały się nowemu, jakby czegoś od niego chciały.

– Co jest? – podszedł do maluchów, ale te uciekły z piskiem.

– Dobrze, że jesteś, mówili, że masz dziś wolne – usłyszał za sobą.

To była Ela, żona Marka. Hubert znał kobietę z widzenia, ale bezpośrednio z nią nie rozmawiał. Nigdy by się do tego nie przyznał, nawet przed sobą, ale prawda była taka, że się jej bał. Ela miała w sobie coś, co ustawiało wszystkich mężczyzn w szyku. Hubert nigdy nie słyszał, żeby na kogokolwiek krzyczała, nie musiała tego robić. Człowiek bez szemrania wykonywał to, co kazała.

– Ano mam wolne – powtórzył chłopak.

– To może masz ochotę przejść się z nami nad jezioro? – zaproponowała, ale z tonu jej głosu wyczuł, że jakkolwiek sprzeciw będzie bezcelowy.

– No, mogę mieć – odparł, choć planował siedzieć w fotelu na słońcu i przyglądać się, jak schną ubrania. Za kobietą stała grupka uśmiechniętych dzieciaków, trójka spod jego płotu też tam była.

– To weź jakiś koc; ja zabiorę coś do picia i jedzenia – powiedziała Ela. – Aha, i nie zapomnij o broni.

– O broni? – zapytał, nie rozumiejąc.

– Przecież po to cię zabieramy. – Pokręciła głową ze zniecierpliwieniem, a Hubert się zarumienił, nie wiedząc dlaczego.

Kilka minut później rozłożyli koce na miękkiej trawie na brzegu niewielkiego jeziora graniczącego z terenami Świącina. Ośmioro towarzyszących im dzieci zaczęło się rozbierać i z niecierpliwością czekało na pozwolenie wejścia do wody.

– No, na co czekasz? – Ela zapytała ponaglając Huberta. – Już, rozbieraj się i idź sprawdzić brzeg.

– Ale po co? – nie rozumiał.

– Żeby sprawdzić, czy nic nie siedzi w wodzie i nie zaatakuje dzieci – wyjaśniła tonem, którego używała zawsze, gdy rozmawiała z osobami niezbyt rozgarniętymi.

– Aha – powiedział i z niechęcią zaczął się rozbierać do samych bokserek. – Ale ta woda zimna! – poskarżył się, gdy wszedł do niej po kostki.

– Oj, nie przesadzaj! – skarciła go Ela.

– I co mam teraz robić? – mruczał do siebie, wchodząc coraz głębiej. – Skąd mam wiedzieć, czy tu jest bezpiecznie? Też sobie wymyślili...

Szczękał zębami z zimna. Ciało pokryło się gęsią skórką. Rozglądał się, zbadał zamulone dno, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Na koniec przemógł się i zanurkował, ale woda miała zielonkawy kolor i prawie w ogóle nie była przejrzysta.

– Ja tam nic nie widzę – powiedział, wychodząc na brzeg.

Słyszac te słowa, dzieciaki z krzykiem wbiegły do wody i zaczęły się nią chlapać. Ela podała Hubertowi suchy ręcznik, którym chłopak się owinął i wciąż trzęsąc się z zimna, usiadł obok niej na kocu.

– To jest niemożliwe, żeby one miały w pełni wykształcone nerwy – stwierdził, patrząc na dzieci, którym zimna woda najwyraźniej nie przeszkadzała.

– Są zahartowane. – Ela wyjęła z wiklinowego kosza termos i naleła herbaty do dwóch kubków. Jeden podała Hubertowi.

– Dziękuję – powiedział i mocno ścisnął naczynie obiema dłońmi.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Chłopak czuł się niezręcznie w towarzystwie Eli, tym bardziej że rano odwiedziła go jej córka, która nie wspomniała rodzicom o tej wizycie.

– Lubię patrzeć na dzieci, kiedy się bawią – odezwała się w końcu Ela. – Są takie... takie normalne. Potrafią zapomnieć, że świat jest zły, i po prostu cieszą się chwilą.

Hubert spojrział na ośmioro dokazujących maluchów. Chłapały wodą, śmiały się, co jakiś czas wybuchała kłótnia o to, kto kogo podtopił, ale zaraz znów bawiły się w najlepsze. Chłopak zamknął oczy i odtworzył – częściowo z pamięci, częściowo ze starego zdjęcia, które pozostało mu po rodzicach – podobny obraz. Szum fal, biały gorący piasek, który aż parzył stopy. Czy się patrzyło w lewo, czy w prawo, aż po horyzont ciągnął się las kolorowych parasoli i parawanów, a z przodu falowało morze. Lekka bryza nie była w stanie rozproszyć żaru lejącego się z nieba. Ludzie leżeli plackiem na kocach, dzieci budowały zamki z piasku i tamy, pluskały się w wodzie. Ktoś w oddali puszczał latawce, których kolorowe kształty śmigły po niebie. Kiedy to było? Miał wtedy chyba z dziesięć lat. To jedyne wakacje, które spędzili tylko we trójkę. Pewnie dlatego tak dobrze pamiętał te chwile. Spali w podrzędnym pensjonacie, co dzień jedli na obiad rybę i godzinami siedzieli na plaży. Z ojcem wybudował wtedy olbrzymi zamek, który miał fosę i mnóstwo wieżyczek, mama leżała obok na kocu i czytała książkę. A następnego dnia był przypływ i ich budowla zniknęła. Potem zaczął padać deszcz, więc całe popołudnie spacerowali od jednej kawiarni do drugiej, a Hubert zjadł olbrzymią porcję lodów, po których się pochorował. To działo się tak dawno temu, świat był wtedy zupełnie inny. Kto by pomyślał, że większość ludzi, których wtedy spotkał, całe tłumy turystów, sklepikarzy, restauratorów zginą. Chłopak zadrżał na samą myśl o tym, ile znanych mu osób odeszło. A on przeżył. Jakim cudem?

– Nadal ci zimno? – głos Eli dotarł do niego jakby z innego świata. – Chcesz jeszcze herbaty? Mam też trochę ciasteczek.

– Poproszę. – Kiwnął głową. Nie chciał myśleć o tym, co się stało siedem lat temu. – Czy zawsze sprawdzacie wodę w jeziorze, zanim się kąpicie? – zapytał.

Ela pokiwała głową.

– Nie pozwalamy dzieciakom samym przychodzić nad jezioro. Bez opieki nie zapuszczają się też do lasu. Nigdy nie wiadomo, co czai się w cieniu. Niektórzy mówią, że w tym jeziorze grasuje coś większego niż szczupaki.

– A widział tu ktoś cokolwiek?

– Wiesz, jak to jest. Gdy zapada zmrok, ludzie widzą i słyszą różne rzeczy. – Wzruszyła ramionami.

Hubert spojrział na spokojną taflę szmaragdowego jeziora. Przeciwległy brzeg gęsto porastały trzciny, za nimi zaś rosły potężne drzewa, których gałęzie zwieszały się do wody. „Piękna, spokojna okolica – pomyślał. – Kiedyś ludzie zapłaciliby grube pieniądze, żeby przyjechać w takie miejsce na urlop”.

– Dzieciaki! Z wody! – krzyknęła Ela. Dzieci z niechęcią wyszły na brzeg i zaczęły się wycierać.

Chwilę jeszcze posiedzieli w słońcu, żeby maluchy się ogrzały, a potem Ela zarządziła powrót do wsi.

– Może wpadłbyś dziś do nas na obiad? – zaproponowała, kiedy Hubert już miał się pożegnać i ruszyć do siebie. Jej ton jak zwykle nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

Nie miał innego wyjścia, jak kobiecie przytaknąć.

– Z przyjemnością – odpowiedział wbrew sobie Hubert, a w duchu zaczął siebie przeklinać.

„I co ja robię? – myślał gorączkowo. – Przecież to matka Ani, jak mam do nich iść na obiad? Dziewczyna będzie robiła do mnie maślane oczy, a Ela i Marek gotowi są pomyśleć, że to ja ją podrywam!”.

Zły na siebie wrócił do domu, pozbierał pranie i zabrał się do zszywania porwanych ubrań. Dwie godziny później wybrał koszulkę, która była w najlepszym stanie, i poszedł na obiad.

Drzwi otworzyła mu Ania. Zaprowadziła go do pokoju, a potem, speszona, uciekła do kuchni.

Hubert, siedząc przy stole, rozejrzał się. Wszędzie panował wręcz sterylny porządek. Nigdzie nie było nawet drobinki kurzu. Na ścianach wisiało kilka obrazków, na meblach stały w rzędzie talerzyki z filiżankami w różyczki. Ten dom wyglądał o niebo lepiej niż jego mieszkanie. Siedząc tutaj, można było zapomnieć, że kiedyś nastąpiła jakaś katastrofa.

– Dobrze, że już jesteś. – Do pokoju weszła Ela. – Powyjmuj z tej szafki naczynia i sztućce na trzy osoby i nakryj do stołu.

– Trzy osoby? – zdziwił się.

– Tak, Marek ma dziś wartę.

„Może to i lepiej, że nie będzie go na obiedzie” – pomyślał Hubert i zabrał się do ustawiania naczyń na śnieżnobiałym obrusie. Po chwili Ania przyniosła jedzenie i usiedli do stołu. Na obiad były ziemniaki, surówka i przepyszna karkówka.



– Dawno nie jadłem tak smacznego posiłku – westchnął chłopak.

– Kłamca – stwierdziła Ela. – Słyszałam, że często jadasz u innych. A wiem, że nie jestem najlepszą kucharką w Święcinie.

– Ależ nie... – zaprotestował słabo chłopak.

– Powinieneś za to spróbować moich dżemów – powiedziała. – W sporządzaniu zapasów na zimę nie mam sobie równych.

Ania zmieszana opuściła głowę i uparcie zaczęła wpatrywać się w talerz, a Ela uśmiechnęła się do Huberta. „Ona wie, że jej córka była dziś u mnie” – przemknęło mu przez myśl. Ale kobieta zajęła się jedzeniem.

– Ładny macie dom – postanowił zmienić temat.

– Staramy się – przyznała cicho Ania. – Mama mówi, że może sobie być koniec świata, ale człowiek i jego mieszkanie muszą wyglądać przyzwoicie, choćby nie wiem co.

Ela się zaśmiała.

– Musimy ocalić z cywilizacji wszystko to, co dobre, żeby nie oszaleć i nie zdziczeć w tym zwariowanym świecie. Każdy szczegół jest ważny, by zachować człowieczeństwo.

Następnego dnia od rana Hubert miał wartę przy bramie, później z Markiem zrobili obchód wsi. Było spokojnie.

– Jak smakował ci wczorajszy obiad? – zagadnął Marek.

– Eee... – zająknął się chłopak. – Był bardzo dobry. Ela nieźle gotuje, Ania zresztą też.

– Mam szczęście, co? – Strażnik się zaśmiał.

– Tylko pozazdrościć... Co robiliście w życiu kiedyś? Zanim to wszystko się stało? – zainteresował się Hubert.

– Matko! Dawno mnie nikt o to nie pytał.

– Jak nie chcesz mówić, to spoko, rozumiem...

– Nie, nie ma problemu – powiedział Marek i zamyślił się na chwilę. – Ela zawsze była silną osobą, pracowała w urzędzie miasta. Wszyscy się śmialiśmy, że jest taka twarda przez to, że musi na co dzień radzić sobie z idiotami. – Uśmiechnął się. – A ja byłem kierowcą ciężarówek. Lubilem moją pracę, czasem było ciężko, ale dużo jeździłem po świecie, poznawałem ludzi... Najgorsze, że miałem tak mało czasu dla Ani. Często zdarzało się, że nie byłem w domu przez tydzień, wracałem z trasy wieczorem, brałem prysznic, coś jadłem, przepakowywałem się i z rana ruszałem w następną. No, pamiętam. – Pokiwał głową. – Wtedy często się o to z Elą sprzecaliśmy. Nie rozumiałem, że właśnie tracę najpiękniejsze lata życia mojej córki... Byłem w trasie, kiedy to wszystko się stało – ciągnął. – Jeden atak, drugi, wszędzie panika, granice zamknięte. Zostawiłem samochód. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że i tak szlag trafi wszystko. Ale zrobiłem, co tylko mogłem, żeby wrócić do moich kobiet. Zabrałem je do rodziców na wieś. Myślałem, że tam będzie spokojnie. Ale ludziom odbija, kiedy czują się zagrożeni. Zresztą sam wiesz, jak to wyglądało. A potem wszyscy wokół zaczęli chorować. Mówili, że produkowany jest lek, ale nie zaczęli nawet go sprzedawać. Kiedy zachorowali moi rodzice, wywiozłem Anię i Elę do letniego domku nad jeziorem, a kiedy wróciłem do wsi, staruszkowie już nie żyli. Staraliśmy się przeżyć. Aż w końcu trafiliśmy tutaj.

Przez chwilę szli w milczeniu. Piasek chrząścił im pod podeszwami.

„A co się działo ze mną? – Hubert po raz kolejny zadawał sobie pytania, na które nie znał odpowiedzi. – Co z moją rodziną? Co robiłem przez te wszystkie lata?”

Nawet nie zauważył, kiedy obeszlą całą wieś. Marek się z nim pożegnał i ruszył do domu.

Chłopak powolnym krokiem wrócił do domu, ale jakoś nie miał ochoty w nim siedzieć. Było ciepło, słoneczne popołudnie, więc poszedł na spacer. Stopy same zaprowadziły go nad brzeg jeziora. Stał nad wodą i wciągnął do płuc wilgotne powietrze. Wtem, gdzieś po prawej, usłyszał głośny plusk. Spojrzał w tamtą stronę, ale przez gęste trzciny nic nie zobaczył. Cicho i powoli ruszył brzegiem, żeby zbadać, co to mogło być.

„Znowu pcham się w kłopoty – pomyślał. – Coś mnie zaatakuję, a nawet noża nie mam przy sobie”.

Plusk się powtórzył, tym razem dużo bliżej. Hubert zwolnił i wstrzymał oddech, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Przeklinając własną głupotę i ciekawość, ostrożnie rozchylił zarośla otaczające brzeg. I wtedy zobaczył pomost, na którym siedział człowiek zwrócony do niego plecami. Chłopak chrząknął cicho. Mężczyzna się odwrócił i Hubert rozpoznał w nim Bartka. Nigdy nie rozmawiali, ale wiedział, że mieszkaniec Święcina mieszka tylko z żoną i hoduje krowy.

– Witam – zagadnął chłopak.

– Cześć. – Bartek kiwnął mu głową.

Oboje patrzyli na siebie w niezręcznym milczeniu, gdy Hubert zauważył na pomoście wędkę.

– Biorą? – zapytał.

– Chodź i sam zobacz. – Wskazał przywiązaną do pomostu siatkę.

Hubert delikatnie wyciągnął ją z jeziora i zobaczył kilka dużych ryb, które pozbawione wody, zaczęły się rzucać. „Szkoda, że nie rozróżniam ich gatunków”.

– Te duże to leszcze, a te z kolcami na płetwie grzbietowej to okonie. – Bartek najwyraźniej wyczytał wszystko z mimiki chłopaka. – Chcesz też połowić? Mam jeszcze jedną wolną wędkę.

– W sumie dawno nie jadłem ryby. – Hubert ucieszył się perspektywą zmiany jadłospisu.

Kiedys, dawno temu, ojciec zabrał go kilka razy na ryby, więc mniej więcej wiedział, jak przywiązać haczyk do żyłki, jak zarzucić przynętę, i dzięki temu udało mu się teraz nie zbłąźnić.

– W ciągu kilku ostatnich lat jeziora naprawdę zarośli się od ryb – powiedział Bartek, kiedy obaj siedzieli na pomoście i wpatrywali się w spławiki. – Nikt ich teraz nie odławia sieciami, nie zabija prądem, prawdziwy raj dla wędkarzy... Szkoda tylko, że jest ich tak niewiele.

– Wcześniej też wędkowałeś?

– Uhm, jeździłem nad jezioro, kiedy tylko mogłem i kiedy żona mnie puszczała.

– A teraz często tu przychodzisz?

– Staram się. Wszyscy lubią ryby, ale niewielu ma ochotę przychodzić tu i siedzieć samemu godzinami.

– Dlaczego?

– Mówią, że coś jest pod wodą.

– A ty to widziałeś? – drażył Hubert.

– Osobiście nie. A zresztą, co tu może siedzieć? Ryby żyją spokojnie, nic groźniejszego niż szczupak ich nie zabija, więc dlaczego coś miałyby zabić mnie? A ludzie, wystarczy, że usłyszą, jak ryba rzuci się w wodzie, i już panikują.

– Dziwisz się? Po doświadczeniach z tym, co żyje w lesie?

– No w sumie nie. – Bartek pokiwał głową.

Obaj siedzieli na pomoście przez kilka godzin. Wokół panował spokój i można było się zrelaksować. Co jakiś czas wyciągali z wody różnej wielkości ryby. Te najmniejsze Bartek zazwyczaj wypuszczał z powrotem do wody.

– Komu by to się chciało skrobać – wyjaśnił. – Najeść się tym nie sposób. Moja Kamila strasznie się wkurza, kiedy przynoszę jej do skrobania takie maleństwa. Ale ta akurat przyda nam się na żywca na szczupaka.

Mężczyzna przygotował kolejną wędkę, nałożył na nią duży haczyk, który przebił rybę tuż poniżej płetwy grzbietowej, po czym zarzucił ją niezbyt daleko od brzegu.

– Skąd masz taki dobry sprzęt na ryby? – zainteresował się Hubert, kiedy przez dłuższy czas nic nie brało.

– To jeszcze z dawnych lat. Miałem tego wszystkiego więcej, ale, wiesz, zużywa się. W dzień handlowy Iza zawsze stara się coś dla mnie wypatrzeć.

„Złota dziewczyna – pomyślał chłopak. – Szkoda, że tylko dla mnie jest niemiła”.

– Chyba coś bierze żywca. – Hubert zauważył, że nagle cały spławik poszedł pod wodę.

Bartek rzucił się do wędki, szarpnął nią energicznie i zaczął powoli zwijać żyłkę.

– Chyba coś dużego – szepnął chłopak, widząc, jak końcówka wędki się wygina.

– Przygotuj podbierak – sapnął Bartek, który zaczerwienił się z wysiłku.

Wędka wygięła się już prawie w łuk. Rybak zaczął stękać, ale wciąż powoli zwijał żyłkę, a Hubert klęczał na deskach gotowy do chwycenia ryby na podbierak.

– Ale duża sztuka – stwierdził Bartek i w tym momencie żyłka pękła, a mężczyzna z hukiem klapnął na pomost. – Szlag! Zerwała się! I po kolejnym spławiku.

– Poczekaj – odezwał się Hubert. – Patrz, musiał puścić żywca. – Wskazał spławik, który wypłynął na wierzch i radośnie dryfował. – Chyba dam radę go sięgnąć – powiedział.

Złapał podbierak za samą końcówkę rączki, klęknął na pomoście i jedną ręką zapał się o deski, a drugą wyciągnął daleko przed siebie. Brakowało tylko kilku centymetrów, żeby dosięgnąć spławika.

– Uważaj i nie wlec do wody – ostrzegł go Bartek.

Hubert nie miał najmniejszej ochoty na kąpiel, ale zdawał sobie sprawę, jak cenny musiał być w tych czasach dobry spławik, nie zamierzał więc tak szybko odpuścić. Wychylił się jeszcze bardziej nad wodą. Jeszcze kawałeczek, a go chwyci. napiął wszystkie mięśnie, przygryzł wargi i wyciągnął rękę o kilka centymetrów dalej.

– Mam! – krzyknął, gdy spławik znalazł się w podbieraku.

Chłopak rozluźnił mięśnie i... poleciał do przodu. Wpadł do zimnej wody, która odebrała mu dech w piersiach. Chciał wypłynąć na wierzch, zaczerpnąć powietrza, ale miał ciężkie buty, a ubranie krępowało mu ruchy. Po kilku gorączkowych machnięciach, które kosztowały go wiele wysiłku, podpłynął na tyle blisko powierzchni, że Bartek był w stanie go chwycić. Z jego pomocą w końcu udało mu się wystawić głowę nad wodę. Głęboko wciągnął powietrze do płuc. Nasiąknięte ubranie ciągnęło w dół, ale teraz już dał radę obiema rękoma podciągnąć się na pomoście.

– Dzięki – sapnął, kiedy uspokoił mu się oddech.

– Nie ma sprawy – odparł Bartek. – A teraz włącz na górę.

Nagle coś chwyciło Huberta za nogę. Tym razem zdążył nabrać tchu, lecz to coś mocno i szybko ciągnęło go w głąb. Szarpał się i rzucał na wszystkie strony, ale bezskutecznie. Spojrzał w górę, zobaczył wędrujące ku powierzchni bąbelki powietrza, tafla wody była coraz dalej... Chłopak pomyślał, że przecież jezioro niedaleko brzegu nie może być aż tak głębokie, więc dlaczego nadal opadał w dół? Jeszcze raz zamachał rękoma. Bez skutku. Czuł mocny uścisk na łydce tuż nad butem. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył zamazany ciemny kształt. Wolną nogą kopnął to coś, co go trzymało. Płuca zaczęły palić Huberta żywym ogniem, a kopniaki dawane jeden za drugim nie przynosiły efektu. Zebrał w sobie siły na jeszcze jedno uderzenie, włożył w nie całą energię, jaka mu pozostała. Kopnął. Uścisk zelżał całkowicie. Był wolny, ale do góry pozostała daleka droga. Wszystko wokół zaczęło ciemnieć, nie miał już siły ani ochoty, żeby walczyć. Powoli zaczął opadać.

„Nie! To się tak nie skończy! Przecież nie mogę utonąć!”. Myśl ta tak go poraziła, że serce zabiło szybciej. Ostatkiem sił machnął rękoma – raz, potem drugi, lecz nadal nie był w stanie wynurzyć się z wody. Powoli zaczęła gasnąć w nim świadomość, poczuł nieodpartą potrzebę otworzenia ust. Wtem złapały go silne dłonie Bartka. Wypląnął na powierzchnię i krztusząc się wodą, zaczerpnął tchu. Organizm walczył o życie.

Hubert nie miał już siły nawet na najmniejszy ruch, na szczęście Bartek wyciągnął go na brzeg. Chłopak położył się na twardej ziemi i zamknął oczy.

– Żyjesz? – zapytał Bartek.

– Noo... – jęknął Hubert. – Dzięki.

Bartek zostawił go na chwilę samego i poszedł po sprzęt i ryby na pomost. Tymczasem przemoczony chłopak zdołał dojść do siebie. Usiadł, opierając się plecami o pień drzewa, i oddychał głęboko. W nosie miał resztki wody, gardło go paliło i trząsał się z zimna, ale był żywy.

– Co to, do cholery, było? – zapytał, gdy znajomy wrócił. – Coś wciągnęło mnie do tej wody!

– Nie wiem. – Bartek pokręcił głową. – Naprawdę nie wiem. Wracajmy może lepiej do domu, co? Jesteś w stanie iść?

Hubert pokiwał głową i podniósł się z ziemi. Był słaby i wszystko go bolało, ale zdołał jakoś ruszyć przed siebie. Za nim szedł Bartek z wędkami i złowionymi rybami. Hubert pomyślał, że jego towarzyszem też musiało nieźle wstrząsnąć to wydarzenie. Przecież od tylu lat tu łowił i czuł się bezpiecznie...

Niewiele pamiętał z drogi powrotnej. Szedł machinalnie i nie zwracał na nic uwagi. Gardło jeszcze bolało, zimne, mokre ubranie ciążyło i w dodatku miał wodę w uchu, co zazwyczaj doprowadzało go do szału.

Przed swoim domem zobaczył Izę.

– Gdzieś ty był?! I coś ty znowu zrobił?! – zapytała oskarżycielskim tonem.

Hubert już otworzył usta, by rzucić uszczypliwą odpowiedź, ale po chwili je zamknął – nie miał ochoty z nią gadać. Bez słowa, powłóczęgając nogami, wyminął dziewczynę i wszedł do domu. Ledwie zarejestrował, że i Iza, i Bartek podążyli za nim, o czymś rozmawiając. Miał to gdzieś. Poszedł do pokoju, zrzucił mokre ciuchy i zgrabiałymi dłońmi spróbował włożyć suche i ciepłe ubranie.

– Zawołać panią Barbarę? – Iza weszła nieproszona do izby.

Hubert mgliście przypomniał sobie, że żona Maciejaka ponoć przeszła kiedyś szkolenie pielęgniarskie i teraz leczyła mieszkańców wsi najlepiej, jak umiała, co wcale nie znaczyło, że robiła to bardzo dobrze.

– Nie, przeżyję – mruknął, a potem położył się na łóżku, zawiązał w kołdrę i zasnął.

Obudził się, gdy na dworze zapadał zmierzch. Rozgrzał się już i czuł o wiele lepiej, choć wciąż bolała go głowa. Wstał z łóżka i poszedł do kuchni, żeby zjeść coś ciepłego. Tam zastał przy stole Izę, która przy lampce naftowej czytała książkę.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

– Czekałam, aż się obudzisz. Naprawdę marnie wyglądałeś. – Wyglądało, jakby próbowała się tłumaczyć. – Rozwiesiłam twoje mokre ubranie, napaliłam w piecu i przyniosłam bigos. Chcesz?

– No... – Kiwnął głową, usiadł za stołem i pozwolił Izie podgrzać kolację.

„Zabawne, że to już druga dziewczyna, która porusza się w mojej kuchni o wiele swobodniej niż ja” – przemknęło mu przez myśl.

Z zapałem zjadł olbrzymią porcję bigosu, zagryzł ją chlebem i popił herbatą. Iza nałożyła sobie tylko odrobinę i grzebała w niej widelcem. Kiedy zjedli, Hubert nawet nie zdążył zaprotestować, gdy dziewczyna zaczęła sprzątać brudne naczynia. A później zaparzyła mocną kawę.

– Dobra, to teraz powiedz, co tam się stało – zaczęła Iza. – Od Bartka niewiele byłam w stanie wyciągnąć, a poza tym chciałabym usłyszeć to z twoich ust.

Hubert wzruszył ramionami.

– Wpadłem do wody, bo próbowałem wyłowić urwany spławik. – Ku jego zdziwieniu dziewczyna nie uniosła wzroku ku górze i nie westchnęła, jak to jej się zdarzało, gdy zrobił lub powiedział coś głupiego. – Potem coś chwyciło mnie za łydkę i zaczęło ciągnąć w dół. Nie wiem, co to było. – Pokręcił głową. – Woda jest tak zamulona, że widziałem tylko ciemny kształt. A może mi się zdawało, że coś widzę... W każdym razie zacząłem kopać i się wyrwać, aż udało mi się wypłynąć na powierzchnię. To znaczy Bartek wskoczył do wody i mnie wyciągnął na brzeg, bo gdyby nie on, to chyba... – zająknął się. – To chyba bym się utopił.

Iza pokiwała głową i wypila łyk gorącej kawy.

– Mieliliśmy nadzieję, że nic się nie chowa w jeziorze – powiedziała.

Hubert nagle sobie o czymś przypomniał, podciągnął nogawkę spodni i zaprezentował dużego siniaka tuż nad kostką. Jak się miało wyobrazić, można było w nim dostrzec ślady długich palców.

– No to już wiecie, że coś tam jest – mruknął. – Zawsze mówiłem, że lepsza najgorsza prawda od najlepszego kłamstwa.

– I co teraz mamy powiedzieć ludziom? – zmartwiła się Iza. – Bierzymy wodę z tego jeziora, kąpią się w nim nasze dzieci... A okazuje się, że coś tam siedzi i najwyraźniej nie jest przyjaźnie nastawione.

– Od wody, jak do tej pory, nikt nie umarł. – Hubert wzruszył ramionami. – Więc czemu nadal jej nie brać? A jeśli chodzi o dzieciaki, to cóż, będą musiały zadowolnić się kałużami, dopóki nie znajdziemy i nie zabijemy tego czegoś.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Inni już byli na tym pomoście, ale nic nie widzieli – powiedziała. – Marek i Jacek przeszli się też wzdłuż brzegu, lecz nie zobaczyli żadnych podejrzanych śladów.

– Jak ja uwielbiam te przekłete topielce! – westchnął Hubert. Nagle się zamyślił i popatrzył na Izę przeciągłym wzrokiem. – Sporo już czasu minęło, kiedy ściągnęłaś ze mnie strzygę, a ja jeszcze nie zdążyłem ci za to podziękować.

– Ty też nam pomogłeś – bąknęła, mieszając kubkiem fusy.

Kawa choć mocna i ciemna, miała nieszczerólny smak, ale przyjemnie rozgrzewała ciało. A poza tym Hubert miał wrażenie, że w życiu pił już gorsze rzeczy.

– Powiedz – zaczęła Iza po chwili – jak to możliwe, że za każdym razem, gdy gdzieś coś się dzieje, wiem, że właśnie ciebie tam znajduję, co?

– Mnie nie pytaj, dlaczego potwory wybierają właśnie moje towarzystwo. Może chociaż one uważają mnie za interesującego – zażartował, ale Iza nawet się nie uśmiechnęła. – Oj, daj spokój, nie musisz być wiecznie taka poważna.

– No to teraz mój żarcik – powiedziała. – Zmieniliśmy grafik i jutro w nocy masz ze mną wartę.

– Żartujesz.

– Nie. – Uśmiechnęła się zadowolona z siebie. – Przyszłam, żeby ci to powiedzieć.

– Super – westchnął. – A co Bartek powiedział o tym, co się stało nad jeziorem?

– Niewiele. – Pokręciła głową. – Że wpadłeś do wody, a potem coś cię pociągnęło głębiej. On nie jest zbyt rozmowny.

– Zdążyłem zauważyć. Od dawna jest w Świącinie?

– Od jakichś trzech lat. Przyszli pewnego dnia z Kamilą nie wiadomo skąd, wyglądali naprawdę okropnie, niewiele mówili. Ponoć ich trzy córki zachorowały na grypę... – zamilkła na chwilę. – Wiesz, rodzicom ciężko jest się pozbierać po czymś takim. Ale we dwoje jakoś dali sobie radę.

Hubert pokiwał głową. Miał wrażenie, że Iza pogrzyżyła się we wspomnieniach. Nie było osoby, która nie miałaby do opowiedzenia własnej tragedii. „Może to i lepiej, że nic nie pamiętam” – stwierdził. O niektórych rzeczach lepiej nie wiedzieć.

– No nic. – Dziewczyna podniosła się z krzesła. – Na mnie już czas, jutro muszę wcześniej wstać. Kubki dasz radę chyba sam pozmywać, co?

– Postaram się. – Hubert z uśmiechem odprowadził ją do drzwi. – Dzięki, że ze mną posiedziałaś – powiedział, kiedy stanęli w progu.

Iza spojrzała mu w oczy, ale szybko uciekła wzrokiem.

– Do jutra – szepnęła i odeszła w mrok.

Następnego dnia Hubert zastanawiał się, czy pójść nad jezioro, żeby poszukać jakichś śladów, ale stwierdził, że przecież inni już tam byli i nic nie znaleźli. A poza tym nie miał ochoty w najbliższym czasie zbliżać się do wody. Udał się więc do piwnicy w szkole i trochę tam ogarnął. Pozmywał brudne kubki, zamiótł podłogę, pościłał białe stołów. Przez minutę czy dwie chciał nawet umyć okna, ale szybko porzucił ten pomysł. Stał przed tablicą i bezmyślnie wpatrywał się w grafik.

Kiedyś mieli z Ernestem taką zabawę, że dzielili kartkę papieru na kilka kwadratów i na zmianę rysowali w nich komiks. Huberta zawsze drażniło to, że on chciał najczęściej pozabijać swoich bohaterów, a przyjaciel, jak na złość, ich

ratował. Kiedyś, gdy matematyczka wyszła na piętnaście minut z lekcji, ku uciesze całej klasy narysowali komiks na tablicy – o rozbitym statku i rekinie. Ależ nauczycielka się wtedy wściekła!

Hubert uśmiechnął się do siebie. Jak to było? Statek się rozbił, ludzie dryfowali w małej łódce, a wokół krążył rekin i po kolei ich zjadał.

Wziął do ręki gąbkę, wytarł tablicę, podzielił ją na równe kwadraty i zaczął rysować.

Dumny z siebie ukończył dzieło już po kilkunastu minutach. Nagle do piwnicy wpadła Iza – po jakieś papiery.

– A ty co? Nie masz żadnej roboty? – zapytała tym swoim oskarżycielskim tonem, tak że człowiek był gotów od razu przeproszać, że żyje.

– Ee, no nie – zająknął się Hubert, zasłaniając tablicę. – Ej, ale posprzątałem!

– Tak? Nie widać – stwierdziła i wyszła.

Hubert pokazał jej język i w tym właśnie momencie wróciła.

– Ile ty masz lat... – skarciła go. – Maciejak mówił, że potrzebowałby pomocy w stajni przy wywożeniu gnoju.

– I niby ja mam tam iść, tak?

Ale ona tylko uniosła jedną brew i wyszła, tym razem na dobre. Hubert, ociągając się, ruszył w stronę stajni.

– Co za małpa – marudził po drodze. – I czar po wczorajszym wieczorze przysł. A już myślałem, że będzie dla mnie miłsza. Czy aż tak dużo wymagam?

W stajni Maciejak kazał chłopakowi wywieźć gnój, rozłożyć czystą słomę w boksach, wyczyścić konie. Pijaczyna pokazał też Hubertowi, jak się czyści kopyta, co w teorii wyglądało na proste. Jednak tylko w teorii.

– No, dawaj kopyto, koniku – mruzczał chłopak, próbując zgiąć nogę gniadego w stawie. Ale zwierzę było uparte i twardo stało na wszystkich czterech kopytach. – No, ruszże się, ty uparta bestio!

Po pięciu minutach zmagania koń wreszcie ustąpił, uniósł łaskawie kopyto i dał je sobie wyczyścić, a potem postawił je na stopie chłopaka.

– Cholera! – krzyknął Hubert, skacząc na jednej nodze. – Ty głupi wałachu!

Stary Maciejak zaczął się śmiać. Chłopak miał wrażenie, że mężczyzna doskonale wiedział, jak to się skończy.

– To zostały ci jeszcze trzy kopyta – pocieszył Józek, wciąż chichocząc. – A potem kolejne dwa konie. I nie martw się, po kilkudziesięciu razach dojdiesz do wprawy.

– Ekstra – mruknął Hubert do konia, gdy zostali sami. – To teraz jestem takie „przynies, wynies, pozamiataj”. A myślałem, że robota strażnika to coś bardziej prestiżowego niż ciągle warty i babranie się w gnoju.

Po południu Stanisław odkrył, że na tablicy zamiast grafiku widnieje komiks o rekinach i ofiarach katastrofy morskiej. Nie dość, że nie docenił tego przejawu sztuki, to oskarżył Huberta o lekkomyślność i kazał mu ułożyć grafik od nowa, z uwzględnieniem podwójnej liczby wart dla najmłodszego stażem strażnika.

– Pojutrze jest dzień handlowy – rzuciła od niechcienia Iza, kiedy w nocy Hubert stał z nią na warcie.

Było zimno i mżył lodowaty deszcz. Oboje siedzieli w strażnicy i popijali gorącą kawę z termosu. Iza była owinięta w swój szary, za duży płaszcz, Hubert zaś włożył gruby sweter i zarzucił na niego bluzę moro.

– Czy to zaproszenie, czy ostrzeżenie, że bym nie plątał się wam pod nogami? – zażartował.

Iza wywróciła oczyma.

– Traktuj to sobie, jak chcesz.

– Wobec tego wybieram opcję z zaproszeniem.

– W takim razie pojutrze bądź o siódmej rano w stajni.

Oboje zamilkli. Cała wieś spała, deszcz miarowo uderzał o dach strażnicy, w oddali słychać było wiatr hulający między drzewami. Poza tym panował spokój. Hubert postawił kołnierz swojej wilgotnej już bluzy.

– Zimno – westchnął, lecz Iza milczała. – Powiedz, dlaczego pomagasz strażnikom? Przecież nie jest to ani zabawne, ani bezpieczne.

Iza namyślała się przez chwilę.

– Lubię czuć się potrzebna – odparła.

– Pracując w polu, też można być potrzebnym.

– Każdy może być rolnikiem, ale nie każdy stanie naprzeciw strzygi – stwierdziła. – Mojemu ojcu nie bardzo się ta sytuacja podoba, ale nie może mi tego zabronić. W końcu musi dbać o dobro ogółu, a każda dodatkowa strzelba jest potrzebna.

– No właśnie, gdzie nauczyłaś się tak dobrze strzelać?

– Wszystkiego, co umiem, nauczył mnie Henryk – westchnęła. Noc z pewnością była odpowiednią porą do zwierzeń.

– Trafiliśmy tu z tatą rok po wojnie. Oboje byliśmy załamani po śmierci mamy.

Zamilkła na chwilę.

– Przykro mi – powiedział Hubert.

– Ty też straciłeś rodzinę, zresztą jak każdy. – Wzruszyła ramionami. – Zginęła na moich oczach. Jakieś dresy skatowały mamę na śmierć, a ja to widziałam.

Głos jej nie zadrżał, Iza nie pojawiła się w kąciku oka, żaden mięsień nie drgnął na twarzy, a jednak Hubert czuł, że nadal przeżywa śmierć matki. Chciałby złapać dziewczynę za rękę, przytulić, ale wiedział, że nie należała do osób okazujących uczucia i mogłaby tego sobie nie życzyć.

– Kiedy przybyliśmy do Świącina, oboje byliśmy załamani – podjęła opowieść. – Tata zaczął organizować tutejsze życie. Na początku było tu tylko kilku mieszkańców, ale pracy nie brakowało. Dopiero potem, w ciągu następnych lat przybyli inni. Uczyliśmy się wszystkiego od podstaw: jak budować domy, jak uprawiać ziemię, leczyć choroby, nie mając pod ręką apteki. Stare książki były naprawdę pomocne... Ojciec nie miał dla mnie czasu, naszą tragedię przeżywaliśmy osobno. I wtedy poznałam Henryka. Przyszedł nie wiadomo skąd i miał olbrzymią wiedzę. Choć zamieszkał poza wsią, wszyscy czuli się lepiej, wiedząc, że jest po naszej stronie. Zaczęłam spędzać z nim mnóstwo czasu. Uczył mnie strzelać, bić się, polować, naprawiać broń. Już nigdy nie chciałam być bezbronna... Dzięki niemu jestem tym, kim jestem.

Długo jeszcze rozmawiali. Hubert był szczęśliwy, że Iza się przed nim otworzyła. Teraz choć trochę mógł ją zrozumieć. Jak każdy przeżyła tragedię i jak każdy poradziła sobie z nią na swój sposób.

## ROZDZIAŁ IV

W czwartek o świcie Hubert leniwie wstał z łóżka, przekąsił śniadanie, wziął broń i poszedł do stajni. Tam czekali już na niego dwaj strażnicy, Marek i Jacek, oraz Iza. Cała czwórka osiodłała wierzchowce i wyruszyli do miasta. Każdy prowadził konia objuczonego towarami na wymianę.

– A więc jaką mamy listę zakupów? – zapytał wesoło Hubert.

– Wszystko, co potrzebne – powiedziała Iza. – Sól, przyprawy, herbata, kawa, papier, przybory do pisania, ubrania, naboje do broni...

„Czyli wszystko to, czego nie potrafią wykonać sami – pomyślał chłopak. – Sprytnie, wywożą to, co dają radę wyprodukować, a w zamian dostają to, co można znaleźć w mieście. I nikt nie narusza niczyjej suwerenności”.

Jechali przez kilka godzin, aż dotarli do wielkiego placu, który kiedyś musiał być parkingiem. Czekają już tam wielu miastowych. Nie różnili się zbyt od osób ze Świącina. Ku swojemu zdziwieniu Hubert odkrył, że między wyłożonymi na ziemi towarami krążą też ludzie z innych osad. Tak łatwo było mu myśleć, że Świącino jest wsią jedyną w swoim rodzaju.

Iza i strażnicy witali się ze znajomymi, oglądali rzeczy na wymianę, zawzięcie się przy tym targując. Dziewczyna trzymała w garści listę zakupów przygotowaną we współpracy z całym Świącinem. Wymieniła też kilka prywatnych rzeczy mieszkańców na to, o co ją poprosili. Obserwując dziewczynę, Hubert nie mógł się nadziwić, że była jednocześnie taka stanowcza, zdecydowana i opanowana. Nie dała sobie dmuchać w kaszę. Przez chwilę przyglądała się srebrnemu łańcuszkowi z ładnym wisiorkiem i chłopakowi się wydawało, że widzi błysk w jej oku. Wystarczyło jednak, że handlarz podszedł do niej i coś zagadał, a Iza prychnęła i odeszła.

Hubert podszedł do naszyjnika i przyjrzał mu się z bliska. A gdyby zrobić jej prezent?

– Ile dostanę za to? – wyjął z pochwy bagnet. Mógł się go pozbyć, ponieważ w domu miał jeszcze dobry nóż myśliwski.

– A co chcesz? – zapytał łysy miastowy.

– Na pewno to... – Wskazał na łańcuszek, a po chwili jego wzrok padł na poobtłukiwany, nakręcany zegarek z budzikiem. „Też by mi się przydał” – przemknęło mu przez myśl.

– ...i zegar – dodał.

– Nic z tego. – Handlarz pokręcił głową. – Zegar jest w dobrym stanie i wart jest wiele więcej.

– Daj spokój, ledwie się trzyma kupy – oburzył się Hubert, ale sprzedawca nadal kręcił głową. – Jak nie, to nie. – Chłopak odwrócił się, gotowy do odejścia.

– Dobra, poczekaj. Niech będzie.

Do domu wyruszyli po południu. Wymienili wszystko, z czym przyjechali do miasta, dostając w zamian przeterminowane i podniszczone rzeczy, których nie mieli na wsi.

Kiedy dotarli do Świącina, zrobiło się późno. Cała czwórka była głodna i zmęczona. Ktoś zajął się ich końmi, ktoś inny rozpakował rzeczy, które przywieźli. Cała wieś zebrała się na placu pod kościołem, jak podczas wielkiego święta. „To chyba ich jedyna rozrywka” – pomyślał Hubert. Dorośli z zainteresowaniem oglądali zakupy, dzieciaki biegały wokół niczym szalone, parę osób odebrało od Izy prywatnie zamówione rzeczy. Sołtys Marian chodził napuszony jak paw, doglądając wszystkiego.

Hubert zagadnął Izę.

# ROZDZIAŁ V

Mijały kolejne podobne do siebie dni. Hubert dużo pracował przy palisadzie, miał warty, jeździł na patrole. Lipiec był upalny. Ludzie chodzili poparzeni od słońca, ktoś dostał udaru. Dzieciaki marudziły, że mają zakaz kąpieli w jeziorze, ale nikt z dorosłych nie pozwolił im nawet się zbliżyć do jeziora po tym, co spotkało Huberta.

Marika traktowała chłopaka już normalniej, a Iza przestała go unikać. Czuł się coraz bardziej zżyty ze strażnikami i innymi mieszkańcami wsi.

Któregoś dnia, kiedy miał wolne, Hubert zabrał się do naprawiania sprzętów w domu. Zrobił porządek z garderobą, przeczyścił broń. Przypomniawszy sobie, że miał poszukać piwnicy. Mówili, że wdowa Niwicka w piwnicy trzymała lód. Dobrze byłoby gdzieś przechowywać szybko psujące się jedzenie. Obszedł więc cały dom, zajrzał w każdy kąt, ale nie znalazł żadnych drzwi ani klapy w podłodze.

– Na logikę, gdzie powinna być ta przeklęta piwnica? – zapytał siebie, ale oświecenie nie przyszło.

Wyszedł z domu i okrążył go kilka razy, to jednak też nie przyniosło żadnych skutków.

– Cześć! – usłyszał nagle.

Obejrzał się i zobaczył za płotem Anię.

– Cześć – odparł.

– Czego tak zawzięcie szukasz?

– Piwnicy.

Spojrzała na niego, przechylając głowę.

– Jak to?

– No, mówią, że kiedyś była tu gdzieś piwnica, ale nie mogę jej znaleźć – wyjaśnił.

Ania się zaśmiała.

– A może ci pomóc? – zaproponowała. – Kiedyś często pomagałam pani Niwickiej.

– Będę szczęśliwy.

Dziewczyna weszła do domu, rozejrzała się i wskazała palcem na wielką szafę stojącą w przedpokoju.

– Tam – powiedziała.

– Co, w szafie? – zdziwił się Hubert.

– Sam zobacz. – Uśmiechnęła się.

Hubert miał wrażenie, że dziewczyna nabija się z niego, lecz zaryzykował i zajrzał do szafy. W środku było ciemno i gdyby nie wiedział, czego szuka, w życiu by tego nie znalazł. Wpuścił do środka trochę światła i na przeciwległej ścianie zobaczył zarys niewielkich drzwiczek. Wszedł do szafy i nacisnął klamkę. Musiał się wysilić, żeby drzwi ustąpiły, ale udało się je otworzyć.

Chłopak wyszedł z szafy, wciąż mając niepewną minę.

– A nie mówiłam? – odezwała się Ania, która najwyraźniej bawiła się w najlepsze.

– Ale jakim cudem w szafie?

– Pani Niwicka mówiła, że ta szafa to jej prezent ślubny od jakiegoś wujka – zaczęła wyjaśniać dziewczyna. – A że mebel był tak ciężki, wielki i nieporęczny, to udało się go wnieść tylko do przedpokoju. I tam utknęła. Jej mąż chciał tę szafę wyrzucić, ale pani Niwicka się uparła, że jej potrzebuje i jeżeli nie zdoła mebla wnieść do sypialni, to zostawi go w przedpokoju. A że przedpokój mały, to wyjęli tylną ściankę z szafy i przystawili nią drzwi do piwnicy.

– Czad. W życiu bym nie znalazł piwnicy w szafie – przyznał Hubert.

– Idziemy zobaczyć, co jest w środku? – zaproponowała Ania.

– Ee, no skoro chcesz...

„Mam nadzieję, że wyprawa do starej piwnicy nie wyda się jej romantyczna – pomyślał. – Brakuje, żeby i Ania przestała się do mnie odzywać”.

Z kuchni Hubert przyniósł dwie lampki naftowe i je zapalił. Zeszli murowanymi schodami. Chłopakowi zaczęło szybciej bić serce. Ostatni raz był w piwnicy w swoim dawnym domu i nieciekawie się to skończyło. Miał nadzieję, że tutaj nie czatuje żadna bestia, nie chciałby się tłumaczyć Markowi, dlaczego zaciągnął jego córkę w takie miejsce.

Na szczęście pomieszczenie było bezpieczne. Słabe płomienie lamp oświetliły drewniane regały pełne przetworów.



– Pani Niwicka lubiła być zabezpieczona na wszelką ewentualność – zauważyła Ania, kiedy Hubert oświetlał po kolei słoiki z kompotami, dżemami, ogórkami, pasztetami i innymi przetworami, których nie potrafił zidentyfikować.

– Będę miał trochę własnych zapasów – powiedział. – Jeśli coś jeszcze nadaje się do jedzenia.

„Jednak dobrze, że piwnica jest tak ukryta i podczas porządków po śmierci wdowy nikt się do niej nie dostał” – przemknęło mu przez myśl.

Przeszli do drugiego pomieszczenia, ale nie znaleźli tam lodu, za to ich oczom ukazał się wielki piec, a nad nim zbiornik na wodę.

– Nie wiedziałem, że mam tu piec – zdziwił się Hubert.

– Pani Niwicka kiedyś o nim wspominała – odparła Ania – ale twierdziła, że to robota Niemców i że nie działa.

– Chwila – zastanowił się Hubert. – A czy on nie jest czasem podłączony do kaloryferów na górze?

– Nie wiem. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Myślałem, że miała tu jakieś ogrzewanie gazowe i stąd te kaloryfery! Ale ona ma prawdziwe ponemieckie ogrzewanie centralne!

– To znaczy?

– Że jak się wszystko naprawi, to będę miał ciepłe kaloryfery i wodę w... – Nagle zapał Huberta osłabł. – Nie będę miał wody w kranie ani w kaloryferach, bo najpierw trzeba ją rurami doprowadzić do domu. Co za dno!

– Już nawet nie pamiętam, jak to było kiedyś – powiedziała Ania. – Wiem, że woda leciała w kranie, a w kuchence gazowej nie trzeba było palić drewnem, ale... ale to są tylko takie mgliste wspomnienia.

– Chodźmy na górę – zaproponował Hubert. – Zabierzemy jakiś kompot i zobaczymy, czy nie jest popsuty.

Dziewczyna kiwnęła głową. Wzięli ze sobą kilka słoików i skierowali się do kuchni.

– Ja mam tu chyba czereśnie – ocenił Hubert, kiedy usiedli przy stole. Lekko zatrzęsł jednym ze słoików, a potem go otworzył. – Po czym poznać, że nie są zepsute? – zapytał, zaglądając do środka.

– A jest pleśń?

– Nie, chyba nie.

– No to raczej są dobre.

Chłopak wyłowił widelcem kilka owoców.

– Chcesz? – zaproponował.

– Najpierw zobaczę, czy ty to przeżyjesz – zażartowała Ania.

Wziął do ust jedną czereśnię, potem drugą i trzecią.

– Chyba nie są... – zaczął i w tym momencie wyrócił białkami oczu i spadł na podłogę.

– Hubert! – wrzasnęła Ania i rzuciła się do niego. Poklepała go po policzku, ale się nie poruszył.

Już chciała wstać i biec po pomoc, kiedy chłopak zaczął chichotać.

– Wiedziałem, że dasz się na to złapać – powiedział. Chichot zamienił się w śmiech. – Wiedziałem – powtórzył, ocierając łzy z policzków.

– Ty wredny, paskudny... – zaczęła Ania i rozejrzała się dookoła za czymś, czym mogłaby w niego rzucić.

– No, już, nie gniewaj się – powiedział ugodowo chłopak, wciąż leżąc na podłodze.

– To wcale nie jest śmieszne! – fuknęła na niego. – Pomyślałam, że ona w tych słoikach truciznę trzymała!

– Przepraszam – odparł, ale w jego głosie nie było słyhać żadnej skruchy. – Nie mogłem się powstrzymać. A czereśnie są naprawdę dobre, chcesz?

– No dobra – mruknęła i z powrotem usiadła na swoim miejscu.

Hubert nałożył im do szklanek trochę owoców.

– Nie pamiętam, żeby moja mama kiedykolwiek robiła czereśnie w słoikach – powiedział. – W sumie to niewiele robiła w kuchni. Obiady musiałem jeść w szkolnej stołówce, a w weekendy często zamawiałem coś z zewnątrz.

– Moja mama też nie przepadała za przetworami, dopiero po wojnie musiała się nauczyć je robić. Za to babcia produkowała je na potęgę. Nikt ich nie jadł, a ona i tak je robiła. – Ania opuściła głowę.

„Przecież jej dziadkowie zmarli na gripę – przypomniał sobie Hubert. – Ciekawe, czy coś pamięta”.

– Jak myślisz, jest możliwe, że za jakiś czas zrobi się tak jak kiedyś? – zapytała. – Niezupełnie tak samo, ale czy będzie prąd, woda w kranie, czy ktoś wyprodukuje nowe rzeczy?

– Na pewno – pocieszył ją Hubert. – Przecież już raz to wszystko wymyśliliśmy, teraz wystarczy to tylko odtworzyć.

– Potwory wtedy też odejdą?

Na to pytanie nie znał odpowiedzi. Nie wiedział, skąd się wzięły demony ani po co żyją.

– Podejrzewam, że tak – odparł. – Cywilizacja je wypłoszy.

„One zawsze tam były” – przypomniał sobie słowa Stanisława. Potrząsnął głową, próbując odpędzić od siebie te myśli.

Następnego dnia po południu Hubert bardzo zgłodniał. Skończyli już budowę palisady, więc miał trochę więcej czasu, ale od samego rana stał na warcie i nikt nie przyniósł mu śniadania. Wracił więc do domu, zastanawiając się, co jeszcze do jedzenia ma poupychane po szafkach, ale to, co sobie przypominał, nie nastrajało pozytywnie. Nie miał nic.

– O, cześć Kasiu! – zawołał, widząc już z daleka narzeczoną Łukasza.

– Dzień dobry – przywitała się.

– A co tam masz dobrego? – zainteresował się, widząc, że dziewczyna niesie wiklinowy koszyk. A jako że Łukasz pomagał ojcu w piekarni, Hubert założył, że koszyk musi być pełen chleba, bułek, a jeśli miał szczęście, to znalazła się tam nawet drożdżówka.

– A nic – odpowiedziała, chowając koszyk za siebie.

– Nie masz może jakiejś nadprogramowej bułeczki dla strażnika, który przez wiele godzin stał na warcie?

– Nie jestem pewna...

– To ja ci poniosę koszyk, a ty pod domem zobaczysz, czy masz tam coś dobrego – zaproponował, przywołując na twarz jeden ze swoich powalających uśmiechów.

Dziewczyna bez słowa wręczyła mu koszyk i razem poszli w kierunku jej domu.

– Tylko nie oczekuj nic wielkiego – ostrzegła.

– Nawet bym nie śmiał. A jak tam Łukasz i jego ręka?

– Całkiem nieźle się zagoiła. Na szczęście rana się nie babrała. I już jakiś czas temu Łukasz mógł wrócić do pracy.

– No to super.

Hubert oddał Kasię przed domem koszyk, a ona wyjęła z niego jagodziankę i wręczyła ją chłopakowi.

– Łał – ucieszył się. – Prawdziwa jagodzianka!

Nie mieli w osadzie zbyt wiele jagód. Żeby je zdobyć, trzeba było wybrać się do lasu i to dość daleko od wsi. W każdej takiej wyprawie musiał brać udział strażnik z bronią, gdyż kobiety bały się same iść.

– Nie mam nic więcej dla ciebie – oznajmiła Kasia. – Ale jeśli skończył ci się chleb, to idź do piekarni i poproś Łukasza. Na pewno coś ci da.

Co prawda jedna mała jagodzianka nie zaspokoila jego głodu, ale przestało już burczeć mu w brzuchu. Więc w dobrym humorze poszedł do piekarni.

„Może nazwa piekarnia jest trochę na wyrost – pomyślał Hubert, patrząc na dobudówkę przy domu rodziny Łukasza – ale w tym jednym piecu potrafią napiec chleba dla całego Świącina”. Ktoś kiedyś mówił mu, że musieli się nieźle napracować, żeby zbudować dobry gliniany piec, ale metodą prób i błędów się udało.

Łukasz nie był zbyt rozmowny, ale dał Hubertowi trzy bochenki chleba i kilka bułek. Za to Hubert pomógł mu poprzemnieść różne skrzynki. Poza tym na dworze zaczął wiać wiatr i zrobiło się chłodno, a w piekarni było przyjemnie ciepło i pięknie pachniało. Posiedział więc tam trochę dłużej i wydebił jeszcze jedną drożdżówkę.

Było już późne popołudnie, kiedy wracał do siebie i natknął się na Izę.

– Chcę sprawdzić, czy palisada wszędzie się trzyma i czy żadne zwierzę nam jej nie podkopało – powiedziała. – Idziesz ze mną?

Huberta zatkało. Już od dłuższego czasu nie zagadała do niego ot tak sobie.

– Pewnie – odparł i zupełnie zapomniał, że właśnie miał piękny plan udania się do swojej piwnicy, poszukania tam jakiegoś pasztetu i zjedzenia go z bułką, a może nawet ogórkami kiszonymi.

Wiatr przestał wiać, ale na horyzoncie można było dostrzec ciemne chmury. Powietrze aż drżało z napięcia.

– Zbiera się na deszcz – oznajmił Hubert, choć podejrzewał, że Iza doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

– Uhm – mruknęła zamyślona, patrząc na palisadę. Była to naprawdę dobra robota, wielu mieszkańców osady przy niej pracowało, sięgała wysoko w górę i dawała duże poczucie bezpieczeństwa.

„I po co mnie ciągnęła na ten obchód? – zastanawiał się Hubert. – Nie chce ze mną nawet gadać...”.

– Hubert... – zaczęła w końcu.

– Tak?

– Pamiętasz, jak zaatakowało cię to coś w jeziorze? Czy Bartek mógł mieć z tym jakikolwiek kontakt?

– Bo ja wiem, raczej nie.

– Na pewno? Nie dotknął tego czegoś albo nie spojrział na to? – dopytywała.

– Nie wydaje mi się, ale byłem wtedy zajęty czymś innym.

Iza szła dalej w zamyśleniu, wpatrując się we własne stopy.

– A dlaczego pytasz?

– A nie, tak sobie.

– Jak dobrze pamiętam, to najpierw sam wleciałem do wody, a potem to coś chwyciło mnie za kostkę i pociągnęło w dół. Skopałem je i puściło. I wtedy Bartek mnie wyłowił. Nie sądzę, żeby tego dotykał, ale głowy nie dam...

Byli niedaleko domu Huberta, kiedy niespodziewanie zerwał się lodowaty wiatr. Wielkie, ołowiane chmury powoli zbliżały się do osady. Duże, ciężkie krople pojedynczo zaczęły uderzać w ziemię.

– Sprawdziłiśmy już większą część płotu, a jakoś nie mam ochoty oglądać go w deszczu – stwierdził Hubert. – Chodźmy do mnie, co?

Iza podniosła na niego wzrok, wyraźnie nie rozumiała.

– Co?

– Chodźmy do mnie schować się przed ulewą – powtórzył.

– Ach, no tak, możemy – odparła i wciąż błądząc gdzieś myślami, ruszyła do małego domku.

Byli już w ogródku, kiedy usłyszeli pierwszy grzmot, po czym lunął deszcz. Ostatnie kilka metrów pokonali biegiem.

– Ale się nam udało – ucieszył się Hubert, nasłuchując, jak krople dudnią w dach. Błysnęło, a potem do ich uszu dotarł kolejny potężny grzmot.

Iza poszła do kuchni i usiadła przy stole.

– Chcesz coś zjeść? – zapytał Hubert.

– A co masz? – Rozejrzała się krytycznie po kuchni.

– Mam chleb i zamierzałem poszukać jakiegoś pasztetu.

– Zaryzykuję – powiedziała z uśmiechem.

Hubert wybrał się do piwnicy i wrócił z kilkoma słoikami różnych przetworów. Deszcz spływał strumieniami po szybach. Co jakiś czas niebo rozjaśniała błyskawica, a zaraz po niej po niebie przetaczał się potężny grzmot.

– No to o co chodzi z tym Bartkiem? – zapytał chłopak, kiedy smarowali chleb pasztetem zrobionym przez nieboszczkę Niwicką.

Iza rozejrzała się dookoła, jakby szukała wymówki, zerknęła za okno i westchnęła głęboko.

– Szukam wyjaśnienia, dlaczego tak nagle zwariował.

– A musi być konkretny powód? Słyszałem, że nie miał lekko, może teraz po prostu stało się coś, co przelało czarę?

– Niby tak, ale...

– Ale co?

– Nie przeżywasz końca świata po to, żeby po siedmiu latach, gdy wszystko w miarę się uspokaja, oszaleć i zaszlachtować ukochaną żonę – wyrzuciła z siebie Iza. – Nie sądzisz, że ci słabsi fizycznie i psychicznie już pomarli? Wiem, to okrutne tak mówić, ale przetrwały najsilniejsze jednostki. Nie tak łatwo je złamać.

– No, nie wiem. – Hubert pokręcił głową. – Gdyby tak było, nie mielibyśmy tu w Świącinie teraz kilku starszych osób ani dzieci...

– A co jeśli coś rzuciło na niego urok?

– Urok? Co, ktoś dał mu napój miłosny?

– Oj, przestań, głupi jesteś – ofuknęła go. – Mam na myśli to, że na przykład jakiś demon go opętał albo spotkał jakiegoś stwora i przez niego miał halucynacje. Henryk mówił, że kiedy weszli do jego domu, Bartek siedział zabarykadowany na strychu i ciągle krzyczał o demonach, tak jakby one go atakowały. Kiedy wiązali nieszczęśnika, nie bronił się przed znajomymi, ale przed potworami.

Iza zamilkła, a Hubert trawił jej argumenty.

– Tak przynajmniej mówił Henryk – dodała.

– Widziałem już strzygę – mówił powoli chłopak. – Spotkałem tego zdrewniałego mutanta leszego. Jakiś przeklęty topielec chciał mnie wciągnąć do jeziora. Bóg jeden wie, co jeszcze widziałem, więc demony zsyłające na ludzi omamy nie brzmią jakoś nieprawdopodobnie.

Iza widocznie odetchnęła.

– Ale powiem ci jedno. – Hubert nabił na nóż ogórek kiszony i machał nim w powietrzu. – Jeżeli to jest prawda, to mamy naprawdę przerabane. Bo nie wiemy, jak, kiedy i gdzie to coś dopada ludzi.

– Potrzebujemy więcej informacji. – Iza rozpuściła włosy, niedbale przeczesła je palcami i znów związała w kucyk.

– W takich chwilach tęsknię za internetem.

– Internetem? Boże, coś takiego w ogóle istniało? – zązartowała.

– Uwierz, że i ja czasem wątpię, czy to, co się działo kiedyś, nie było tylko snem... – Pokręcił głową.

– Co robiłeś kiedyś? Kim byłeś, zanim to się wydarzyło? – zapytała niespodziewanie. – Nigdy o sobie nie mówisz.

Hubert wzruszył ramionami.

– A co tu dużo mówić? Nie robiłem nic ciekawego. Byłem rozpieszczonym gówniarzem, który miał wszystko. Standardowo, rodzice nie poświęcali mi zbyt dużo czasu, ale jakoś się dogadywaliśmy. A kiedy wybuchła wojna, byłem na wycieczce szkolnej w Paryżu. Widziałem, jak Luwr zamienia się w gruzy...

„Widziałem, jak giną setki ludzi w jednej chwili – dodał w myślach. – Widziałem Ernesta...”.

Przed oczyma stanął mu moment śmierci przyjaciela. Wspomnienie, które najchętniej wymazałby z pamięci, prześladowające go w koszmarach sennych.

Iza nie pytała o nic więcej. A Hubert nie wiedział, jak jej powiedzieć, że to były ostatnie chwile jego życia, jakie zapamiętał.

– Gdzieś jeszcze miałem resztkę malinówki, którą znalazłem w piwnicy. – Ocknął się z zamyślenia i zaczął szukać po szafkach butelki z alkoholem. – W taką pogodę powinno się wypić coś mocniejszego.

– Ojciec pewnie nie byłby zachwycony, wiedząc, że znów z tobą siedzę, ale co tam. – Iza machnęła ręką. – Nie muszę się mu ze wszystkiego spowiadać.

Hubert wyczuł złość i żal w jej głosie. Czyżby jakieś spięcie z Sołtysem?

Przygotował szklanki i nalał do nich alkoholu.

– Za święty spokój. – Iza podniosła swoją do góry.

– Za święty spokój – powtórzył.

Wypili prawie całą butelkę malinówki i siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, zanim odważył się zapytać Izę, czy dogaduje się z ojcem.

– No właśnie się nie dogaduję! – wybuchnęła. – On najczęściej mnie ignoruje, i dobrze, jest wtedy spokój, ale jak mam coś ważnego do powiedzenia, to mnie nie słucha!

– Dlaczego?

– A skąd mam wiedzieć? Nadal traktuje mnie jak małą dziewczynkę i nie wierzy, że mogę mówić z sensem. Na przykład usiłowałam mu powiedzieć o moich podejrzeniach co do przyczyn szaleństwa Bartka, ale tylko machnął ręką i powiedział, że facet ma prawo, bo stracił trzy córki! Że on nie wie, jak by się sam zachował, gdyby coś mi się stało. Ale, na Boga, te dziewczynki umarły siedem lat temu! A jak chcę mówić o tych przeklętych demonach, to znajduje sobie jakąś wymówkę i mnie zostawia. Ja zaczynam dyskuszję, że trzeba coś zrobić ze stworem z jeziora, a on, że to niebezpieczne, bo niby jak go wyłowić. Ja mówię o strzydze, a on uszy po sobie i wychodzi. A przecież strzyga zabiła Andrzeja!

– To słabo – mruknął Hubert.

– Ja wiem, że się boi tych wszystkich demonów, że nie chce siać paniki w Świącinie, ale gdy tylko chcę coś z tym zrobić, to on udaje, że nie ma problemu.

– To ja proponuję toast za sposób na demony – powiedział Hubert. – Żeby je wszystkie szlag trafił.

– Żeby je szlag trafił. – Uniosła w górę szklankę, a potem szybko wypila jej zawartość. – Paskudna ta malinówka. – Skrzywiła się i wytarła usta rękawem bluzki.

– Nie jest taka zła – zaprzeczył Hubert. – Uwierz mi, kiedyś piłem takie świństwo produkowane przez jednego pustelnika. Tego się nie połykało, to samo przeżerało sobie drogę przez gardło.

Iza się zaśmiała.

– No to mnie pocieszyłeś.

Ale Hubert już jej nie słuchał. Pamiętał tamtą nalewkę, to jak paliła gardło, i wiedział, że nie pił jej przed wojną. Jako siedemnastolatek nie miał dostępu do czegoś takiego. „Gdzie ja to w takim razie piłem?” – myślał, ale oświecenie nie nadeszło.

– Hej, ty mnie słuchasz? – Iza machnęła mu ręką przed nosem.

– Co? A, no tak. – Hubert potrząsnął głową. – A co mówiłaś?

– Boże! – westchnęła. – Że przestało padać i muszę iść do domu.

– Co? Już? – Poczul się zawiedziony, że Iza chce go opuścić. A tak fajnie się zapowiadało to spotkanie.

– Już, bo ojciec będzie się denerwował – powiedziała, wstając.

– Odprowadzę cię. – Hubert zerwał się z krzesła, aż zakręciło mu się w głowie. – Ciemno jest, nie powinnaś chodzić sama po wsi... Wiesz, że to niebezpieczne.

– Oj daj spokój. Trafię do domu. I potrafię się obronić.

– Ale tak nie wypada – zaprzeczył. – Przez wzgląd na dawne czasy, kiedy tak się robiło.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami i zarzuciła na ramiona kurtkę.

Wyszli z domu w noc. Po burzy pozostało na niebie tylko kilka małych chmur, powietrze zrobiło się czyste i rześkie. Hubert odetchnął pełną piersią i dla żartu podał Izie ramię. Był przekonany, że dziewczyna uderzy go pięścią w biceps, ale po chwili wahania wyciągnęła ku niemu dłoń i szli oboje pod ramię przez ciemną i cichą wieś.

– To do zobaczenia – pożegnała się Iza, kiedy dotarli pod jej dom. W gabinecie Sołtysa wciąż paliła się lampa. Zerknęła na okno i westchnęła ciężko. – Tylko nie zabłądź w drodze do siebie.

– Aha, jasne. Do jutra. – Hubert kiwnął głową i wsadził ręce do kieszeni.

Nie wiedział, co robić dalej, ale Iza wbiegła po schodkach do drzwi i już po chwili za nimi zniknęła.

Hubertowi nie spieszyło się do domu. Szedł powoli z rękoma w kieszeni, co jakiś czas kopiąc kamyki na drodze. „Kiedyś zaprosiłbym ją do kina albo na pizzę – pomyślał. – Ale chwila, teraz bylibyśmy pewnie na studiach, to może poszlibyśmy nawet do restauracji na obiad. A tak? Dupa. Nawet wsi nie możemy opuścić”.

Zatrzymał się na placu pod kościołem i przez chwilę patrzył na krzyż na jego szczycie. Nigdy nie był specjalnie wierzący, ale wynikało to raczej z lenistwa, gdyż nigdy nie chciało mu się chodzić na msze.

– A ty gdzie się podziewałeś, kiedy to wszystko się działo? – zapytał na głos, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Zresztą i tak nie spodziewał się żadnej odpowiedzi. Wzruszył tylko ramionami i zrobił krok w kierunku domu, ale nagle zakręciło mu się w głowie, wzrok zaszedł mgłą, a w uszach zaszumiało. Musiał wesprzeć się ręką na płocie, żeby się nie przewrócić. Na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje, gdy niespodziewanie mgła przed oczami się rozwiła i zobaczył wyraźne litery.

„... kat... dręczy sumienie... zsyła omamy...”.

Potrząsnął głową i przetarł oczy dłonią. Spróbował się oderwać od płotu, ale po chwili znów się na niego zatoczył.

– Co to było? – zapytał siebie, gdy odzyskał zmysły. – Odbija mi już zupełnie – mruknął i poszedł do domu. W głowie wciąż mu huczało.

Do łóżka kładł się pełen nadziei, że nikt nie urządzi mu pobudki o świcie. Choć jego małe marzenie się spełniło, i tak się nie wyspał, gdyż przez całą noc śniło mu się, że mieszkał w niemieckim bunkrze, potem uciekał przed kimś przez ciemny las, strzelano do niego, a kule śmigają dookoła i rozszarpały pnie drzew.

– Co za poryte sny! – jęknął, gdy o dziewiątej rano, nie całkiem jeszcze obudzony, poszedł do kuchni znaleźć coś do picia.

– Hubert! – nagle usłyszał wołanie zza drzwi. – Hubert! Chodź szybko!

– Co znowu? – mruknął, wychodząc z kuchni.

Do domu wpadła bez pukania Ania.

– Chodź, ksiądz przyjechał! – wydyszała.

– Ksiądz? – zdziwił się. – To po co te krzyki?

– Oj, chodź i nie marudź. – Dziewczyna złapała go za rękaw koszuli i wyciągnęła na dwór. Słońce poraziło go w oczy.

Hubert, przesłaniając dłonią wzrok, pozwolił podekscytowanej dziewczynie poprowadzić się na główny plac. Stało tam już kilku mieszkańców wsi. Najwyraźniej każdy chciał podejść do osoby stojącej w centrum.

– Idziesz? – Ania przestępowała z nogi na nogę.

– Poczekam, aż zrobi się luźniej – mruknął, stając na uboczu z założonymi na piersi rękoma.

Na razie nie widział księdza, ale co jakiś czas słyszał niski, pewny głos kogoś witającego się z ludźmi.

„Ciekawe, czy ma sutannę” – pomyślał.

– Cześć – usłyszał.

Przewyciężając ból głowy, spojrział w bok i zobaczył uśmiechniętą Izę.

– Cześć – odpowiedział zmęczonym głosem.

– Słabo wyglądasz. – Zmierzyła go od stóp do głów. – Nie mów tylko, że masz kaca.

– Pewnie, że nie mam – oburzył się.

– Bo nie ma nawet po czym – powiedziała z mściwym uśmiechem.

– Spadaj – mruknął.

„Gdyby pod kościołem dopadły cię jakieś chore wizje, też byś marnie wyglądała” – dodał w myślach.

– Myślisz, że już mogę rozgonić trzódkę? – zapytała, patrząc na gromadzących się mieszkańców Świącina.

Hubert wzruszył ramionami.

– Chyba tak – odpowiedziała sobie i ruszyła w stronę zgromadzonych. Ludzie, nieproszeni, zaczęli usuwać się jej z drogi.

Dopiero w tej chwili Hubert zauważył, że trochę z boku na placu siedzi wielki, bury wilczur. Badawczo się wszystkim przyglądał.

– Izabela Kościuszko – powitał ją donośnie ksiądz.

Hubert w końcu go zobaczył. Nie wyglądał jakoś szczególnie. Ot, średniego wzrostu mężczyzna koło czterdziestki, z krótko ostrzyżonymi włosami. Z pewnością nie nosił sutanny. „Zresztą, kto by wymagał w takich czasach noszenia sukienek – pomyślał Hubert. – Wszystkie diecezje, czy jak je się tam zwie, też pewnie padły”.

– Myślę, że ojciec Adrian jest zmęczony po podróży i musi odpocząć – powiedziała Iza do mieszkańców Świącina.

Wszyscy pokiwali głowami, ale nie ruszyli się z miejsc. Wzięła więc księdza pod ramię i wyprowadziła z tłumu.

– Widzę, że macie nowego mieszkańca. – Duchowny przystanął i zmierzył Huberta przenikliwym wzrokiem.

Iza spróbowała delikatnie skierować ojca Adriana do swojego domu. Bezskutecznie. Ksiądz podszedł do chłopaka, nie spuszczać z niego oczu.

– Ee... dzień dobry... – odezwał się Hubert niepewnie. Nie miał pojęcia, jak powinien przywitać się z księdzem.

– Dzień dobry – powtórzył duchowny i uśmiechnął się, jakby już wszystko wiedział o rozmówcy. – Widzę, że Święcino wzbogaciło się o jednego strażnika.

„No i skąd on może to wiedzieć? – zirytował się chłopak. – I niech się na mnie tak nie gapi”.

– I jednego straciliśmy – odezwała się Iza. – Andrzej zginął wiosną.

Ojciec Adrian oderwał wzrok od Huberta i spojrzał na nią.

– Tak mi przykro – odezwał się po chwili, po czym oboje ruszyli do domu Sołtysa. Wielki bury pies podniósł się z ziemi i powolnym krokiem ruszył za nimi.

Hubert nadal stał i patrzył w ślad za odchodzącymi.

– Dziwny facet – westchnął, gdy podeszła do niego Ania.

– Na początku każdemu się taki wydaje, ale to naprawdę w porządku człowiek – powiedziała. – Można pomyśleć, że patrząc na ludzi, od razu widzi ich wszystkie grzechy, prawda? – dodała.

– Właśnie – przytaknął.

Ksiądz naprawdę sprawiał takie wrażenie, co było dość niepokojące, bo Hubert sam nie pamiętał grzechów popełnionych przez ostatnie siedem lat.

– A ten jego pies! – Ania zamilkła na chwilę i wzdrygnęła się bezwiednie. – Kiedy na mnie patrzy, mam wrażenie, że zaraz rzuci się do gardła.

– Uroczy pupil. Pewnie nazywa się Puszek – zażartował Hubert.

Obydwoje zamilkli.

– Co teraz będziesz robił? – zapytała po chwili, by przerwać niezręczną ciszę.

– A bo ja wiem... – Wzruszył ramionami. Spojrzał na słońce, które było już wysoko na niebie, i uświadomił sobie ze zgrozą, która jest godzina. – Kurde, spóźnię się do stajni! Muszę lecieć. To na razie! – krzyknął i pobiegł do domu.

Tam wypił szybko szklankę kompotu, wziął pistolet i popędził do stajni.

– Spóźniłeś się – przywitał go cierpko Stanisław.

– Wiem, przepraszam. Wyciągnęli mnie na spotkanie z księdzem – tłumaczył się gorączkowo, ale Stanisław machnął tylko ręką.

– Osiodłałem już twojego konia, jedźmy na ten patrol – powiedział stary strażnik. Hubert kiwnął głową i wspiał się na grzbiet szaro umaszczonej klaczy, na której zazwyczaj jeździł. Nazywała się bardzo oryginalnie – Siwa.

Od niedawna każdy patrol zaczynał się od jazdy wzdłuż zewnętrznej ściany palisady. Ludzie nie byli jeszcze pewni, czy zwykle drewno może powstrzymać demony.

– A to co? – zdziwił się Hubert, wpatrując się w punkt w oddali.

– Coś zobaczyłeś? – zaniepokoił się Stanisław.

– Nie wiem, jakąś dziurę czy coś...

Pokłusowali przed siebie i zatrzymali się przed niewielką jamą, obok której leżała hałda wykopanej ziemi. Stanisław zsiadł z konia i dokładnie ją obejrzał.

– Co to może być? – zapytał chłopak. – Tylko nie mów, że strzygi zaczęły robić podkopy.

– To borsuk – oznajmił stary strażnik.

– Co?

– Borsuk, wiesz chyba, jak wygląda – wyjaśnił. – Chciał wykopać sobie jamę, ale najwyraźniej nie spodobało mu się nasze sąsiedztwo.

– To co robimy? – zapytał Hubert.

– Nic, zakopimy dziurę i pojedziemy dalej.

– A ten borsuk nie zacznie znowu jej kopać?

– Raczej nie, myślę, że się wyprowadził.

– I jesteś pewien, że to borsuk, a nie jakiś leśny demon sabotażysta? – upewniał się Hubert.

Stanisław wznosił wzrok ku niebu.

– Panie, zlituj się nade mną – westchnął. – Jeśli chcesz, możesz iść do Sołtysa i mu powiedzieć, że demon sabotażysta właśnie podkopał naszą palisadę i zostawia takie same ślady – co trzeba zaznaczyć, jest bardzo niesamowite – jak zwykły borsuk.

– No dobra, zakopimy i zapomnimy o sprawie – zgodził się chłopak.

Hubert lubił Stanisława. Stary strażnik był kiedyś myśliwym, znał się na broni, lesie i nigdy nie panikował. Czasem zachowywał się zgryźliwie i marudnie, ale dało się to znieść.

– A co sądzisz o tym księdzu? – zagał Hubert, kiedy zakopali dół i ponownie wsiedli na konie.

– A co mam sądzić? – Stanisław wzruszył ramionami. – Nigdy za długo z nim nie rozmawiałem. Ostatnim razem był u nas ponad rok temu, poświęcił groby, odprawił kilka mszy, wyspowiadał ludzi. Czasem ma ciekawe kazania, a czasem gada takie bzdury, że nie idzie go zrozumieć. Jeździ po świecie sam, to i poprzestawiało mu się trochę w głowie. Ale ponoć nie ma sobie równych w polowaniach na demony... – Stary strażnik się zaśmiał. – W końcu robi to, co powinien, a nie siedzi na plebanii i tyje.

– Widziałeś jakichś innych księży po epidemii? – zainteresował się chłopak.

– Ze dwóch czy trzech. Jeden zamknął się w piwnicy i zwariował, innego utłukli...

– Jakież stwory?

– A gdzie tam stwory, zwykli menele.

– Czad – skwitował ironicznie Hubert.

– Ale przynajmniej będzie okazja do świętowania – ucieszył się Stanisław.

– Świętowania? Czego?

– Jest ksiądz, to i wesele będzie. Łukasz z Kasią są zaręczeni od ładnych paru miesięcy, więc muszą korzystać z okazji teraz, bo nie wiadomo, kiedy pojawi się następna.

Wieczorem cała wieś udała się do kościoła na nabożeństwo. Ksiądz Adrian odprawił mszę według obrządku sprzed zniszczenia świata, choć samo kazanie Hubertowi wydało się trzy razy dłuższe. Duchowny mówił, że wszystkim jest ciężko, ale ludzie jakoś sobie radzą. Opowiedział też o innych osadach, które odwiedził.

– Wielu rzeczy jeszcze nie rozumiemy – mówił. – Nie pytajmy „dlaczego”, ale „jak mamy sobie poradzić w tej sytuacji”, a Bóg da nam odpowiedź. W tej ciemnej godzinie musimy zaufać Panu, tylko On, tylko bezgraniczna wiara w Niego pomoże nam przetrwać.

Cały kościół pogrążył się na chwilę w ciszy. Hubert miał wrażenie, że większość ludzi jest poruszona do głębi, i stwierdził, iż jeszcze tego samego wieczoru połowa Święcina będzie przed snem odmawiać cały różaniec.

Po mszy ksiądz poświęcił groby zmarłych. Chwilę dłużej stanął przy nagrobku Andrzeja zrobionym z wielkiego polnego kamienia.

– Nie było mnie tu tamtej nocy, kiedy zginął – przemówił ojciec Adrian. – Lecz słyszałem, że zmarł śmiercią bohaterską, na służbie, stanął w obronie Święcina. Poświadczył, że był gotów oddać za to miejsce wszystko, nawet własne życie.

„No, nie wiem – pomyślał Hubert. – Gdyby nie był tak nieostrożny, pewnie inaczej by się to skończyło. Przeżyją ci, co mają głowę na karku... Jezu, od kiedy stałem się tak cyniczny?”

Chłopak potrząsnął głową. Andrzej zginął naprawdę paskudną śmiercią, Hubert szczerze współczuł jemu i rodzinie i nie miał zamiaru źle o koledze myśleć.

„Może to te podniosłe gadki księdza tak na mnie działają” – przemknęło mu przez głowę.

Po uroczystościach strażnicy zebrali się w piwnicy szkolnej. Wkrótce dołączyli do nich Iza i ojciec Adrian ze swoim wielkim psem. Ksiądz po kolei ze wszystkimi się przywitał, Huberta zostawił na koniec.

– Osadzie przyda się dodatkowa strzelba i para rąk do pracy – powiedział, potrząsając dłonią chłopaka.

– Hm, pewnie tak – bąknął Hubert, który wciąż miał wrażenie, że duchowny czyta w nim jak w książce.

– Któregoś dnia będziemy musieli uciąć sobie pogawędkę sam na sam.

Chłopak pokiwał głową, choć rozmowa w cztery oczy z księdzem była ostatnim punktem na jego liście: „do zrobienia”. Zresztą niby czego mogła dotyczyć? Hubert nie miał zbyt wielu ciekawych rzeczy do opowiedzenia.

– Usiądźmy – zarządził Marek, wybawiając go z niezręcznej sytuacji.

Każdy znalazł dla siebie jakieś krzesło, po czym zaczęli opowiadać. Na początku relacjonowali, co się działo w Święcinie, ksiądz wspominał o swoich podróżach. Hubert przysłuchiwał się rozmowom tylko jednym uchem. Był zmęczony, i senny i nie czuł potrzeby zabierania głosu. Co więcej, miał wrażenie, że nikt go specjalnie do tego nie zachęca.

Świat młodego strażnika zafalował, zrobił się niewyraźny, głosy obecnych w piwnicy zaczęły zlewać się w jednostajny szum. „Jak przesłonię oczy dłonią, nikt nie zauważy...” – pomyślał sennie i osunął się w nicość.

– Młody! Wstawaj! – usłyszał, a potem ktoś mocno kopnął w nogę jego krzesła.

– Co? – Hubert ocknął się z letargu i potoczył wokół zaspanym wzrokiem.

– Wstawaj, koniec narady – mruknął Marek.

Chłopak dopiero teraz zauważył, że inni zaczęli już podnosić się z krzeseł. Ksiądz Adrian stał w drzwiach i właśnie żegnał się ze strażnikami.

– Dobrej nocy – powiedział i wyszedł.

Za nim poderwała się Iza. Na chwilę przystanąła i rzuciła Hubertowi karcące spojrzenie.

– No co? – mruknął, ale bez słowa wymaszerowała z pomieszczenia.

– Przespałeś całą naradę – wyjaśnił Marek. – To się nie dziw, że jest wściekła. Wstydzi się za ciebie.

– Oj, daj spokój – bronił się chłopak. – Byłem przecież dyskretny.

– Aha, wtedy kiedy głośno chrapałeś czy kiedy prawie zleciałeś z krzesła? – kpił rozbawiony strażnik.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – burknął Hubert.

– Idź lepiej do domu się przespać – poradził Marek, klepiąc go po łopatce. – Tylko nie zaśnij po drodze.

Z samego rana Hubert wybrał się do Henryka i pomagał mu w naprawie różnych sprzętów ze wsi. Ostrzyli siekiery i szpadle, trzeba też było dopasować styliska do kilku z nich.

– Marian potrafi skłonić ludzi niemal do wszystkiego, zorganizować ich i zarządzić robotą, ale jeżeli trzeba coś naprawić, to się okazuje, że ma dwie lewe ręce – narzekał Henryk.

– Ty go chyba nie lubisz – stwierdził ze zdumieniem Hubert.

– To nie jest piwo, żeby go lubić. – Były wojskowy wzruszył ramionami.

Hubert uniósł brwi, ale się nie odezwał. „Głupi układ – pomyślał. – Dwóch facetów, co chciałoby być ojcami, i tylko jedna Iza”.

– Ale go szanuję – odezwał się Henryk. – Gdyby nie on, Święcino nadal tkwiłoby w rozsypce. Kiedy przybyli z Izą, nie było tu dosłownie nic...

– To tak jak ten król – ucieszył się Hubert. – Jak mu tam było... no ten, co zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną.

– Kazimierz Wielki – westchnął mężczyzna.

– No właśnie. Za słabo uważałem na historii.

Henryk przerwał pracę i spojrzał na chłopaka.

– Wiesz, o czym powinienes pamiętać?

– O czym?

– Żeby nie wyłączać co chwila mózgu.

– To znaczy? – Policzki Huberta stały się czerwone.

Kiedyś, jeszcze przed wojną, chłopak nie potrafił nawet naostrzyć noża, ale teraz okazało się, że doskonale wie, jak poradzić sobie z tępą siekierą czy szpadlem. Nie miał pojęcia skąd, i im więcej się nad tym zastanawiał, tym mniej rozumiał. Najlepiej było, gdy błędził gdzieś myślami, rozmawiał i pozwalał rękom działać mechanicznie.

Obiad zjedli razem, a potem Hubert wrócił do siebie. Cieszyła go wizja wolnego leniwego popołudnia. Co prawda zawsze mógł ogarnąć dom, zająć się naprawami, ale przecież sprzątanie nie zając, nie ucieknie.

Do ogródka za domem zabrał fotel, ze studni wyciągnął butelkę pełną cudownie zimnego soku, który wyzebrał kiedyś od Kasi, z piwnicy wydobyl słoik z mięsem w galarecie i rozsiadł się wygodnie w cieniu jabłoni.

– Jest bosko... – westchnął.

Nalał soku do szklanki i upewnił się jeszcze, czy z ulicy go nie widać. Gdyby ktokolwiek zauważył go leniuchującego, od razu znalazłaby się dla niego jakaś praca.

Było ciepłe popołudnie, spoglądał w bezchmurne niebo, jabłoni szeleściła cicho na delikatnym wietrze, owady bzyczały w trawie.

„Dlaczego to popołudnie nie mogłoby trwać tak przez tydzień?” – zastanawiał się rozleniwiony Hubert.

Wypił pół szklanki chłodnego soku, powieki zaczęły mu ciążyć. Fotel był taki wygodny.

– Hubert! – Z pólśnu wyrwał go czyjś krzyk.

„Może jak będę udawał, że nie słyszę, to zostawią mnie w spokoju” – pomyślał.

– Hubert! – Wołanie nie ustawało.

Ktoś bez skrupowania wszedł do jego domu. Chłopak skulił się w fotelu, jakby chciał się schować.

– No i co udajesz, że nie słyszysz? – Do ogródka wmaszerowała Iza.

– Co? – Sennie otworzył jedno oko.

– I nie udawaj, że spałeś – wyrzuciła mu. – Mam dla ciebie zajęcie. Na pewno się ucieszysz.

– Uhm, z pewnością – mruknął z przekąsem.

– Już, wstawaj. – Podeszła i bezceremonialnie kopnęła go w but.

– No, dobra. Ej, to moje! – zaprotestował gwałtownie, gdy Iza podniosła do ust jego szklankę. Nie zważając na okrzyki chłopaka, dopiła zawartość.

– Dobre było – pochwaliła. – Idziemy.

Hubert niechętnie wstał i poszedł za nią.

– Weź broń, idziesz do lasu – powiedziała.

– Ale po co? – zapytał.

– Zobaczysz.



Nie zadawał więcej pytań i po chwili oboje dotarli do starej szkoły, gdzie mieszkała Iza z ojcem, a teraz zatrzymał się tam również ojciec Adrian.

– Poczekaj tu. – Iza gestem zatrzymała go w przedpokoju.

W dużym budynku panował przyjemny chłód. Hubert przysiadł na krzesło i tępo wpatrywał się w ścianę. Po dłuższej chwili w przedpokoju pojawił się ojciec Adrian.

– Witaj. – Ksiądz podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Dzień dobry. – Chłopak zerwał się z krzesła i uścisnął mu dłoń.

– Gotowy na wyprawę?

– Ee, no, yhm, chyba – zająknął się Hubert. – A dokąd idziemy?

– Wykopać strzygę – powiedziała Iza, która pojawiła się nie wiadomo skąd i wcisnęła mu do ręki szpadel. Drugi podała ojcu Adrianowi. – Chyba pamiętasz, gdzie ją pogrzebaliśmy?

– Hm, chyba tak.

– No to powodzenia. – Otworzyła im drzwi wyjściowe.

– Do zobaczenia na kolacji – pożegnał się ksiądz. – Taj! – zawołał i gwizdnął cicho. Zaraz u jego nóg stanął wilczur i obaj ruszyli dziarsko.

Hubert obejrzał się jeszcze na Izę, jakby czekał na wyjaśnienia, a potem pobiegł za duchownym.

– Ale właściwie po co będziemy wykopywać tę strzygę? – zapytał, gdy dogonił kapłana.

– Przecież wczoraj wszystko wyjaśniliśmy na spotkaniu – powiedział ksiądz. – Nawet zgłosiłeś się na ochotnika.

– Naprawdę? – Zupełnie nic nie pamiętał z ostatniego wieczoru.

Ojciec Adrian się zaśmiał.

„No tak, przysnąłem, to się na mnie zemścili” – pomyślał ze złością chłopak.

– Chcę dokładnie obejrzeć jej szkielet i zrobić notatki. Może dowiemy się czegoś ciekawego – wyjaśnił ksiądz.

– Aha. – Hubert pokiwał głową, choć i tak nic nie rozumiał.

Zaprowadził duchownego poza teren osady, na skraj lasu, gdzie kilka tygodni wcześniej zakopali ciało strzygi. Niewielkie wzniesienie przysypane kamieniami pokryły liście rosnącej obok brzozy. W ziemi tkwił wbity kołek.

– To tu – wskazał młody strażnik. – A gdzieś tam – machnął ręką w stronę lasu – zakopaliśmy głowę.

– Fachowo. – Ksiądz pokiwał głową. – No, to do roboty.

Hubert obawiał się, że ksiądz tylko będzie mu rozkazywał, ale na szczęście pracowali razem. Nie spiesząc się, zdjęli z grobu kamienie i ułożyli na kupce obok. Później zaczęli kopać dół.

– Na jakiej głębokości ją pogrzebaliście? – zapytał ksiądz. – Lepiej, byśmy nie uszkodzili ciała szpadlami.

– Dość głęboko, jakieś półtora metra – powiedział po namyśle. – Co prawda źle się tu kopało, bo dużo korzeni, ale nikt nie chciał, żeby to coś było tuż pod powierzchnią ziemi.

Pracowali na zmianę, gdyż dół był wąski i dwie osoby jedynie by sobie przeszkadzały. Wielki pies księdza usiadł na ziemi kilka metrów dalej, najwyraźniej nie miał ochoty w tym wszystkim uczestniczyć. W cieniu drzew panował chłód, ale komary gryzły jak szalone.

– Teraz już musimy być ostrożniejsi – odezwał się ksiądz, kiedy przekroczyli głębokość metra. – To jak ją zabiliście?

„Przecież wiesz – pomyślał Hubert. – Na pewno ci mówili, to po co chcesz to usłyszeć ode mnie?”

– Henryk obciął jej głowę – powiedział na głos. – Potem jeszcze osikowy kołek w serce, tak na wszelki wypadek, i do grobu.

– A skąd wiedzieliście, że głowę i ciało chowa się osobno?

„Sprawdzasz mnie, co? Chcesz się przekonać, czy mówię prawdę?”

– Ja im to poradziłem. I niech ksiądz nie pyta, skąd to wiem, bo sam nie mam pojęcia, musiałem kiedyś gdzieś usłyszeć.

– Dobrze – odparł ojciec Adrian.

– Tak naprawdę to po co to rozkopywanie grobu? Będziemy sekcję zwłok robić czy co?

– Skoro demony istnieją i nam zagrażają, to dobrze by było jak najwięcej się o nich dowiedzieć, nie sądzisz?

– No niby tak, ale co z tego truchła wywnioskujemy?

– Zobaczymy, na razie kop.

Hubert wzruszył ramionami i wbił szpadel w ziemię. Skoro ksiądz ma takie marzenia, to nie będzie mu w drogę wchodził. Sam walczył ze strzygą, doświadczył, jak atakuje, jaką ma twardą skórę i ostre pazury. Jaka jeszcze wiedza jest potrzebna?

W końcu dokopał się do truchła. Zaczął delikatnie zdejmować saperką kolejne warstwy ziemi, żeby nie naruszyć tego, co zostało ze strzygi.

– Ale cuchnie – jęknął Hubert, zasłaniając nos koszulką.

– Wychodź, teraz moja kolej – powiedział ksiądz i wskoczył do dołu obok martwego ciała.

Hubert z ulgą wygramolił się na górę i obserwował poczynania duchownego. Strzyga już dawno zaczęła gnicić, gdzieś widać były się białe larwy i sporo żuków, lecz kości jeszcze nie było widać. Pies ojca Adriana zbliżył się do dołu, zaczął węszyć, po czym szybko wrócił na swoje miejsce i dalej przypatrywał się mężczyznom.

– Wyciągniemy ją. – Duchowny odkrył już całe ciało i stanął nad nim, opierając się o szpadel.

– Co? Przecież się rozleci – zaprotestował Hubert. Co innego kopać, a co innego wyciągać kilkutygodniowe zwłoki z ziemi.

– Sięgnij do mojego plecaka, mam tam brezent, podłożymy pod spód i wyciągniemy ciało.

Jednak nie było to takie proste. Musieli działać bardzo ostrożnie, żeby nie uszkodzić strzygi. Poza tym nawet po śmierci wydawała się bardzo ciężka. Po dłuższych zmaganiach truchło spoczęło na brezencie obok grobu.

– I co teraz? – zapytał Hubert. Było mu niedobrze od smrodu, a widok rozkładającego się ciała pełnego robactwa wcale nie poprawiał sytuacji.

Ksiądz nałożył na ręce gumowe rękawiczki i zaczął oglądać strzygę kawałek po kawałeczku. Mruczał przy tym pod nosem i zdawał się nie dostrzegać młodego strażnika.

„Co za popaprany koleś” – myślał Hubert, rozglądając się trwożliwie. Temperatura powietrza spadła i zerwał się chłodny wiatr. Liście drzew zaszumiały złowrogo. Chłopak miał wrażenie, że robią coś niewłaściwego.

„Zaraz przylezie druga strzyga bronić miejsca spoczynku towarzysza” – przemknęło mu przez głowę. Z niepokojem sprawdził, czy wciąż ma broń.

– Podaj mi nóż – z zamyślenia wyrwał go głos księdza.

– Co?

– Nóż. Z plecaka.

Hubert wypełnił polecenie. Ojciec Adrian bez wahania rozpruł strzygę od szyi po krocze. Chłopak odwrócił się, odszedł kilka metrów i nabrał głęboko w płuca czystego powietrza.

– Nie dramatyzuj – mruknął ksiądz. – Nie mów, że jak byleś mały, nie kroileś żab. To jest jak taka większa żaba.

– Jakoś mnie podobne zabawy ominęły. – Hubert skrzywił się niechętnie.

– Chodź tu i powiedz, co widzisz. – Ojciec Adrian uniósł w górę dłoń.

– Co to jest? Jakaś kość? – zainteresował się Hubert. Przykucnął naprzeciw duchownego, mdłości minęły.

– Uhm, a czyja?

– Chyba nie strzygi, przypomina mi jakiegoś kurczaka...

– No prawie, to zając, a kurę mamy tutaj. – Ksiądz wskazał inną kosteczkę.

– Żywią się kurczakami i zającami? – zdziwił się chłopak.

– Na to wygląda. W końcu nie za często ich łupem padają ludzie, co?

– W sumie to by było logiczne – zastanowił się Hubert. – Ale jak możemy to wykorzystać przeciwko strzygom?

– Nie martw się, już coś wymyślimy. – Ksiądz się uśmiechnął. – OK, to już chyba wszystko wiem, trzeba teraz ją zakopać. Zajmiesz się tym?

Zrzucili ciało z powrotem do dołu, po czym młody strażnik zaczął je przysypywać ziemią, a duchowny zdjął rękawiczki, usiadł z boku i coś skrętnie notował.

– Skończone. – Hubert otarł dłonią czoło pół godziny później. Na grobie ponownie ułożył kamienie, a w sam środek wbił gruby kij. Tylko cienka warstwa przekopanej ziemi obok wskazywała, że ktoś tu był.

– No, to teraz możemy zająć się głową. – Ksiądz zamknął notes i się podniósł.

– Co?! – jęknął chłopak. – Myślałem, że to koniec.

– Idziemy. – Duchowny poszedł głębiej w las. Jego pies obejrzał się na Huberta i ruszył za właścicielem.

– To jest chore – marudził Hubert po drodze.

– Głowę zakopaliście twarzą w jakim kierunku? – zagadnął ojciec Adrian.

– Do dołu – mruknął chłopak.

– Słusznie. Nikt przecież nie chciałby, żeby wstała, co?

– Miał już ksiądz wcześniej do czynienia ze strzygą? – zapytał Hubert, kiedy zaczęli odkopywać głowę.

– Raz. – Ksiądz przestał pracować i oparł się o swój szpadel. – Byłem wtedy w podróży. Taj mnie przed nią ostrzegł. Zacząłem strzelać, ale niewiele to dało, pociski się ześlizgiwały. Taj wtedy się na nią rzucił i już myślałem, że go stracę... – zamilkł na chwilę, pogrążony we wspomnieniach. – Nie mogłem pozwolić mu umrzeć. W końcu tylko on odważył się iść na włóczęgę ze mną. Żaden człowiek... Na szczęście miałem przy sobie nóż i z nim rzuciłem się na strzygę. Ciąłem na oślep, nie wiem, jakim cudem nie trafiłem przy tym Taja. No, ale jakoś nam się udało i wspólnymi siłami ją ubiliśmy.

– I co, wtedy ksiądz też przeprowadził sekcję?

– A gdzie tam. – Duchowny machnął ręką. – Byłem tak przerażony, że zostawiłem truchło i się stamtąd wynieśliśmy. Dopiero dwa dni później wpadłem na to, że mógłbym się czegoś dowiedzieć, jeśli bym je zbadał, ale gdy wróciłem na miejsce, nic nie znalazłem.

– Coś zjadło ciało?

– Chciałbym tak myśleć, ale nie wiem, czy strzyga się nie zregenerowała.

– To lipa.

– Też tak myślę, dlatego teraz nie przepuszczam nigdy okazji, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o demonach.

– A ta cała demonologia? Nie natknął się na nią ksiądz?

– Słyszałem o tych książkach, ale jeszcze na żadną nie trafiłem. Więc zamiast uganiać się za nimi, postanowiłem skupić się na tym, co mogę odkryć sam.

Wkrótce odkopali łeb strzygi, który wcale nie był w lepszym stanie niż reszta ciała. Ksiądz dokładnie mu się przyjrzał, wsadził palce do paszczy pełnej ostrych zębów. A na koniec kombinerkami wyrwał dwa kły.

– A to po co? – Hubert się skrzywił.

– Miałeś kiedyś ząb strzygi?

– Nie.

– No właśnie. Może kiedyś się przydać.

– Aha, jak ksiądz uważa. – Chłopak się wzdrygnął, ale schował podarunek.

– To co, zakopiesz, kiedy będę robił notatki?

Hubert bez słowa zabrał się do pracy.

„I po co to wszystko? – mruczał pod nosem, kopiąc. – Gównu się dowiedzieliśmy. Że strzyga je nie tylko ludzkie mięso, tego można się przecież domyślić”.

Nie czuł się co prawda zmęczony – dla jego wyćwiczonego ciała wykopanie dwóch dołów nie było jakimś szczególnym wysiłkiem – ale miał wrażenie, że smród rozkładającego się truchła bestii przeniknął go na wskroś. Do tego niemilosiernie kasały komary.

– Teraz marzę tylko o kąpieli i ogromnej ilości mydła – powiedział chłopak w drodze powrotnej.

– Nam obu się to przyda. – Ojciec Adrian pokiwał głową.

– Mogę zapytać, jak to się stało, że ksiądz wybrał podróżowanie? Nie lepiej byłoby siedzieć w wiosce i mieć spokój?

W Święcinie ludzie by się ucieszyli, że mają duchownego na wyłączność – zagadnął Hubert.

Nie znał osobiście zbyt wielu księży, ale nie sądził, żeby wszyscy ruszyli w świat głosić Słowo Boże i studiować kwestię demonów.

– Pewnie by się ucieszyli... – Ojciec Adrian westchnął. – Ale niewielu z nas przetrwało. Wszystkie seminaria padły. Nie byliśmy przygotowani na taki kataklizm. Większość z moich kolegów była szkolona, żeby odprawiać msze, udzielać sakramentów, żyć spokojnie w jakimś odległym zakątku Polski i opiekować się trzódką wiernych. Tych, którzy mieli siłę przebicia, wysyłano do większych parafii... Kiedy bomba spadła na Watykan... – Ksiądz zamilkł.

„No proszę, nawet Watykanowi się dostało” – pomyślał Hubert.

– Wszyscy wpadliśmy w panikę – kontynuował duchowny. – Ludzie przychodzili do nas po radę, pociechę, a my nie potrafiliśmy ich wesprzeć. Sami byliśmy przerażeni, ogarnęło nas zwątpienie. Nawet tych z prawdziwym powołaniem, nie wspominając o osobach, które poszły do seminarium, ponieważ nie miały pomysłu na życie. A kiedy zwykli ludzie nie znaleźli w nas oparcia, zamieniliśmy się w kozły ofiarne. Nie trwało długo, a kościoły stanęły w ogniu, księża zaś byli linczowani przez swoich wyznawców.

– To jak się księdzu udało? – zapytał.

– Wróciłem wtedy właśnie z misji w Afryce, gdzie nauczyłem się tego i owego i po prostu nie dałem się zabić. Ani ludziom, ani demonom. A ty? Jak się znalazłeś w Święcinie?

– Ech, zupełnie przez przypadek – wyjaśnił Hubert. – Nie wiedziałem, że jest tu jakaś osada, jechałem sobie drogą, wpadłem w rów, a kiedy się ocknąłem, zobaczyłem Izę z pistoletem wymierzonym we mnie. I tyle, ale cieszę się, że tu jestem. W sumie nie wiem, gdzie indziej mógłbym pójść.

Chłopak miał wrażenie, że ksiądz najchętniej zapytałby go o coś jeszcze, ale byli już pod domem Sołtysa. Hubert nie miał ochoty przedłużać rozmowy.

– To do zobaczenia – pożegnał się i ruszył do siebie.

– Do zobaczenia – odpowiedział kapłan.

Hubert miał wrażenie, że ojciec Adrian odprowadzał go wzrokiem.

„Dziwny facet, ale chyba jest w porządku – myślał po drodze. – Ma swoją misję...”.

Nagle ciężący w rękach przedmiot coś mu uświadomił.

– Cholera, nie oddałem Izie szpadla. – Stanął na środku wsi i uderzył dłonią w czoło. – Kretyn.

Zawahał się przez chwilę. Wracać? Miał taką ochotę zmyć z siebie pył i smród.

Uznał jednak, że lepiej załatwić to teraz. Następnego dnia chciał mieć wolny od zobowiązań, więc zawrócił do starej szkoły.

Kiedy dotarł na miejsce, zapukał w uchylone drzwi, lecz nikt mu nie odpowiedział. Wzruszył ramionami i wszedł do środka. Chciał zostawić szpadel w korytarzu, ale wtedy usłyszał stłumione głosy z pokoju na końcu korytarza. Coś podkusiło go, żeby na palcach zbliżyć się do rozmawiających.

– ...niby w porządku, ale coś jest z nim nie tak. – Hubert rozpoznał głos ojca Adriana. – Nie wiem, jakby coś ukrywał. Uważaj na niego.

– Niech ojciec nie przesadza – odpowiedziała Iza. – Może czasem zachowuje się jak dzieciak i nie lubi mówić o sobie, ale...

Huberta dobiegł odgłos kroków na piętrze.

„Kurde, Sołtys jest na górze” – pomyślał i szybko się cofnął do drzwi wejściowych. Jak na złość upuścił na ziemię szpadel, który narobił trochę hałasu.

– Co się dzieje? – Na korytarz wyszła Iza. – Ach, to ty.

– Zapomniałem oddać. – Hubert, z przepaszającym uśmiechem, schylił się po szpadel.

W tym samym momencie na szczycie schodów pojawił się Marian Kościuszko.

– To ja już pójdę. – Chłopak zaczął cofać się ku drzwiom.

Był już na progu, kiedy dogonił go ksiądz.

– Hubert?

– Tak?

Duchowny stanął blisko niego i spojrzał mu twardo w oczy.

– Nie rozpovídaj we wsi, co dziś robiliśmy, dobrze?

Młody strażnik kiwnął głową.

– Nie wszyscy podzielają mój zapał badania demonów – kontynuował kapłan. – Strzyga co prawda nie wstanie z martwych, ale ludzie będą lepiej spać, nie wiedząc, że ktoś zakłócał jej spokój.

– OK – zgodził się Hubert i odszedł szybkim krokiem.

„Coś jest ze mną nie tak? – denerwował się po drodze. – »Uważaj na niego?«. Co to niby ma znaczyć? Zgłupiał klecha jeden?! Wykopuję z nim trupy demonów, a on że coś ukrywam?! A księżyna niby lepszy?! To on nie chce mówić ludziom, że rozkopuje groby, hipokryta jeden! I jeszcze Izę chce na mnie napuścić!”.

– „Uważaj na niego” – powtórzył kpiąco na głos. – Co za idiotyzm.

„A może to nie było o mnie? Ale w takim razie o kim? Boże, jak ja nienawidzę takich podchodów!”.

Wszedł do domu i trzasnął drzwiami. Przed kolacją napalił w kuchence, ustawił na niej wielki gar i napełnił go wodą ze studni. Czuł, że naprawdę potrzebuje gorącej kąpieli.

## ROZDZIAŁ VI

Przez następne dni Hubert starał się unikać księdza. Bał się, że mógłby się nie powstrzymać i mu przygadać. Na szczęście kapłan był przez większość czasu zajęty. A i młodemu strażnikowi zazwyczaj nie brakowało pracy.

Wyglądało na to, że i dziś nie dotrze na czas do bramy.

– Jak zwykle spóźniony – przywitał go zgryźliwie Mikołaj.

– Ale zobacz, co przyniosłem. – Pokazał mu miskę pełną wiśni, które dostał od Eli na popołudniową wartę.

– Dobra, wybaczam ci. Ale o zimnej wodzie pewnie nie pomyślałeś?

– Ktoś nam ją na pewno przyniesie. Nie pozwolą w taki upał paść dwóm strażnikom z pragnienia.

Nagle przed wiatą stanęło troje dzieci.

– A wy gdzie? – zapytał Mikołaj.

– Mama kazała zanieść tacie wodę do picia. – Najwyższy z chłopców, Robert, pomachał strażnikowi przed oczyma butelką z wodą. Pozostała dwójka miała podejrzenie poważne miny.

Hubert spojrzął na pola, gdzie pracowało kilku mężczyzn. Ze stróżówki można było dostrzec tylko ich małe, rozmazane sylwetki.

– Tylko się nie oddalać od drogi – mruknął Mikołaj.

Chłopcy pokiwali skwapliwie głowami i pobiegli przed siebie.

– Wyglądali na podekscytowanych – stwierdził Hubert, patrząc na oddalające się dzieci.

– Matki pozwoliły im wyjść poza osadę. – Mikołaj wzruszył ramionami. – Dla nich to wielkie wydarzenie.

– Może i masz rację...

– Boże, ale upał! – jęknął Mikołaj, siadając w cieniu wiaty.

Hubert wciąż stał na drodze wpatrzony w dal, ale chłopcy już zniknęli w zbożu. Czasem się zdarzało, że ktoś wysyłał dzieci po coś na pole, bo przecież w środku słonecznego dnia, gdy wokół pełno dorosłych, nic nie może się im stać. A dzieci to tylko dzieci. Tym akurat oczy świeciły się tak samo jak małemu Hubertowi, gdy wpadał na wyjątkowo głupi pomysł.

– Jest gorąco. Wejdz w cień, bo jeszcze porażenia dostaniesz. I nie myśl, że wtedy uda ci się wykręcić od wart. – Głos Mikołaja przywołał go do rzeczywistości.

– Nie zrzedz – odparł, ale przesunął się w cień i usiadł na ławce przy koledze, wyciągając nogi przed siebie. Tuż obok, oparta o ścianę stróżówki, stała jego pepesza.

Popołudnie rzeczywiście było upalne. Wysuszona ziemia, miejscami twarda jak kamień, zaczęła pękać, w powietrzu na drodze unosił się kurz. Owady cicho brzęczały w trawie. Zwierzęta poukrywały się, ludzie też unikali wychodzenia na pełne słońce, z wyjątkiem tych paru osób, które jeszcze pracowały w polu. W osadzie wietrzono domy, pościele. Przygotowywano przetwory z owoców i warzyw.

Niby zwyczajny gorący, leniwy dzień, a jednak coś Hubertowi nie dawało spokoju. Coś dziwnego wisiało w powietrzu. Szóstym zmysłem wyczuwał zapowiedź niebezpieczeństwa. Powietrze drżało lekko, jakby czekając, co stanie się za chwilę, zupełnie niczym przed burzą, lecz na niebie nie było ani jednej chmury.

– A tobie co? – zapytał Mikołaj, kiedy Hubert wstał gwałtownie z ławki i zaczął nerwowo przechadzać się w poprzek drogi.

– Nie wiem, jakoś tak... – Chłopak ponownie wszedł w cień. Żeby się uspokoić, chciał napić się chłodnej wody, która stała w dzbanku na stoliku, lecz zamiast szklanki bezwiednie wziął w dłoń pepeszę.

Mikołaj, zaskoczony zachowaniem kolegi, spojrzął na niego pytająco, jednak po chwili jego wzrok przykuło jakieś poruszenie w oddali na drodze. W oczach starszego strażnika pojawił się niepokój. Hubert odwrócił się szybko i zobaczył dwóch chłopców biegnących w ich stronę. Dwóch. Brakowało Roberta. Hubert nie tracił czasu. Przewiesił broń przez ramię i szybkim krokiem wyszedł im na spotkanie.

Chłopcy pędzili najszybciej, jak mogli, ich twarze wykrzywiały grymas przerażenia. Cokolwiek się stało, jeszcze w pełni do nich nie dotarło, nawet nie zdążyli zapłakać. Hubert podejrzewał, co to oznacza.

– Gdzie? – zapytał szybko.

Jeden z chłopców, wciąż w szoku, wyciągnął rękę za siebie, wskazując ścieżkę prowadzącą z pól do lasu.

– Zostańcie przy bramie – rozkazał. – Zwołaj innych! – krzyknął do Mikołaja, a sam puścił się sprintem w kierunku drzew.

Ziemia była zryta koleinami, ale się nie potknął, prawie unosił się nad gruntem, po rękach chłostały go dojrzałe kłosa żyta. Nie zastanawiał się nad tym, co robi, nie było czasu na myślenie. Gdzieś tam demon zagroził dziecku. Wiedział, że to demon, wyczuwał go każdym włoskiem na ciele, gdyby się nad tym głębiej zastanowił, nie potrafiłby powiedzieć, jak to robi. Po prostu alarmowały go wszystkie zmysły. Jeżeli się nie pospieszy, zginie dwunastoletni chłopiec, o ile już nie jest za późno.

Dotarł do miejsca, gdzie ścieżka wkraczała do lasu, jednak nic tu nie zauważył. Żadnej krwi, żadnego demona, a przede wszystkim żadnego dziecka. Szybkim krokiem wszedł między drzewa. Zdezorientowany rozejrzał się dookoła. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech, jednak nic nie poczuł. Świat znów wydawał się normalny. A przecież jeszcze przed chwilą Hubert był pewien, że coś jest nie tak.

Pochodził dookoła, szukając śladów, i wtedy przybiegli inni: Mikołaj, Marek, Jacek, Iza i ksiądz Adrian. Na ich pytające spojrzenia pokręcił głową.

– Chłopcy mówią, że bawili się na granicy lasu – powiedział Marek. – I wtedy coś wyskoczyło zza drzew na jednego z nich, Roberta. Przestraszyli się i uciekli.

– Jak wyglądało? – zapytał Hubert.

– Było duże, prawie jak człowiek, brzydkie, rude z poplątaną sierścią.

– Szlag – warknął chłopak.

Ten opis nic mu nie mówił.

Parami, nawołując imię chłopca, zaczęli poszukiwania. Przez jakiś czas kręcili się w kółko, ale nic nie znaleźli. W końcu spotkali się znów na ścieżce.

– Nic z tego. – Jacek pokręcił głową.

– Nie wie ksiądz, co to mogło być? – zapytała Iza.

– Nie mam pojęcia – odparł duchowny.

– Trzeba będzie wezwać innych i rozpocząć poszukiwania – powiedział Marek. – Miejmy nadzieję, że znajdziemy go do zmroku.

– Ja pójdę po ludzi – rzucił Mikołaj i pobiegł do osady.

– Duży, rudy demon – szepnął Hubert.

Pozostali spojrzeli na niego wyczekująco.

– Rudy, duży... – powtórzył. Zaczął chodzić w jedną i w drugą stronę. Mocno przycisnął dłonie do skroni.

Inni nie spuszczaali z niego wzroku.

– Z poplątaną sierścią – dodał Marek.

Hubert nagle się zatrzymał i spojrzął na strażnika.

– Poplątana to taka kędzierzawa, prawda? – zapytał.

Marek, nie rozumiejąc, skinął głową.

– Duży, niebezpieczny, z kędzierzawą sierścią. – Hubert na nowo zaczął się przechadzać.

– Człowieku, skup się! – wybuchła niespodziewanie Iza. – Jeżeli coś wiesz...

– Przecież myślę! – krzyknął, ciągle chodząc w kółko.

Ksiądz Adrian przypatrywał się Hubertowi z zainteresowaniem.

– Brzydkie, kędzierzawe... – szeptał dalej. – Porwał dziecko...

Gdzieś na samym dnie podświadomości czuł, że zna rozwiązanie, jednak nie mógł go pochwycić. Za każdym razem, gdy choć trochę się do niego zbliżał, umykało mu jeszcze głębiej.

– Brzydka, porośnięta rudą sierścią... – mamrotał i nagle go olśniło. – Mamuna – szepnął, patrząc na pozostałych, chociaż ta nazwa nic im nie mówiła.

Hubert zerwał się do biegu. Jego mięśnie pomyślały za niego i pokierowały chłopaka w głąb lasu. Biegł coraz szybciej i szybciej, przeskakiwał korzenie, uchylał się przed gałęziami, ledwie zdając sobie z tego sprawę. Jego głowa wypełniała się słowami.

„Mamuna to bardzo niebezpieczny demon leśny. Jest paskudna i cała porośnięta rudą lub brązową kędzierzawą sierścią. Porywa dzieci. Zamieszkuje okolice akwenów, lubi jeziora i rzeki, żyje w zaroślach, a także w chłodnych pieczarach lub jaskiniach”.

Zanim Hubert przypomniał sobie wszystko na temat mamuny, zorientował się, że jest już przy jeziorze, na brzegu przeciwnym do osady. Zatrzymał się i rozejrzał, biorąc głęboki wdech. Serce wciąż pompowało mu adrenalinę do żył. Przyłożył kolbę pepeszy do ramienia i wycelował przed siebie. Wiedział, że zaraz za krzewami natknie się na stare rumowisko. Kilka wielkich, obrośniętych mchem głazów stanowiło idealną kryjówkę dla mamuny. Nie myślał o tym, czy inni pobiegli za nim, czy wezwą pomoc, liczyło się tylko to, że tam może być jeszcze żywe dziecko. A jeśli nie, to potwór za to zapłaci.

Bezszelestnie szedł przed siebie. Wyczuwał obecność demona. Kolbą broni delikatnie rozchylił krzewy i nagle ją zobaczył. Demon, rudy, śmierdzący i wyjątkowo paskudny, kuczał przy skulonym chłopcu. Z tej odległości Hubert nie był w stanie ocenić, czy Robert oddycha. Mamuna wyczuła obecność obcego w kryjówce. Gwałtownie odskoczyła od dziecka i obróciła się w stronę Huberta. Chłopakowi przypominała trochę orangutana, a trochę pokraczny worek, ale pełen twardych jak stal mięśni. Jednak pysk miała zupełnie inny – wredny, porośnięty szczątkową sierścią, z niewielkim, spiczastym nosem i paszczą najeżoną ostrymi zębami. Na widok intruza zawarczała złowrogo, opierając się na czterech kończynach zakończonych ostrymi pazurami. Wydawała się wahać, co robić – uciekać czy bronić kryjówki i nowego łupu.

Hubert wystrzelił do niej. Mamuna nie zdążyła nawet poderwać się do ataku, gdy jej ciało rozdarły naboje. Bez życia padła na ziemię.

Chłopak wciąż z bronią przy ramieniu, wycelowaną w martwego demona, kątem oka zauważył jakiś cień na gładziach po prawej stronie. Nie zdołał zareagować, gdy coś z ogromną siłą zważyło się na niego. Upadł, uderzając głową o ziemię, w prawym ramieniu poczuł rozdzierający ból. Pepesza potoczyła się na bok. Niewiele widział, czuł jedynie smród, a pod palcami gęste, posklejane futro. Spróbował zrzucić z siebie napastnika, ale zabrakło mu sił. Wyczerpujący bieg odezwał się w zdrętwiałych mięśniach, oczy zaszyły czerwoną mgłą, mózg nie dostarczał mu sensownej oceny sytuacji. Nagle usłyszał strzał. A potem do ziemi przycisnął go bezwładny ciężar.

Na chwilę, która wydawała się wiecznością, odpłynął w niebyt. Ale ktoś zepchnął z niego ciało potwora już po kilku sekundach.

– Hubert? – usłyszał jak z zaświatów, w uszach miał irytujący pisk. – Hubert?!

– Czego? – jęknął, otwierając oczy.

Pierwsze, co zobaczył, to zielony baldachim z liści wysoko w górze i prześwitujące przez niego skrawki błękitu. Potem ten piękny widok przesłoniła mu rozmazana twarz księdza Adriana.

– Żyjesz?

– Nie – mruknął, unosząc się na lewym łokciu. – Robert? – zapytał, próbując zogniskować wzrok.

– Żyje – stwierdziła Iza, która klęczała przy zapłakanim dziecku i sprawdzała, czy nie jest ranne.

– Dobrze – powiedział Hubert i na nowo poczuł ból w prawym ramieniu. Zerknął na rękę, po której spływała krew. – Cholera – jęknął i opadł na ziemię, która okazała się nadzwyczaj wygodna. Ktoś obwiązał mu ranę kawałkiem materiału.

– No, już, wstawaj. – Ksiądz Adrian pociągnął go w górę.

Chłopak pozwolił mu postawić siebie do pionu.

– Coś ty sobie wyobrażał?! – wybuchła Iza. – Pobiegłeś przed siebie, nic nam nie mówiąc! Mogłeś zginąć!

– Szkoda było czasu na gadanie – powiedział i uśmiechnął się nieprzytomnie.

– Dobra, idziemy do domu – zdecydował Marek i przerzucił przez ramię rękę Huberta. – Dasz radę?

– Nooo – odparł chłopak. Wszystko go bolało, ale nagle ogarnęła go niewyjaśniona wesołość. – Kto by się spodziewał, że będą dwie mamuny... – wybełkotał. – Nikt mi nie mówił, że żyją w parach...

Iza pokręciła głową z dezaprobatą. Pobladała. Wzięła za rękę Roberta, który najwyraźniej był cały i zdrowy, choć porządnie wystraszony, i ruszyła w drogę powrotną do osady, na wszelki wypadek niosąc zabezpieczony pistolet w drugiej dłoni.

Za nią szli Marek z Hubertem, któremu plątały się nogi. Na końcu maszerował Mikołaj ze swoim karabinem i pepeszą kolegi. Ksiądz z Jackiem najwyraźniej zostali w lesie, żeby dokładniej obejrzyć ciała demonów i ich kryjówkę.

Hubert nie za wiele zapamiętał z drogi powrotnej. Włókł się noga za nogą, w głowie czuł łupanie, a prawa ręka, którą przyciskał do piersi, pulsowała tęnym bólem. Zaprowadzono go do domu i posadzono w kuchni. Marek rozciął nożem jego koszulkę, która już zaczęła kleić się od krwi.

– Ej, to moja ostatnia dobra koszulka – zaprotestował słabo Hubert.

– Dam ci nową – odparł strażnik.

Wkrótce przyszła do niego pani Barbara.

– Nie wygląda dobrze – stwierdziła, patrząc na jego ramię, które głęboko poraniły pazury mamuny.

– Ale nie trzeba amputować, co? – zapytał Hubert, który pomimo bólu z fascynacją przyglądał się dwóm głębokim szramom, z których ciągle ciekła krew. Ich krawędzie rozeszły się już na dobre trzy centymetry.

– I jak to pozszywać? – narzekała kobieta. – Wszystko się rozłazi i jeszcze mocno krwawi. Ponoć sam rzuciłeś się na dwa demony...

– Nooo.

– I po co ci to było?! – naskoczyła na niego. – Ja nie wiem, skąd taka głupia brawura.

Chłopak spojrział na Marka, który uśmiechał się pod nosem.

– Ale przynajmniej uratowałem dziecko – powiedział na swoją obronę.

– Inaczej bym tu nie przyszła i się nie przejmowała kimś, kto jest tak głupi. – Popatrzyła na niego z dezaprobatą.

Samozwańcza pielęgniarzka podała mu coś znieczulającego. Świat stał się miękki i niewyraźny. Hubert z fascynacją obserwował, jak kobieta czyści, a potem zaszywa jego rany. Co było dalej, nie pamiętał.

Obudził się we własnym łóżku. Za oknem panowała ciemność, ale w pokoju na stoliku pod ścianą świeciła lampka naftowa. W fotelu obok drzemała Ela.

Hubert poruszył się i stwierdził, że choć wciąż był otumaniony środkami znieczulającymi, ręka rwała go tępym bólem.

– Jak się czujesz? – zapytała Ela, otwierając oczy.

– Kapitalnie... – jęknął. – Jest coś do picia?

Kobieta nalała wody do szklanki i podała ją rannemu. Hubert z trudem dźwignął się do pozycji siedzącej i z ulgą ugasił pragnienie.

– Dlaczego ze mną siedzisz? – zapytał, oddając jej szklankę.

– Ktoś musiał. – Wzruszyła ramionami. – Dbamy o swoich strażników.

– Jak Robert?

– Nic mu nie jest. Parę zadrapań i siniaków. Ten demon nieźle go nastraszył, teraz dwa razy się zastanowi, zanim ponownie opuści osadę bez zezwolenia...

Hubert opadł na poduszkę. Chciał Eli podziękować za towarzystwo, ale usnął.

Ponownie obudził się wczesnym przedpołudniem. Był już sam w pokoju. Usiadł na łóżku i próbował zebrać myśli. Znieczulacze wciąż działały. Spojrzał na prawe ramię. Na białym bandażu wykwitła niewielka plama krwi. Postanowił wstać. W pierwszej chwili zakręciło mu się w głowie, ale szybko odzyskał równowagę. Z trudem wciągnął spodnie i boso, bez koszuli, powędrował do kuchni.

– A co ty tu robisz? – naskoczyła na niego Ania, która robiła herbatę.

– Już nie mogłem spać – powiedział, siadając na krześle. – Po raz pierwszy od dawna mogę spać tak długo, jak chcę, i wcale nie mam na to ochoty – westchnął z żalem.

– Mama mówiła, żebyś nie ruszał się z łóżka – zaprotestowała dziewczyna.

– E tam, jestem twardszy, niż wyglądam. Zrobisz mi też coś do picia? I jestem potwornie głodny...

Ania zaparzyła mu herbatę i przygotowała kilka kanapek, które pochłonął w wyjątkowo szybkim tempie.

– Jak wyglądały te demony? – zapytała, kiedy zjadł.

– Były paskudne, jak takie wredne orangutany.

– Inni mówią, że postąpiłeś głupio. Odważnie, ale głupio – powiedziała. – Że sam tam pobiegłeś, nie czekając na pozostałych strażników. Iza się wściekła i mój tata też, musieli się o ciebie bać.

– Oj tam, w końcu nic mi nie jest. – Machnął ręką. Coś zaczęło swędzieć go pod bandażem, ale wszelkie próby podrapania kończyły się boleśnie.

– Wszyscy się przestraszyli. Przecież tak zginął Andrzej, sam poszedł do lasu...

– Tylko że ja wiedziałem, z czym mam do czynienia – przerwał jej.

– No właśnie. – Do kuchni weszła niespodziewanie Iza. – Co mnie bardzo ciekawi.

Tuż za nią stał ksiądz.

– Tylko na mnie znowu nie krzycz – jęknął chłopak na ich widok.

– To ja pójdę po panią Basię i powiem, że już nie śpisz – szepnęła Ania i wymknęła się z domu.

Ksiądz Adrian usiadł naprzeciwko Huberta, kładąc splecione dłonie na stole. Iza oparła się o szafki.

– Wczoraj jakoś nazwałeś te demony... – zaczął duchowny.

– Tak, mamuny. – Chłopak kiwnął głową.

– Skąd to wiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

– Jak usłyszałem ich opis, po prostu mi się przypomniało.

– Natknąłeś się na nie wcześniej?

– Nie wydaje mi się...

– A więc? Nie mamy zbyt wielu specjalistów od demonów, którzy potrafią nazwać i rozpoznać te, których w życiu nie widzieli na oczy.

– Nie wiem. – Pokręcił głową. – Czasem wydaje mi się, że kiedyś, dawno temu słyszałem o nich, na przykład w jakimś filmie, albo czytałem w książce, ale nigdy nie byłem typem mola książkowego, więc raczej ta pierwsza opcja.

– Powiedz mi wszystko, dokładnie wszystko, co o nich słyszałeś – poprosił ksiądz.

A więc Hubert powiedział. Duchowny słuchał bardzo uważnie, zadawał pytania. Chłopak oczyma wyobraźni widział, jak ksiądz zapisuje potem to wszystko w notesie.



„Będzie miał raport z sekcji zwłok strzygi tuż obok opowieści z niepewnego źródła o mamunach” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

Kiedy chłopak skończył, ojciec Adrian krótko mu podziękował i się pożegnał.

Hubert został sam z Izą.

– Co zrobiliście z ciałami? – zapytał.

– Ksiądz je dokładnie obejrzał, a potem wszystko spaliliśmy – powiedziała. – Wiesz, jaki byłeś nierozsądny?

– Tak, wiem – odparł znużonym tonem. – Wszyscy mi to mówią.

– Bo wszystkich nastraszyłeś.

– Ciebie też? – zapytał z głupim uśmiechem.

– Nie – warknęła. – Uznałam, że bez ciebie byłby spokój.

– Wiedziałem, że mnie lubisz, tylko nie chcesz tego przyznać. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, na co Iza wywróciła oczami.

Rozmowę przerwało pojawienie się pani Barbary. Narzekając pod nosem, zmieniła chłopakowi bandaż, uznała, że dobrze go pozszywała, znów dała mu środek przeciwbólowy i nakazała chodzić z ręką na temblaku, który zrobiła z wąskiej chusty.

– Kto właściwie zabił tę mamunę, która mnie zaatakowała? – zapytał Hubert, kiedy Barbara wyszła.

– Ksiądz – odpowiedziała Iza.

„No, popatrz, a spodziewałbym się po nim, że pozwoli jej dokończyć, co zaczęła” – skomentował w duchu.

– A wiecie już, co dzieciaki robiły w lesie?

– Jak to dzieciaki. – Iza wzruszyła ramionami. – Założyły się, że Robert nie wejdzie do lasu. To im udowodnił, że wejdzie.

– Boże, co za głupki – westchnął Hubert. – Ale ja kiedyś byłem taki sam.

– Mam wrażenie, że z tego nie wyrosłeś.

– Bardzo zabawne – mruknął.

– Dobra, to ja się zbieram, wiesz, nie wszyscy mogą sobie zrobić wakacje. – Iza rzuciła mu ostatnie, pełne dezaprobaty spojrzenie i wyszła energicznym krokiem.

– Martwiła się o mnie – powiedział z satysfakcją Hubert, kiedy został sam.

Był syty, leki przeciwbólowe zaczęły działać, więc powłókł się do łóżka i się na nim położył. Po chwili zasnął. Obawiał się koszmarów z mamuną w roli głównej, ale nie śniło mu się nic.

Obudził się późnym popołudniem. Ktoś musiał go odwiedzić, kiedy Hubert spał, gdyż na stole czekało kilka słoików z jedzeniem. Opróżnił dwa z nich, a potem wyszedł do ogrodu.

„Tym razem mogę legalnie posiedzieć i nic nie robić” – stwierdził, sadowiąc się na krześle przed domem. Słońce wciąż świeciło, ale było przyjemnie ciepło, południowy skwar dawno minął. Hubert mruknął z zadowoleniem i rozprostował nogi. Po drodze przebiegł mały pies.

Chłopak obserwował go, jak obwąchuje wszystkie płoty, a potem znika za zakrętem. Po dziesięciu minutach zaczęło mu się nudzić. Owszem, miło jest posiedzieć na słońcu, gdy człowiek ma mnóstwo roboty, ale gdy w danej chwili zabraknie obowiązków, czynność ta traci na wartości. Zaczął obserwować kolonię mrówek, która utartym szlakiem wędrowała po ziemi obok krzesła. Znalazły półżywą gąsienicę i bezskutecznie usiłowały zawlec ją do mrowiska ukrytego gdzieś w trawie. Dostarczyły Hubertowi rozrywki na ponad pół godziny.

– Co robisz? – usłyszał i w tej samej chwili jakiś cień przesłonił mu słońce. Podniósł głowę i zobaczył Kasię. Jego uwagę przykuło raczej to, co trzymała w rękach.

– Obserwuję mrówki – odpowiedział, łakomie wpatrując się w dużą blachę z ciastem. – Powiedz, proszę, że masz choć kawałek dla mnie.

– Całe ciasto jest dla ciebie – odparła z uśmiechem.

– Chyba powinienem częściej być ranny – orzekł.

– Nawet o tym nie myśl. – Pogroziła mu palcem.

Weszli do domu. Hubert chciał nalać im soku do szklanek, lecz Kasia postanowiła sama się zająć przygotowaniem napoju i pokrojeniem ciasta.

– Pycha – mruczał chłopak, wgryzając się w kawałek drożdżówki.

– Cieszę się. Tak się zastanawiałam, jak to jest z tymi demonami.

– Co masz na myśli? – zapytał, przeżuując.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Znasz ich nazwy, wygląd, a czasem nawet zachowanie.

– Nie umiem tego wyjaśnić – odpowiedział. – Na część z nich natknąłem się już wcześniej. – „Tak mi się przynajmniej wydaje” dodał w myślach. – O innych tylko słyszałem i przypominam to sobie w sytuacjach zagrożenia.

– A jak ramię? Słyszałam, że paskudnie cię podrapał?

– E tam, bywało gorzej. – Machnęła zdrową ręką.

Kasia posiedziała z nim jeszcze chwilę, a potem wróciła do siebie. Huberta odwiedziła też matka Roberta i wręczyła mu kawał szynki w podziękowaniu za uratowanie syna.

– Gdyby nie ty, nie wiem, co by się stało – powiedziała.

– Nie ma problemu, w końcu jestem strażnikiem – odparł.

– Miałam dwie córki młodsze od Roberta. Były bliźniaczkami. – Uśmiechnęła się smutno. – Zabrała je choroba. Gdybym straciła teraz i syna...

Hubert nie bardzo wiedział, jak zareagować na to wyznanie.

– Przykro mi – powiedział po prostu.

– Dzięki tobie nic się nie stało. – Rozchmurzyła się i wstała. – Już ci nie przeszkadzam. Szybkiego powrotu do zdrowia!

Kiedy wyszła, Hubert pokręcił się po domu, ale było niewiele rzeczy, które mógł robić jedną ręką, więc wieczorem z nudów wybrał się do piwnicy strażników. Niestety nikogo tam nie zastał. Na tablicy widniał grafik wart na najbliższe dni. Hubert nie został w nim uwzględniony.

– No i mam urlop – stwierdził z zadowoleniem.

Ręka zaczynała go znowu boleć, więc wrócił do domu. Na stole w kuchni Barbara zostawiła mu tabletki przeciwbólowe. Zerknął na datę ważności na opakowaniu. Były przeterminowane ponad cztery lata. Uznał jednak, że skoro dostał je od pielęgniarki, nie powinny mu zaszkodzić. Wziął więc dwie, popił wodą i położył się spać.

Następnego dnia brak obowiązków zaczął mu poważnie doskwierać. Na chwilę przyszła do niego Ania, potem Kasia przyniosła chleb, Mikołaj wpadł pogadać, ale zostawali tylko na kilka minut, gdyż każdemu się spieszyło. Przed południem, w desperacji, Hubert poszedł do bramy i tam posiedział godzinę czy dwie z Jackiem i Markiem. Po obiedzie zaś wybrał się w odwiedziny do Henryka.

Były wojskowy sprawiał właśnie zająca. Hubert nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Wydawało mu się, że dzień, kiedy sam to zrobił pierwszy raz, był w innym życiu.

– Cześć – przywitał się.

– Cześć.

Przez chwilę Henryk pracował, a Hubert oparł się o drzewo plecami i obserwował go w milczeniu.

– Słyszałem, że się nieźle popisałeś – powiedział w końcu były wojskowy.

– E tam, już mi się za to oberwało.

Henryk uśmiechnął się pod nosem.

– Cała wieś komentuje twój wyczyn. Mówią, że jesteś bohaterem, głupim, ale bohaterem.

– Ty też?! – jęknął chłopak. – Wszyscy się mnie czepiają, że jak Andrzej bezmyślnie pobiegłem sam do lasu.

– Zrobiłeś, co trzeba. Kto wie, może gdybyś tak szybko nie zareagował, to dzieciak już by nie żył. A to byłaby tragedia dla całej wsi. Masz szczęście, że ksiądz zdążył na czas, żeby uratować ciebie.

– Ano zdążył, a myślałem, że mnie nie lubi.

Henryk tego nie skomentował.

– Przyznaję, zaskoczyły mnie. – Hubert wyznał jakby wbrew sobie. Wciąż opierając się plecami o pień drzewa, usiadł na ziemi, wziął do ręki niewielki patyk i zaczął nim wymachiwać. – Zawsze myślałem o demonach w liczbie pojedynczej. Zachowałem ostrożność, gdy wchodziłem do ich kryjówek. Gdyby była jedna bestia, wykończyłbym ją bez problemu, ale w życiu nie przeszłoby mi przez myśl, że mogę tam spotkać dwie mamuny.

– Zawsze musisz być gotowy na komplikacje.

– Łatwo mówić... Zastanawiałeś się może kiedyś, jak demony żyją?

– Co masz na myśli?

– Na przykład co robią w czasie, kiedy nas nie atakują. – Hubert mówił, obserwując, jak Henryk sprawnie zdziera skórę z zająca. – Czym się żywią, czy zakładają rodziny?

– Zakładają rodziny? – zapytał Henryk, unosząc brwi.

– To znaczy, czy się wiążą w pary, rozmnażają jak zwykle zwierzęta, czy mają młode...

– Ciekawy punkt widzenia.

– To, że w kryjówece były dwie mamuny, dało mi do myślenia – stwierdził chłopak. – A może jedna z nich to był on?

– Całkiem możliwe.

– A jeżeli byłyby jak zwykle zwierzęta, to czy można nauczyć się żyć obok nich? Wilki, niedźwiedzie też zabijają ludzi. Nawet dzik może nieźle człowieka uszkodzić, ale na ich widok nie panikujemy tak bardzo. Owszem, strach na takiego

wpaść, lecz kiedyś ludzie pozwalali dzieciom chodzić samym do lasu. A dziś? Zobacz, jeden chłopaczek wypuścił się poza osadę i jaka afera!

– Gdybyśmy wiedzieli więcej o tych demonach, łatwiej byłoby z nimi żyć, a już na pewno je zabijać.

– Może trzeba je trochę poobserwować w ich naturalnym środowisku?

– Czyli jak się zachowują, gdy rozrywają człowieka na strzępy?

– Wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi – mruknął Hubert.

– Chcesz zostać demonologiem? – zapytał ironicznie Henryk. – Przecież i tak wiesz więcej niż inni – dodał po chwili.

– Ale to wciąż za mało.

– Do tego trzeba czasu. Kiedyś ludzie w końcu przyzwyczajają się do demonów.

– A co z innymi zwierzętami? – zastanawiał się Hubert. – Jak one reagują na demony?

Henryk wywrócił oczami.

– Ciebie, młody, to dopiero wzięło na przemyślenia.

– Ktoś musi się tym w końcu zająć. – Chłopak wstał z ziemi i otrzepał spodnie. – Na mnie już chyba czas. Jak kobiety się zorientują, że sam się włóczę po lesie, to się wściekną.

– To leć. Jutro pracujemy przy domu dla Kasi i Łukasza. Możesz wpaść, będziesz narzędzia podawać.

– To na razie. – Hubert machnął zdrową ręką i ruszył ścieżką w stronę wsi.

„Chciałbym patrzeć na rzeczywistość tak jak Henryk – myślał po drodze. – On bierze świat taki, jaki jest, a to, czego nie rozumie, nie obchodzi go. Chociaż w tych pokręconych czasach najczęściej bywa tak, że to, czego człowiek nie rozumie, trzeba po prostu zabić”.

Kiedy wrócił, zrobił kilka kanapek i usiadł na krześle przed domem. We wsi niewiele się działo, większość ludzi zajęta była jakąś pracą. Wtem zobaczył, jak drogą przebiega dwóch chłopców z patykami w rękach. Gonilo ich z wrzaskiem dwóch kolejnych. Wszyscy zatrzymali się niedaleko i zaczęli okładać się kijami. Hubert wstał z krzesła i podszedł do płotu, żeby im się bliżej przyjrzeć.

Niespodziewanie coś mu się przypomniało. Myślami powędrował w przeszłość.

„Mówiłem ci! Ciągniesz suwadło w swoją stronę, a potem gwałtownie puszczasz! – jak zza mgły docierał do niego męski głos. – Jak będziesz przeladowywał, ciągle trzymając je w rękach, to się zatnie”.

Ktoś uczył go obsługiwać się bronią, a potem kazał wykonywać długie i męczące ćwiczenia. Hubert spróbował skupić się na tym wspomnieniu, ale uleciało. Chciał na powrót je przywołać. Bezskutecznie. Westchnął ciężko i jeszcze raz spojrzał na chłopców. Wiedział, że niełatwo nakłonić ich do pracy na rzecz osady, a byli przecież czystą, skumulowaną energią.

– Coś trzeba z nimi zrobić, bo z nudów wpadają na głupie pomysły – stwierdził. – „Co nie znaczy, że kiedyś nie byłem taki sam” – dodał w duchu.

Akurat pod jego domem przebiegał Robert; gonił jakiegoś młodszego chłopca.

– Hej, ty! – zawołał do niego Hubert.

Chłopiec zatrzymał się jak wryty i spojrzał na młodego strażnika. Niepewnie wskazał palcem na siebie.

– Tak, ty! Chodź no tu.

Robert z wahaniem podszedł do płotu.

– Co teraz robicie?

– Ganiamy się... – odpowiedział cicho.

Zerknął szybko na rękę Huberta w temblaku, a potem spuścił wzrok.

„Skubany, wyszedł na tym starciu dużo lepiej niż ja – pomyślał Hubert. – Nie wygląda, żeby też psychicznie ucierpiał”.

– Co to był za zakład z tym lasem? – zapytał.

Robert obejrzał się na kolegów, szukając u nich wsparcia, ale oni ani myśleli stanąć w obronie kumpla. Zbili się w ciasną grupkę nieopodal, żeby móc wszystko dobrze słyszeć, jednak nie chcieli podchodzić zbyt blisko strażnika, który bez wahania rzucił się do walki z olbrzymim demonem.

– No, bo... ee... oni nie wierzyli, że odważę się wejść do lasu – mruknął cicho Robert.

– No i tam polazłeś, co? Zupełnie nieprzygotowany.

Pozostali chłopcy pod nosem zachichotali cicho.

– A wy co się tak cieszyacie? – Hubert zwrócił się do reszty. – Jesteście tak samo winni jak on. Ganiacie tylko po wsi i przeszkadzacie dorosłym. A ta wasza walka na kije? Dajcie spokój, żenada, żadnej techniki, nic, tylko wymachujecie nimi w powietrzu. Myślicie, że demony się tego przestraszą?

– To jak mamy się bić? – Robert uniósł wojowniczo podbródek.

– A chcecie umieć?

– Tak.

Hubert zerknął na pozostałych, którzy niepewnie pokiwali głowami.

– Chodźcie za mną – powiedział i ruszył za dom do sadu.

„Mam nadzieję, że inni się o to nie wkurzą” – przemknęło mu przez myśl. Ale przecież ktoś musi dać tym dzieciakom zajęcie, bo to tylko kwestia czasu, jak przyjdzie im do głowy kolejny wyglup.

Chłopcy, przepychając się w bramie, gdyż żaden nie chciał iść pierwszy, ruszyli za nim.

– Już, ustawić się w szeregu! – rozkazał Hubert. O dziwo, od razu posłuchali. – Jak się nazywacie? Po kolei.

– Robert. – Był najwyższy i najodważniejszy z całej czwórki.

– Olek – mruknął chudy blondyn.

– Patryk – przedstawił się przysadzisty szatyn z burzą loków na głowie.

– Szymek – szepnął najmłodszy. Nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat.

– To jak mamy walczyć? – zapytał Robert.

– Walczyć? Do tego trzeba nabrać ciała. Na ziemię! Dziesięć pompek! – rozkazał Hubert.

Chłopcy niezgrabnie padli na trawę i zaczęli robić pompki. Żaden nie zdołał wykonać nawet czterech. Szymek od razu zaczął podpierać się na kolanach.

– No i widzicie? Żadnych mięśni nie macie – stwierdził Hubert.

„Nie u wszystkich pojawiają się one w tak magiczny sposób jak u mnie” – pomyślał z pewnym rozbawieniem.

Chłopcy leżeli na ziemi, narzekając cicho.

– Co się objacie?! Wstawać! I przysiady robić! Pójdę po coś do domu i wara mi przestać!

Bardzo spodobała mu się rola sierżanta krzyczącego na chłopców.

– Gdzieś widziałem kawałek liny – mruknął, wchodząc do domu. – Tylko gdzie to było?

Zaczął szukać i po chwili znalazł ją w szafie. Z kuchni wziął też dwie półlitrowe butelki i napełnił je wodą. Poszedł do sypialni i cicho otworzył okno. Jak podejrzewał, chłopcy stali i gadali.

– Nie objać się! – wrzasnął, a oni od razu zaczęli ćwiczyć.

Wrócił do dzieci i na końcach liny zawiązał supły, żeby lepiej się ją trzymało. Długość powinna być odpowiednia.

– Kto umie skakać na skakance? – zapytał.

Pokręcili głowami.

– Przecież to zabawa dziewczyn! – zaprotestował Robert.

– Dziewczyn?! Każdy szanujący się sportowiec ćwiczy na skakance. To wyrabia kondycję. Sam wam tego nie pokażę. – Spojrzał na zabandażowane ramię. – Zaczynaj ty.

Podał linę Robertowi. Jak on zacznie skakać, to pozostali pójdą w jego ślady.

Chłopiec skoczył niezgrabnie raz, drugi, a potem lina zaplątała mu się między nogami i prawie upadł na ziemię, wzbudzając wesołość kolegów.

– A wy co się cieszycie? – naskoczył na nich Hubert. – Sami spróbujcie.

Przez następny kwadrans chłopcy uczyli się skakać przez linę, przy czym nieźle się spocili.

– Ty. – Hubert wskazał na Patryka. – Przynieś mi krzesło, jest z drugiej strony domu.

– Dlaczego? – chłopiec zapytał wyzywająco.

– Bo się zmęczyłem staniem i boli mnie ręka od walki z mamunami.

Ten argument zwyciężył. Przecież nie można spierać się z kimś, kto na co dzień walczy z potworami, prawda? Demonami, których boją się nawet ich rodzice. Nie minęła minuta, jak chłopiec przytасzczył krzesło. Hubert usiadł wygodnie.

– Teraz patrzcie, jak powinno się podnosić ciężarki.

– Przecież to tylko butelki z wodą – zaśmiał się Olek.

– Gdy jesteście wystarczająco sprytni, to wszystko może być sprzętem treningowym. Hubert zaprezentował zdrową ręką kilka ćwiczeń, a potem wręczył im butelki. Ku jego zdumieniu chłopcy zaczęli ćwiczyć z zapalem.

„Może coś z tego jeszcze będzie?”

Na koniec, jako nagrodę, zaprezentował im kilka kopnięć. Sam nie miał pojęcia, skąd je zna. Sam się nauczył? Czy może ktoś kiedyś mu pokazał? Ten, kto szkolił go w strzelaniu?

– Jeśli chcecie, żebym nauczył was walki, to od jutra zaczniecie robić po pięć pompek i przysiadów, a każdego następnego dnia o jeden więcej – powiedział Hubert. – Będziecie też skakać na skakance. To znaczy poproście rodziców, żeby dali wam po kawałku jakiejś liny. No i nie zapomnijcie o ciężarkach.

– Eee – mruknął Robert. – A kiedy będziemy się uczyć strzelać?

– Do tego to musicie trochę przypakować. A teraz uciekać, rodzice zaczną się o was martwić.

Chłopcy pobiegli, ale widać było, że trening ich porządnie zmęczył – już nie wrzeszczeli ani się nie przepychali.

Hubert, zadowolony z siebie, pomaszerował do domu. Ręka znowu zaczynała go boleć, trochę też zgłodniał i postanowił zjeść drugą kolację.

Szynka od mamy Roberta była wyjątkowo dobra, a na deser ukroił sobie wielki kawał ciasta od Kasi. Po posiłku powstawał brudne naczynia do zlewu i zastanowił się, czy nie pozmywać, ale odłożył to na bliżej nieokreślone później. Wyciągnął się na krześle przy stole i zaczął myśleć, jak zorganizować dalsze treningi dla chłopców. Myślenie skończyło się tym, że przysnął.

Zbudziło go donośne pukanie do drzwi, przez które prawie spadł na podłogę.

– Wejść! – krzyknął.

Wyglądając za okno, zastanawiał się, kogo przywiało o tej porze. Zapadał już zmierzch.

W kuchennych drzwiach stanął Sołtys.

– Eee, dzień... dobry wieczór. – Hubert się poderwał.

– Dobry, dobry, nie wstawaj. – Marian gestem pokazał, by chłopak usiadł.

Hubert był tak zaskoczony niespodziewaną wizytą, że bez słowa opadł na krzesło.

– Nieźle się tu urządziłeś – stwierdził Sołtys, rozglądając się, i młody strażnik pożałował, że nie chciało mu się pozmywać naczyń.

– Eee, zrobić coś do picia? – zapytał.

– Nie, nie, jestem tu tylko na chwilę. – Marian przysiadł na krześle. – Przyszedłem ci pogratulować.

– Tak? – zdziwił się Hubert.

– W końcu uratowałeś jednego z młodszych mieszkańców Świącina. Osada jest ci bardzo wdzięczna.

– Aha, no, yyy, nie ma sprawy.

– Doszły mnie też słuchy, że chcesz uczyć strzelać młodych chłopców? – Sołtys spojrzał mu prosto w oczy.

– Strzelać? Nie! – zaprzeczył. – Tylko... tak, ehm, widziałem, jak biegają po wsi i głupoty im w głowie. Stwierdziłem, że jak trochę poćwiczą, to się zmęczą i... i nie będzie takich wypadków jak ten z mamunami. Przyda też im się nabrać trochę tężyzny. A o strzelaniu nie było mowy.

– W takim razie gratuluję pomysłu. Rodzice nie zawsze mają dla nich czas, więc trochę uwagi od jednego ze strażników na pewno nie wyjdzie im na złe.

– No właśnie.

– Dobrze, zostawię cię teraz. Odpoczywaj i szybko wracaj do zdrowia, pozostali strażnicy cię potrzebują.

– A to ciekawa wizyta – mruknął Hubert, kiedy Sołtys wyszedł. – Heh, no i mam pozwolenie na założenie własnej szkoły wojskowej – ucieszył się.

Następnego dnia, gdy tylko zjadł śniadanie, Hubert wybrał się na budowę, gdzie powstawał dom dla Kasi i Łukasza. Para wkrótce miała wziąć ślub.

– Wreszcie, młody – powiedział Henryk na jego widok. – Już myślałem, że będziesz spał do południa.

– Przecież jest wcześniej – zaprotestował.

– My tu już od kilku godzin siedzimy. – Łukasz otarł z czoła pot wierzchem dłoni i popatrzył na niego z udawaną dezaprobatą.

– I całkiem nieźle sobie beze mnie radziliście – nie dał się zbić z tropu.

Hubert spojrzał na wysokie ściany budynku. Nawet nie zauważył, kiedy wyrosły, ale jeżeli młodzi chcieli zamieszkać tu od razu po ślubie, trzeba było się spieszyć.

Przez całe przedpołudnie chłopak pomagał na budowie. Podawał narzędzia, gdy trzeba było, przytrzymał coś i wykonywał prace, które nie wymagały używania obu rąk.

– Umiałbyś zrobić łuk? – zapytał zniecierpliwiony Henryk.

– Co? – zdziwił się były wojskowy. – Po co ci? Czyżbyś chciał przerwucić się na bardziej tradycyjną broń niż ta twoja pepesza?

– Ja nie. Chciałem, żeby ci chłopcy mieli z czego postrzelać. Wiesz, przyda im się jakieś zajęcie.

– Hm, nie wiem – zamyślił się Henryk. – To nie będzie takie proste. Trzeba użyć giętkiego drewna, żeby ramiona się nie złamały przy naciągu... i z czego zrobić cięciwę...?

– Dasz radę – zapewnił go Hubert.

– Skąd ta nagła wiara we mnie? – Mężczyzna podejrzliwie uniósł brew.

– Bo ja na pewno nie potrafię tego zrobić. – Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Henryk pokiwał głową.

– Pomyślę, ale nic nie obiecuję.

– Dzięki.

– A czym będziecie strzelać? – Były wojskowy jak zawsze zwracał uwagę na kwestie praktyczne.

– Gdy już zrobisz łuk, to strzały nie będą dla ciebie żadnym problemem.

– Nie przeginaj, młody.

Hubert uśmiechnął się tylko, wiedział, że Henryk spróbuje, a jak spróbuje, to nie skończy, zanim nie osiągnie celu. A poza tym to przecież dla dzieci z osady, prawda? Powinno więc mu zależeć.

Po południu Hubert wybrał się do starej rupieciarni w szkole i odszukał tam kilka trzonków od łopat.

– Nadadzą się – stwierdził, machając jednym z nich w powietrzu.

Później udał się na wysypisko za wsią, gdzie trafiały wszystkie rzeczy, które już do niczego się nie nadawały. Nie było ich zbyt wiele, Świącianie zastanowili się kilka razy, zanim cokolwiek wyrzucili.

Hubertowi wydawało się, że kiedyś widział tam kilka starych opon, i się nie mylił. Wziął jedną i zaniósł do swojego ogródka. Parę osób przyglądało mu się z zainteresowaniem, gdy ją taszczył, ale nikt nie skomentował jego poczynań.

W sadzie odszukał jeszcze odpowiednie drzewo i... nie miał pojęcia, co dalej zrobić. Miał kawał liny i starą oponę, którą postanowił zawiesić na gałęzi, oraz tylko jedną sprawną rękę. Podrapał się po głowie, ale oświecenie nie nadeszło.

– Nie mów, że chcesz zrobić huśtawkę – usłyszał.

Odwrócił się i zobaczył Izę.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedział. – Ale jedną ręką nie dam rady. Pomożesz mi?

– Chyba żartujesz!

– Nie, naprawdę proszę, to dla tych małych chłopaków. Ojciec na pewno ci o tym wspomniał...

– Tak, mówił, że znów masz głupie pomysły – mruknęła.

– Daj spokój, przecież się zgodził.

– No dobra. – Spojrzała na linę. – Gdzie ci to przywiązać?

– Na tamtej gałęzi będzie dobrze. – Wskazał palcem.

Iza westchnęła ciężko i wspięła się na drzewo. Hubert zdziwił się, jak szybko jej to poszło. Usiadła okrakiem na grubym konarze i splotła pod nim stopy.

– Podaj mi ten sznurek. – Wyciągnęła rękę.

Mocno przywiązała linę do drzewa, a potem zeskoczyła zgrabnie na ziemię.

– I jeszcze oponę, jakbyś mogła – poprosił Hubert.

– Ty jak się nudzisz, to naprawdę masz nieprawdopodobne pomysły – stwierdziła.

Hubert jedną ręką przytrzymał oponę w powietrzu, a Iza przywiązywała ją do zwisającej z drzewa liny.

– No i super. – Chłopak pchnął oponę tak, że zaczęła się huścić. – Teraz nie będą musieli okładać kijami siebie nawzajem.

Ku jego zaskoczeniu Iza się uśmiechnęła.

– Chodź do domu, przyniosłam ci obiad od mamy Roberta – powiedziała.

Późnym popołudniem pod domem Huberta pojawili się czterej chłopcy.

– Ile pompek dziś zrobiliście?

– Pięć. – Robert dumnie wypiął pierś.

– Dobrze, to teraz zrobicie kolejne pięć.

Chłopcy jęknęli, ale wykonali polecenie. Później Hubert kazał im biegać wokół domu, robić przysiady i brzuszki. Marudzili, ale nie sprzeciwili się ani razu. W nagrodę zaprezentował im kilka ciosów kijem w oponę, co bardzo się im spodobało. Na koniec urządzili małe zapasy. Kiedy pokazywał chłopcom sposoby walki wręcz, Hubert przypominał sobie różne ciosy, które do tej pory wykonywał odruchowo tylko w sytuacji zagrożenia. Wiedział, że kiedyś ktoś musiał ich go nauczyć, ale szczegółów nadal nie potrafił sobie przypomnieć.

Z dnia na dzień Hubert czuł się coraz lepiej, ramię goiło się wyjątkowo dobrze, więc znów mógł pełnić warty przy bramie, z czego był zadowolony, gdyż w końcu nie miał na nic czasu, szczególnie na nudę. Po niecałych dwóch tygodniach pani Barbara zdjęła mu szwy.

– Piękna robota – pochwaliła samą siebie. – Mało kto załatałby ci to tak równo.

– Super, dziękuję – odpowiedział.

– No i też trzeba przyznać, że goiło się na tobie jak na psie – dodała.

Henrykowi w tym czasie udało się zrobić jeden łuk i kilka strzał.

– Ostrzegam, że to nie jest profesjonalna robota – tłumaczył się. – Przy większym naciągu może się połamać.

– Oni mają nie więcej niż dwanaście lat – odparł Hubert, wypróbowując broń. – Myślę, że dla nich wystarczy.

Chłopcy byli wniebowzięci. Łuk tak bardzo im się spodobał, że już na początku wybuchła bójka o to, kto skorzysta z niego pierwszy. Hubert pomógł im zrobić tarczę i ustawili ją w sadzie. Chłopcy przez kilka godzin strzelali do niej, a

następnego dnia każdy zajął się przygotowaniem własnego łuku. Co prawda ich broń była marnej jakości, ale do zabawy wystarczyła.

## ROZDZIAŁ VII

Zadzwonił budzik. Hubert machnął ręką w powietrzu i przypadkowo strącił go z szafki na ziemię. Lecz alarm nie zamilkł.

– Zamknij się wreszcie! – jęknął chłopak, siadając na łóżku.

Wyłączył budzik, sprawdził, czy go nie uszkodził, i postawił z powrotem na półce.

– Te cholerne jagody – mruknął.

Poprzedniego dnia wszyscy strażnicy jednomyślnie uznali, że mając wolne przedpołudnie, Hubert o niczym nie marzy tak bardzo jak o wyprawie po jagody w towarzystwie kobiet.

Niewyspany i zły na kolegów powłókł się do kuchni. Nie chciało mu się rozpalać ognia w kuchence, żeby zaparzyć herbatę, więc na śniadanie zjadł kawałek kielbasy, zagryzając ją chlebem i popijając zimną wodą. Przeżuwał już ostatnie kęsy, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

– Otwarte!

– Cześć. – Do domu weszła uśmiechnięta Ania.

– Cześć. Tylko nie mów, że jestem spóźniony.

– Jeszcze nie, ale one nie lubią czekać, więc możesz się pospieszyć.

– Obszedłbym się bez tych jagodzianek i kompotów – marudził pod nosem, idąc do sypialni.

Był chłodny ranek, więc zarzucił bluzę, za pasek od spodni wetknął colta, przez ramię przewiesił pepeszę, upewniwszy się najpierw, że broń ma naładowaną.

Na placu pod kościołem stały już Ela, Marzena, żona Łuczyka, oraz Kasia z mamą. Każda z nich trzymała plastikowe wiaderko. Poczekali jeszcze parę minut na pozostałe trzy kobiety, po czym opuścili Świącino. Ela prowadziła do miejsca, gdzie ponoć były największe i najładniejsze jagody. Hubert z Anią szli na samym końcu.

Przez pół godziny wędrowali zarośniętą leśną drogą. Wszystko było jeszcze mokre od rosy, w koronach drzew śpiewały ptaki, owady budziły się ze snu. Na niebie nie pojawiła się żadna chmura, co zapowiadało kolejny upalny dzień.

– Jesteśmy. – Ela zatrzymała się w miejscu, gdzie wszędzie rosły jagodziny przywodzące na myśl olbrzymi zielony dywan z granatowymi cętkami.

Kobiety się rozeszły. Hubert stał, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Możesz rozejrzeć się po okolicy – podpowiedziała Ela. – A ty skończ gadać i zabierz się do zbierania – zwróciła się do córki.

Ania skrzywiła się z niechęcią, ale po chwili kucnęła w większej kępie krzaczków.

Hubert uśmiechnął się pod nosem, po czym ruszył przed siebie.

To był przyjemny ranek. Liście drzew szumiały cicho, gdzieniegdzie po ziemi biegały mrówki. „Wam najwyraźniej nie zaszkodziły koniec świata i sąsiedztwo demonów” – pomyślał chłopak.

Trzymając w dłoniach pepeszę, spacerował powoli między pracującymi kobietami. Jednym uchem przysłuchiwał się, o czym rozmawiają, a drugim łowił dźwięki lasu. Rozglądał się, szukając podejrzanych szmerów, ale świat był taki spokojny. „Kolejne nudne przedpołudnie – pomyślał. – A potem jeszcze nudniejsza warta przy bramie”.

Oparł się o pień sosny, spoglądając na Anię. Dziewczyna pokazała mu język.

– Nie za dobrze ci? – zapytała. – My tu pracujemy, a ty się nudzisz.

– Nie narzekam – odparł. – A poza tym coś ta praca słabo ci idzie. Twoja mama ma już ponad połowę wiadra, a ty ledwo dno przykryłaś.

– Spadaj.

Zaśmiał się.

– Wiesz, kiedy tak chodzę z bronią między wami zbierającymi te jagody, czuję się trochę jak poganiacz niewolników.

– Mamo! – zakrzyknęła z wyrzutem dziewczyna. – Więcej go nie bierzemy do lasu.

– Co zrobić... – Ela szukała riposty. – Wszyscy poważni mężczyźni byli dziś zajęci.

Pozostałe kobiety zaczęły się śmiać.

– Co, że ja niby jestem niepoważny? – oburzył się Hubert.

Ela rozłożyła ręce.



– Jak wam idzie? – Kilkanaście metrów dalej Marzena, żona Łuczyka, podniosła się z ziemi i przetarła czoło wierzchem fioletowej dłoni. – Ja mam już połowę wiadra.

– Ja też – odezwała się Kasia. – I pogryzły mnie mrówki.

– Jak się pospieszymy, to zdążymy wrócić do domu, zanim zaczną ciąć komary – zauważyła jej mama.

– A może strażnik by nam pomógł? Poszłoby dużo szybciej – stwierdziła Ania.

– Uwierz mi, nie chciałybyś, żebym wam pomagał – powiedział Hubert. – Mam wyjątkowego pecha do tych śmierdzących pluskw.

– Jak nie chcesz nam pomagać, to chociaż zajmij się swoimi obowiązkami, zamiast siedzieć. – Ela machnęła ręką w jego stronę.

– Wedle rozkazu. – Hubert skłonił się przed nią i ruszył po raz setny na obchód. Przespacerował się między kobietami, potem zatoczył duży krąg wokół pola jagodowego.

– Długo jeszcze? – zapytał znudzonym tonem.

– Jeszcze jakaś godzinka – odparła Kasia, zaglądając do swojego wiaderka.

– Chryste! – jęknął chłopak.

– Patrz pod nogi! – krzyknęła nagle Ania. – Depczesz jagody!

Hubert uniósł stopę, patrząc pod nią.

– Nie przesadzaj, obok są ładniejsze.

– Już, idź stąd! – pogoniła go dziewczyna.

Cofnął się, nie patrząc, gdzie stawia kroki.

– Hubert! – krzyknęła Ela, w ostatniej chwili zabierając mu spod nóg wiaderko z jagodami.

– Ups, przepraszam...

– Ogarnij się, nie możesz deptać jagodzin... – Ela zaczęła tyradę, ale młody strażnik już jej nie słuchał.

Coś było nie w porządku. Las niespodziewanie ogarnęła cisza. Zawiał delikatny wiatr, a kiedy owionął chłopaka, przynosząc ze sobą dziwny zapach, serce zabiło mu szybciej, pompując do żył adrenalinę. Wiedział, co to oznacza, gdy las milknie. Dotarł do niego ledwie słyszalny gwizd. Znał ten dźwięk. Rozejrzał się nerwowo. Kątem oka zobaczył jakiś kształt pędzący między drzewami. Błyskawicznie przyłożył pepeszę do ramienia i wycelował. Jednak cokolwiek to było, schowało się za pniem grubej sosny.

W tej samej chwili Marzena, która zbierała jagody najdalej od innych, odwróciła się i spojrzała prosto w oczy stwora. Krzyknęła przeraźliwie. Hubert, z pepeszą gotową do strzału, zaczął biec w jej stronę. Inne kobiety z przerażenia zastygły w bezruchu. W końcu potwór wyskoczył zza drzewa, lecz zanim strażnik zdążył strzelić, rzucił się na Marzenę. Jagody wysypały się na ziemię, gdy dziewczyna padła powalona cielskiem.

W biegu Hubert zdjął z ramienia pasek pepeszy i złapał broń za lufę. Demon z wielką okrągłą głową i patykowatymi kończynami, nie większy niż dwunastoletnie dziecko, usiłował wgryźć się w gardło Marzeny. Kobieta próbowała zrzucić go z siebie, jednak stwór był od niej dużo szybszy i z łatwością unikał ciosów pięściami.

Hubert, gdy znalazł się przy nich, uderzył demona kolbą pepeszy w łeb. Potwór potoczył się po ziemi, ale chwilę potem przykucnął gotowy do ataku. Zawarczał cicho, po czym skoczył na chłopaka. Strażnik był na to gotowy i ponownie zamachnął się pepeszą, trafiając w locie chude ciało. Demon uderzył w drzewo i padł na ziemię. Zamroczony, podniósł się na cztery łapy i potrząsnął wielką głową. Spróbował wykonać krok do przodu, ale zachwiał się, tracąc równowagę.

Hubert wycelował i strzelił, raniąc bestię. Po lesie przetoczył się dziki skowyt. Ból najwyraźniej przywrócił zmysły demonowi, który długimi susami zaczął uciekać zygzakiem. Wystrzelił jeszcze raz, lecz pepesza nie była najcelniejszą bronią. Stał jeszcze chwilę gotowy do dalszej walki, ale demon najwyraźniej dał za wygraną. Świat jakby odetchnął i wrócił do normalności.

Chłopak odwrócił się i zobaczył leżącą na ziemi Marzenę. Była już przy niej Ela. Bez słowa przy nich przykucnął. Żona Marka nożem delikatnie rozdarła dekolt bluzki Marzeny, żeby zbadać jej obrażenia. Demon ugryzł ją w bark, przecinając naskórek i zostawiając sine ślady zębów. Dłonie kobiety miały mnóstwo zadrapań od ostrych pazurów.

– Boli! – jęknęła blada Marzena.

– Wiem, kochana – pocieszała ją Ela. – Ale to nic groźnego. Masz tylko wielkiego siniaka.

– Zabierzmy ją do domu – zdecydował Hubert. Wciąż się rozglądał, szukając nowego zagrożenia.

Ela spojrzała mu w oczy i zapytała szeptem:

– Zastrześliś go?

Pokręcił głową.

– No, wstajemy. – Ela złapała Marzenę za zdrową rękę.

Hubert dźwignął ranną do góry.

Podeszła do nich Kasia blada jak papier.

– Ja jej pomogę iść – zaoferowała się.

Chłopak skinął głową i pozwolił, żeby zarzuciła sobie na barki ramię Marzeny, której twarz zmieniała kolor na bladzielony. Potem wyjął zza paska colt.

– Umiesz strzelać? – zapytał cicho Ełę.

Pokiwała głową, biorąc od niego broń.

Ela ruszyła pierwsza, tuż za nią Kasia z matką prowadziły Marzenę, dalej, niosąc wiadra jagód, szła Ania z trzema pozostałymi kobietami. Na końcu z odbezpieczoną pepeszą maszerował Hubert.

„Za wolno zareagowałem – wyrzucał sobie. – Wyczułem go dużo wcześniej, wiedziałem, że się zbliża, trzeba było coś zrobić...”

Powrotna droga zajęła im więcej czasu, ale udało się dotrzeć do Świącina już bez żadnych niespodzianek. Ania pobięła na poszukiwania Łuczyka. Łukasz, na którego natknęli się przy bramie, zaniósł Marzenę do domu.

– Co się stało? – Iza podeszła do nich, wyraźnie zaniepokojona.

– Coś nas zaatakowało w lesie – odparła Ela. – Zwołaj innych.

Dziewczyna pokiwała głową i odbiegła.

– Dobrze się spisałeś. – Żona Marka uśmiechnęła się słabo do młodego strażnika.

– Nie wydaje mi się – mruknął. Nagle poczuł, że zapiekł go policzek. Przyłożył do niego dłoń i wymacał pod palcami nierówność. Zaschniętą krew.

– Musiał cię drapnąć – domyśliła się Ela. – Chodź do szkoły, przemyję ci to, a potem pójdziemy do tej waszej piwnicy.

Hubert pozwolił poprowadzić się do szkoły, gdzie kobieta odszukała wodę utlenioną i przemyła jego zadrapanie. Później we dwójkę zeszli do piwnicy. Czekają tam już kilku strażników. Marek zerwał się z krzesła i przytulił żonę.

– Nic mi nie jest – mruknęła, odpychając go delikatnie.

W ciągu kilku minut w małym pomieszczeniu pojawili się Iza, Sołtys, ksiądz i paru pozostałych mieszkańców wsi. Ela zdała dokładną relację z ataku demona. Wszyscy słuchali w milczeniu.

– Co to było? – zapytała Iza, kiedy kobieta skończyła opowiadać.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę Huberta.

– Podejrzewam, że... że to był leszy. – Chłopak zmierzwił ręką włosy.

Ojciec Adrian uniósł w zaciekawieniu brwi.

– Jak to leszy?! – wybuchł Marian Kościuszko.

Hubert wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Czy to ten sam, który już raz wdarł się do Świącina?

– Nie wiem. – Chłopak poczuł się nagle bardzo zmęczony, zadrapanie na policzku piekło boleśnie.

– Przecież ofiara miała pomóc! Coś ją w końcu zeżarło. Mówiłeś, że to pomoże!

– Marian, daj spokój – odezwał się Stanisław. – Ten chłopak to nie encyklopedia demonów. Mówił przecież, że nie jest pewny, czy ofiara pomoże. Starał się doradzić najlepiej, jak umiał.

Marek i Iza pokiwali głowami. Ksiądz przyglądał się wszystkim z zainteresowaniem.

– Poza tym dobrze sobie poradził – dodała Ela. – Szybko wyczuł, że coś jest nie tak. Gdyby zorientował się chwilę później, ten demon zdążyłby przegryźć gardło Marzeny.

Sołtys wziął głęboki wdech.

– Dobrze. Co więc proponujecie?

Strażnicy spojrzeli po sobie.

– Ranieś go, prawda? – Stanisław pytająco spojrział na Huberta.

Chłopak skinął głową.

– A więc proponuję go wytropić.

– Czy to nie jest zbyt niebezpieczne? – zapytała Ela.

– Poszłoby kilku uzbrojonych mężczyzn – powiedział Marek. – Myślę, że ten stwór w pojedynkę nie dałby im rady. A poza tym nie możemy pozwolić, żeby szwendał się po naszym lesie i bezkarnie atakował ludzi.

Marian pokiwał głową.

– Kto pójdzie?

– Ja. – Stanisław skinął głową.

– Ja też – dodał Marek.

– I ja – zadeklarowała Iza. – Skończyłam już, co miałam zrobić – dodała, widząc, że Sołtys chce zaprotestować.

„Nie chce mi się, naprawdę mi się nie chce” – jęknął Hubert w duchu.

– Pewnie też powinienem iść – powiedział na głos.

– Myślę, że masz już dość wrażeń na dziś. – Ela pokręciła głową. – Zostawcie go, w końcu ktoś musi pełnić wartę – zwróciła się do Marka.

Chłopak uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

Pół godziny później Stanisław, Marek, Iza, Jacek i ksiądz Adrian uzbrojeni po zęby opuścili Świącino.

Hubert wystawił fotel przed strażnicę i usiadł na warcie z Mikołajem. Ania przyniosła im obiad.

– Myślicie, że go złapią? – zapytała, siadając na ławce.

– Nie wiem. – Hubert pokręcił głową. – Zanim dotrą na miejsce, leszy będzie miał mnóstwo czasu, żeby gdzieś się ukryć.

– Ale warto spróbować – dodał Mikołaj.

– A jak się czuje Marzena? – zapytał Hubert.

– Pan Kazimierz siedzi cały czas przy niej, dali jej coś na uspokojenie. Odniosła niezbyt poważne rany, ale była strasznie roztrzęsiona.

Późnym popołudniem przyszedł Łukasz.

– Kasia mówi, że powinieneś odpocząć – powiedział do Huberta. – Zastąpię cię.

– Nie, spoko, wytrzymam do końca warty.

– Zabroniła mi wracać do domu, więc i tak muszę tu siedzieć – dodał olbrzymi chłopak.

– Idź, należy ci się wolne. – Mikołaj pokiwał głową.

– Jak chcecie. – Chłopak podniósł się z fotela. – Ale jakby coś się działo, to przyślijcie kogoś po mnie. No i jak tamci wrócą, to też dajcie znać.

– OK.

Hubert niespiesznie ruszył w stronę domu. „Zawaliłem sprawę, miałem tylko pilnować ośmiu kobiet – myślał. – Zadbać, żeby żadnej nic się nie stało. I co? Na mojej warcie jedną pogryzł ten cholerny leszy. A oni traktują mnie jak jakiegoś bohatera”.

Kiedy dotarł do siebie, od razu udał się do sypialni i padł na łóżko. Chciał spokojnie przemyśleć, co się stało. Dokładnie przeanalizować atak leszego, zastanowić się, co więcej mógł zrobić. I niemal natychmiast usnął.

Obudziło go pukanie do drzwi sypialni. Otworzył oczy, przetarł je dłonią. Zadrapanie na policzku wciąż piekło. Podniósł się z łóżka i zobaczył, że na progu pokoju stoi Iza.

– Cześć – przywitała się.

– Cześć. Złapaliście go?

Pokręciła głową.

– Ogarnij się, zrobię herbatę – powiedziała i wyszła.

Hubert ziewnął, przeciągnął się i powłókł za nią do kuchni.

– Głodna? – zapytał, szukając po szafkach jedzenia.

– Nie.

Pokroił kilka kromek chleba i plastrów szynki. W tym czasie zagotowała się woda na herbatę.

– I jak wam poszło? – zapytał, przeżuując kanapkę.

– Byliśmy w tym lesie, gdzie zbieraliście jagody, odnaleźliśmy ślady krwi... I kilka kul w pniach drzew. Masz niezłego cęla – powiedziała ironicznie.

– Ciesz się, że nikogo nie postrzeliłem – mruknął.

– Ruszyliśmy w głąb lasu, ale zgubiliśmy trop. A właściwie ślady po prostu się urwały. Przez kilka godzin chodziliśmy w kółko, ale na nic nie natrafiliśmy.

– To słabo.

– A żebyś wiedział. – Odstawiła kubek po herbacie na stół. – Dobra, idę do domu posłuchać narzekania ojca, że się zgłosiłam na ochotnika.

– Będzie zły?

– Pewnie tak. – Wzruszyła ze zrezygnowaniem ramionami. – To na razie.

– Na razie.

Został sam. Pozbierał naczynia ze stołu i pozmywał je w misce z wodą, którą rano przyniósł ze studni. Była już dwudziesta druga, ale nie chciało mu się spać, więc przyniósł do kuchni pepeszę i przy świetle lampy naftowej usiadł za stołem. Z kolby wyjął niezbędny do czyszczenia. Mechanicznymi ruchami rozebrał broń na części, których zresztą nie było zbyt wiele. Wziął do rąk kawałek szmatki, nasączył ją olejem i zaczął powoli przecierać każdy element. Później wyjął wycior i przez dziurkę na jego końcu przewlekł materiał i przeczyścił lufę. Na sam koniec przyniósł z pokoju siatkę, w której trzymał naboje, i uzupełnił magazynek.

Następnego dnia Hubert udał się do domu Łuczyków zobaczyć, jak trzyma się Marzena. Wyglądała dużo lepiej niż poprzedniego dnia. Przeszła być taka bladezielona, trochę nawet się uśmiechała. Podziękowała strażnikowi za ratunek i poczęstowała go ciastem.

Hubert posiedział u nich pół godziny. Gdy wychodził, w drzwiach Kazimierz uściskał mu dłoń.

– Jeszcze raz dzięki – powiedział z naciskiem. – Jakbyś kiedyś potrzebował pomocy w czymkolwiek, daj znać.

– Nie ma sprawy.

Po ataku leszego oraz mamuny rada osady zdecydowała, że w jakiegokolwiek wyprawie do lasu od tej pory będzie brać udział co najmniej trzech uzbrojonych mężczyzn. Nic więcej nie mogli zrobić. Hubert wyczuwał zdenerwowanie mieszkańców, irytację spowodowaną bezradnością. Napotykali coraz więcej demonów i nie mieli pojęcia, jak z nimi walczyć.

Na szczęście wydarzenia nie przesunęły terminu ślubu Kasi i Łukasza. Jeszcze przed weselem Marzena zaczęła wychodzić z domu, siniaki na jej barku zżółkły i zaczęły znikać. Również zadrapania na policzku Huberta się zagoiły i teraz pozostały po nich tylko trzy cienkie, czerwone kreski.

– Blizny chwały – mruknął chłopak, przeglądając się w lustrze. – Szkoda tylko, że rana była płytka, za parę miesięcy nie zostanie po niej ślad. Nie to co po mamunie – dodał, podwijając rękaw bluzki.

– Chłopie! Rusz się, nie mamy całego dnia! – krzyknął na Huberta Bruno.

Od rana zbijali na wesele stoły i ławy z drewna, które im zostało po budowie palisady. Chłopak ostatnio chodził niewyspany i zamyślony. Zaczęły mu się śnić koszmary o strzelaninach, krwi i śmierci. Nie potrafił sobie przypomnieć ich treści, czuł tylko, że były niepokojące.

– Trzymaj tę deskę równo – skarcił go Bruno.

Hubert westchnął ciężko i przesunął deskę. Źle mu się pracowało z Brunonem. Mężczyzna szybko się denerwował i na wszystkich krzyczał. Był starym kawalerem. Ludzie mówili, że taki despotyczny stał się cztery lata temu, po śmierci matki.

Na pracy upłynęło im całe przedpołudnie. Potem przyszła mama Kasi, sprawdzić, czy wszystko jest, jak należy. Ponarzekła, że stoły za krzywe, a ławki za niskie, ale zaprosiła ich obu do siebie na obiad.

– A w co Kasia się ubierze? – zapytał Hubert, kiedy skończył jeść zupę ogórkową.

Matka przyszłej panny młodej spojrzała na chłopaka zdziwiona, nie spodziewała się, że kiedykolwiek mógłby się zainteresować ślubną garderobą.

– Ach, ciebie nie było w zeszłym roku – westchnęła, jakby to wszystko wyjaśniało.

– No i?

– Chodź, pokażę ci – odparła konspiracyjnym szeptem. – Tylko nic nie mów Łukaszowi, wiesz, to przynosi pecha.

– Aa, jasne – mruknął Hubert.

Niekoniecznie chciał oglądać strój panny młodej, zainteresowało go po prostu, jak teraz organizuje się wesela. Ale było już za późno, żeby się wykręcać. Powędrował więc za dumną kobietą na poddasze, gdzie wisiała przykryta workami suknia.

– Ehm, ładna – powiedział, kiedy matka przyszłej panny młodej rozpakowała kreację. – Za bardzo się nie znam, ale podoba mi się – dodał, patrząc na białą suknię z koronką. Podobne widywał kiedyś, jeszcze przed wojną.

– Jest piękna – westchnęła kobieta, strzepując z materiału niewidoczne drobinki kurzu. – I to tylko dzięki Izie.

– Jak to?

– Iza zdobyła ją rok temu, jak pojechali na szaber – wyjaśniła. – Kasia i Łukasz właśnie się zaręczyli... Żaden facet by się nie zainteresował, w co Kasia ubierze się do ślubu. Ba, nawet gdyby któryś się potknął o taką suknię, nie wpadłby na to, żeby ją zabrać. Ale Iza zadbała o wszystko...

– Aha. – Hubert poważnie pokiwał głową. Kobieta zaczęła ocierać łzy z oczu, więc uznał, że to nie najlepszy czas na dopytywanie, o jaki znowu szaber chodziło. Zresztą, kiedy matka panny młodej zaczyna płakać, najlepiej się ulotnić.

– To może wezmę Brunona i zobaczymy, czy da się poprawić te stoły – bąknął i wymknął się z pokoju.

Wszyscy mieszkańcy Święcina byli podekscytowani zbliżającym się weselem. Hubert podejrzewał, że nie mogli się doczekać jedzenia i rzeki alkoholu, jakie miały się pojawić na stołach. Już od dłuższego czasu kobiety z osady przygotowywały potrawy na ucztę.

Wieczorem, dzień przed uroczystością, Hubert poszedł do piwnicy szkolnej, żeby się upewnić, że nikt nie zmienił grafiku wart.

– Czad. Żadnej warty podczas imprezy.

Obawiał się, że Iza złośliwie zaplanuje mu nockę.

„Najwyraźniej zlitowali się nade mną – uznał. – Zresztą w noc kupały miałem wartę, więc teraz mi się coś od życia należy”.

Kiedy wychodził z piwnicy, zastanowił się, czyby nie wpaść do Mariki. Uznał jednak, że znów mogłaby zacząć sobie wyobrażać nie wiadomo co.

Dopiero od niedawna znów zaczęła go zauważać.

– O, dobrze, że jesteś – usłyszał znajomy głos, kiedy wychodził już ze szkoły.

– Cześć – bąknął na widok Mariki. Już chciał wypalić, że właśnie o niej myślał, ale w porę ugryzł się w język.

– Potrzebuję pomocy – powiedziała bez ogródek.

Po raz pierwszy od przesilenia letniego odezwała się bezpośrednio do niego.

– Tak?

– Obiecałam mamie Kasi, że zajmę się kwiatami i przystrojeniem kościoła. I sama nie dam rady.

„Dlaczego znowu ja? – jęknął w duchu Hubert. – Oni wszyscy myślą, że ja ciągle się nudzę. Teraz jeszcze do zbierania kwiatków mnie ciągną!”

– No dobrze – powiedział na głos.

– Najpierw pójdziemy na łąkę – mówiła Marika, jakby między nimi nigdy nie doszło do spięcia. – Tam powinniśmy znaleźć coś ładnego. Potem u Eli zerwiemy kilka róż, a u Maciejaków rosną piękne margerytki...

Dziewczyna zaczęła wymieniać, co kto ma ogródku. Hubert szybko się w tym pogubił. Szedł więc za Mariką i słuchał piąte przez dziesiąte jej paplaniny.

– Ależ to będzie piękna ceremonia – trajkotała. – Wszędzie kwiaty, myślę, że pod ołtarzem, tam gdzie będą stali, można trochę płatków róż rozsypać... a jaką cudowną suknię ma Kasia! – Przycisnęła obie dłonie do piersi i westchnęła cicho. – Tak jej zazdroszczę. A na stołach poustawiamy flakoniki i powkładamy do nich polne kwiatki. Jako że nikt we wsi nie ma kilku takich samych wazonów, to już od kilku dni zmieniam w nie słoiki. Przystrajam je tak, że nie widać, że to tylko opakowania po musztardzie...

Hubert wyłączył się całkowicie.

– ...noc kupały. – W pewnym momencie Marika zamilkła i spojrzała wyczekująco.

W głowie Huberta zapaliła się czerwona lampka.

– Możesz powtórzyć? – poprosił.

– Znowu mnie nie słuchasz! – oburzyła się. – Powiedziałam: mam nadzieję, że nic nie zepsuje wesela, tak jak się zdarzyło w noc kupały.

– Aha, też mam taką nadzieję. – Odetchnął.

– W ogóle trochę głupio wtedy wyszło – dodała cicho i opuściła głowę.

Hubert nie wiedział, co zrobić z rękoma, splótł je na piersi, potem za plecami, aż w końcu wsunął dłonie do kieszeni.

– Nie powinnam była się wtedy na ciebie tak wściekać. W końcu mnie obroniłeś – odezwała się po chwili Marika.

– Noo, przepraszam – bąknął.

– Nie musisz, nie mam ci za złe. Zresztą, naprawdę brakowało mi twoich wizyt w szkole... – I dodała radośniej: – No, a teraz zabierajmy się do pracy.

Wręczyła mu nożyk i pokazała, które kwiaty ma zbierać do koszyka.

„Cóż za postęp – przemknęło mu przez myśl. – Powoli wszystkie dziewczyny się na mnie odobrażają”.

Kiedy skończyli zbierać rośliny na polanie, pozagląдали do ogródków w osadzie. Częścią kwiatów przystroili ławki w kościele, a resztę Marika zabrała do domu, żeby położyć je w misce z wodą i dopiero następnego dnia udekorować stoły.

W nocy Hubert nie spał dobrze. Znowu śniły mu się koszmary, ale udało mu się poleżeć w łóżku do dziesiątej. Każdy od rana był tak zajęty, że po prostu o nim zapomniano. Wstał, zjadł lekkie śniadanie i nie wychodził z domu, by w ostatniej chwili nie zapędzono go do jakiejś pracy.

Ceremonia w kościele odbyła się po południu i trwała bite dwie godziny. Hubert nieźle się wynudził, lecz przy życiu trzymała go myśl o uczcie, jaka na nich czekała. Po mszy wszyscy mieszkańcy wsi wyszli na plac przed kościołem, gdzie wcześniej przygotowano stoły. Chłopak jako jeden z niewielu mężczyzn nie włożył garnituru. Najbardziej odświętnym elementem jego garderoby były czarna koszulka z krótkimi rękawami i bluza moro. Nigdy wcześniej nie odczuwał potrzeby ubierania się elegancko. „Najważniejsze są szczegóły” – przypomniał sobie słowa Eli. „Kim jesteśmy bez tych drobiazgów? Trzeba pielęgnować dawne zwyczaje, resztki upadłej cywilizacji, bo bez nich zamienimy się w zwierzęta”.

Wszyscy zaczęli zajmować miejsca. Hubert zawahał się, nie wiedząc, gdzie powinien usiąść. Z kłopotu wybawiła go Iza.

– Chodź tutaj! – zawołała go, wskazując stołek obok siebie.

– Dzięki. – Uśmiechnął się i skorzystał z zaproszenia.

Kilka kobiet zaczęło przynosić jedzenie. Hubert od dawna nie widział takich smakołyków.

Ludzie jedli, rozmawiali, cieszyli się chwilą. W tak zamkniętej społeczności, jaką było Święcino, mieszkańcy doskonale się znali. Wydawałoby się, że jeden wiedział o drugim wszystko, a mimo to świetnie się bawili, plotkując. Sołtys

osobiście nadzorował amatorską kapelę, kobiety przynoszące jedzenie co jakiś czas się zmieniały, żeby nikt nie czuł się poszkodowany. W końcu, po obiedzie, zaczęły się tańce.

– Ty nie tańczysz? – zagadnęła Iza.

– Co, ja? Daj spokój – mruknął Hubert. – Jakoś nigdy mi to nie wychodziło.

– Mnie też.

Hubert nałożył im na talerze po kawałku mięsa.

– Jak to jest w końcu z tym szabrem? – zapytał po chwili.

– Nigdy nie byłeś na szabrze? – zdziwiła się. – Nawet kiedyś?

– No na takim, gdzie kradło się śliwki sąsiadce z ogródka, to byłem – przypomniał sobie. – Ale na takim, z którego przywozi się suknie ślubne, to nie.

Iza się zaśmiała.

– Raz albo dwa razy do roku kilkoro ludzi wsiada na konie, zabiera wóz i jadą po opuszczonych wsiach i miastach szukać wszystkiego, co mogłoby się przydać w domu – wyjaśniła.

– No ale przecież do miasta nie mamy wstępu – zaprotestował Hubert.

– Do wielkiego nie – przytaknęła. – Ale jest mnóstwo małych miścin, gdzie są supermarkety, których nikt nie pilnuje. Nie wspominając o tym, jakie skarby kryją się w prywatnych domach.

– Hm, kumam. – Przypomniał sobie, że kiedyś Marek napomknął coś o szabrze, ale wtedy jeszcze zbyt mało wiedział, żeby zwrócić na to uwagę.

– Ale nie jest to zbyt bezpieczne – uprzedziła. – Wiele budynków grozi zawaleniem, wszędzie poniewierają się niewybuchy... Ludzi raczej nie trzeba się obawiać. Większej grupy nikt nie ruszy, a poza tym tyle tego zostało, że można się jakoś podzielić. Jedyne, czego należy się bać, to demony. Uwielbiają się kryć w opuszczonych domach, ciemnych lasach. Nie przewidzisz, kiedy na nie trafisz. Zresztą, przecież wiesz, jak to jest.

– A kiedy znów wybieracie się na ten szaber? – zapytał.

– Niedługo, ale nie licz, że cię weźmiemy.

– Dlaczego? – oburzył się.

– Bo jesteś nowy – ucięła.

– Daj spokój, po ponad trzech miesiącach nie jestem taki nowy. No chyba że pozostanę nowy aż do przybycia kogoś innego, nieważne, czy potrwa to miesiąc, czy rok. A poza tym jestem pewien, że przydałby się wam ktoś, kto umie walczyć.

– Dobra, pomyślę – obiecała Iza.

„Fajnie byłoby jechać – pomyślał Hubert. – Zdobyć jakieś fanty... Wyrwać się stąd na chwilę. To nie znaczy, że mi się tu nie podoba... Ale dobrze by tak na trochę wybyć. Może nawet dowiedziałbym się czegoś o moich ostatnich siedmiu latach życia”.

Polubił Święcino i jego mieszkańców, ale czuł nieokreślony niedosyt. Brakowało mu czegoś i liczył, że w podróży może to odnajdzie.

Wesele trwało w najlepsze. Tańce, przerwy na jedzenie i picie. Hubert podszedł na chwilę do Mariki. Chciał porozmawiać, tak po prostu. Miała na sobie ładną sukienkę, włosy upięła wysoko, a na policzkach wykwitły jej rumieńce. Jakiś czas gawędzili o wszystkim i niczym. Potem podszedł do nich mężczyzna koło trzydziestki i poprosił Marikę do tańca. Hubert mgliście pamiętał, że nazywał się Karol.

„Całkiem niezłe sobie radzi dziewczyna beze mnie” – pomyślał z pewnym rozczarowaniem.

Chciał wtedy wrócić do Izy, ale i ona była zajęta rozmową. Postanowił więc obejść plac dookoła i upewnić się, że wszystko jest w porządku. W końcu pełnił funkcję strażnika i choć nie miał warty, czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo.

Po tym, jak Marikę zaatakował leszy, prawie nikt już nie chodził po ciemku w pojedynkę bez broni. Teraz mieszkańcy też nie oddalali się od oświetlonego pochodniami placu, gdzie odbywało się wesele. Wieś poza nim była pogrążona w mroku.

– Ciekawe, która godzina – zastanowił się Hubert, patrząc w gwiazdy. – Na pewno już po drugiej.

Stanął w cieniu i przez chwilę patrzył na bawiących się gości. Wiele osób jadło, kilka tańczyło, stary Maciejak zaczął przysypiać na krześle. Hubert wypatrzył w tłumie Elę i Marka – siedzieli przy stole i rozmawiali z księdzem, Sołtysem i Łuczykiem. Ania zabawiała dzieci, które jeszcze nie poszły spać, żeby nie przeszkadzały rodzicom. Iza dołączyła do Henryka i o czymś zawzięcie rozprawiali. Stanisław opowiadał coś grupce ludzi przy stole. Hubert nie mógł doliczyć się kilku mieszkańców, ale przecież było już późno i pewnie wrócili do domów.

Nagle usłyszał jakiś hałas w oddali. Wyjął z kabury colta, odbezpieczył go i ruszył w kierunku dźwięku, który po chwili się powtórzył. Chłopak zdawał sobie sprawę, że powinien kogoś zawołać, ale nie chciał podnosić alarmu bez potrzeby – przecież źródłem dźwięku mógł się okazać tylko zbłąkany pies czy zawiewający wiatr.

Powoli i cicho się skradał. Pistolet miał gotowy do strzału. Jeszcze pięć metrów, cztery, trzy... Zbliżył się do rogu najbliższego domu i wyskoczył zza niego. Usłyszał huk, krzyk, a potem zobaczył białą suknię.

– Ach, to wy – mruknął zdezorientowany, widząc przestraszonych Kasię i Łukasza, którzy stali przytuleni do siebie pod ścianą.

– Aleś mnie przeraził – jęknęła panna młoda. – Tak trudno o odrobinę dyskrecji...

– Przepraszam, ja... ten... no, usłyszałem hałas i chciałem to sprawdzić. – Hubert zaczął się tłumaczyć.

– Spoko... – odezwał się Łukasz.

– No to ten, nie... nie przeszkadzam wam – bąknął. – Tylko uważajcie na siebie.

Chłopak wycofał się tyłem, wsuwając pistolet do kabury.

„Ale wtopa. Chcieli pobyć sam na sam, a ja się skradam do nich z bronią gotową do strzału”.

Po chwili jednak pomyślał z rozbawieniem: „Dobrze, że nie wezwałem innych na pomoc”.

Hubert wracał na plac, śmiejąc się do siebie, kiedy zza rogu wypadł na niego Jacek.

– Co się dzieje? – Widząc minę strażnika, natychmiast spoważniał.

– Ktoś się włamał do osady – wyjaśnił mężczyzna, próbując złapać oddech. – Idź po innych.

– Człowiek czy demon? – zapytał rzeczowo Hubert.

– Nie wiem, chyba człowiek, jeden, Adam pobiegł za nim w stronę starej szkoły – sapnął Jacek. – Zbierz ludzi, ja obstawię bramę, żeby się nie wymknął.

Hubert kiwnął głową i popędził na plac.

– Kobiety i dzieci niech wejdą do kościoła – zakomenderował Sołtys, jak tylko usłyszał wieści. – Reszta bierze broń i idziemy w kierunku starej szkoły. Nie strzelać, dopóki nie będzie to konieczne, musimy dowiedzieć się, co to za jeden.

Większość mężczyzn miała przy sobie broń palną, inni chwycili noże i pochodnie. Iza jako jedyna kobieta stanęła pośród nich ze swoim browningiem. Sołtys spojrzał na córkę znacząco, ale nic nie powiedział.

– Urządzimy małą nagonkę – powiedział Henryk, kiedy ruszyli w stronę starej szkoły.

Po drodze zaglądali w każdy ciemny kąt, każdy zakamarek, w którym mógł ukryć się intruz. Po kolei sprawdzali, czy nie zaszył się w którymś domu. Maciejak ze Stanisławem poszli sprawdzić stajnię, gdzie było mnóstwo potencjalnych kryjówek.

Pochodnie dawały niewiele światła, do tego ogień szumiał na wietrze, a ludzie szli głośno, więc nie sposób było usłyszeć cokolwiek. Hubert uważnie przyglądał się każdej plamie cienia, oczekując, że zobaczy tam skuloną sylwetkę. Mrok jednak był przyjacielem intruza.

– Jest! – krzyknął nagle ktoś z tłumu i wskazał palcem punkt przed sobą.

Zobaczyli przemierzający się cień przy palisadzie. Natychmiast za nim pobiegli, marsz tyralierą zamienił się w bezładny pościg.

– Tam! – krzyknął Henryk do Izy i skręcił w bok.

Hubert pobiegł za nimi. „Chcą odciąć mu drogę” – ocenił sytuację.

Jednak się spóźnili. Kiedy ścigany spostrzegł obławę, gwałtownie skręcił w bok, przesadził płot i skierował się do głównej bramy.

– Tam jest tylko Jacek! – krzyknął Hubert i przyspieszył ile sił.

Zdawał sobie sprawę, że nie mogą wypuścić intruza wolno. Musieli się najpierw dowiedzieć, kim był i czego szukał.

Iza po chwili dogoniła Huberta, Henryk podązał tuż za nimi.

Intruz błyskawicznie zbliżał się do bramy. Czekał tam na niego Jacek z wycelowaną bronią. Błysk rozdarł mrok, po nim rozbrzmiał huk wystrzału. Jeden, drugi, ale obcy się nie zatrzymał. Wpadł na strażnika i dosłownie przebiegł po nim.

Hubert dopadł do Jacka pierwszy, Iza z Henrykiem ruszyli dalej, ledwo na nich spojrzawszy.

– Żyjesz? – zapytał chłopak.

– Noo. – Strażnik trzymając się za głowę, powoli usiadł na ziemi. – Tylko mnie ogłuszył. Chyba go trafiłem.

– Na pewno OK?

– No.

– To leć. – Hubert zerwał się do biegu w ślad za Izą i Henrykiem. Wkrótce dołączyli do niego inni.

Intruz przebiegł przez pole najkrótszą drogą i skrył się w lesie.

„Mamy marne szanse znaleźć go między drzewami. – Hubert szybko analizował sytuację. – Sami się możemy pogubić, a kto wie, co tam jeszcze siedzi?”.

Przebiegli przez pole, a potem zniknęli w czarnym lesie. Zwolnili tempo, gdyż nie widzieli własnych nóg, nie mówiąc już o pniach drzew.

– Co teraz? – szepnął ktoś.

– Nic z tego, nie złapiemy go – odezwał się inny głos.

Mieli łącznie trzy pochodnie, które w mrocznym lesie na niewiele się zdawały.

– Widać nas z daleka – odezwał się Hubert, patrząc na płomienie. – Powinniśmy wracać i poszukać śladów jutro.

Mężczyźni stali przez chwilę niezdecydowani. Nikt nie miał ochoty zagłębiać się w puszcze.

– Pójdę po Izę i Henryka – powiedział chłopak.

– Idę z tobą – zadeklarował się Marek.

Wzięli jedną pochodnię i ruszyli przed siebie. Szli powoli i ostrożnie. Suche liście szeleściły im pod stopami.

– Iza? – Hubert dostrzegł w oddali dwie sylwetki.

Odpowiedziała mu cisza, przez chwilę miał wrażenie, że widzi dwa upiory.

– Szzzzz... – usłyszał głos Henryka.

Hubert i Marek odetchnęli z ulgą i podeszli do nich.

– Słyszycie? – zapytała Iza szeptem.

Skupili się na ciszy, która dzwoniła w uszach.

– Nie. – Marek pokręcił głową.

– No właśnie. – Henryk odbezpieczył broń.

„Jest za cicho – pomyślał Hubert. – Nic nie szeleści w drzewach, żadna sowa nie pohukuje. W lesie nigdy nie ma absolutnej ciszy”.

Serce zabiło chłopakowi szybciej. Nie powinni byli przychodzić tu w nocy.

– Wracajmy – zdecydowała Iza.

Ona również miała odbezpieczoną broń.

Nagle ciszę przerwał rozziewający krzyk. Krzyk człowieka, który właśnie spojrzał w oczy śmierci. Czwórka mieszkańców Świecina spojrzęła po sobie. Wrzask się powtórzył. Biec na pomoc złodziejowi, gdy nie wiadomo, co go zaatakowało? Warto narażać dla obcego własne życie? Lepiej wrócić do bezpiecznej osady i za dnia poszukać śladów... A jednak nie można skazać innego człowieka na taki los.

Henryk kiwnął głową i wszyscy ostrożnie ruszyli tam, skąd dobiegał wrzask. Broń trzymali w pogotowiu. W każdej chwili coś mogło ich zaatakować. Szli powoli, nie robiąc żadnego hałasu. Hubert co chwila zerkał za siebie, upewniając się, że nic nie podąża ich śladem. Serce biło mu szybko, oddech stał się płytszy. Nagle usłyszał szmer tuż nad głową. Błyskawicznie skierował w tamtą stronę pistolet gotowy do strzału. Po chwili sowa zerwała się do lotu z cichym pohukiwaniem. Chłopak odetchnął z ulgą.

– Tam... – szepnął nagle Henryk, wskazując przed siebie.

W oddali majaczył jakiś kształt, jednak z tej odległości nie można było wywnioskować co to takiego. Powoli, krok za krokiem zbliżali się do tajemniczego miejsca. Wtedy usłyszeli jęki.

– To człowiek – powiedziała Iza, przyspieszając. Stała metr od skulonej na ziemi postaci, celując do niej. – Coś ty za jeden? – zapytała, ale mężczyzna kiwał się tylko w przód i w tył, jęcząc coś niewyraźnie.

Marek oświetlił go blaskiem pochodni. Zobaczyli, że obcy ma ranę na czole, a do piersi przyciska zakrwawioną rękę.

– Zabierzemy cię do naszej osady – odezwała się Iza, ale nie zwrócił na nią uwagi.

Henryk podszedł do mężczyzny i nachylił się nad nim. Ten spojrzał na wojskowego z przerażeniem w oczach, wrzasnął coś niezrozumiałego i skulił się jeszcze bardziej.

– Hubert, pomóż mi – powiedział Henryk. – Jak będzie się szarpał, to w łeb.

Obcy zaprotestował słabo, ale udało im się podnieść go z ziemi. Na wół go niosąc, na wół ciągnąc, zawrócili do wsi. Marek szedł pierwszy z pochodnią, Iza zabezpieczała tyły. Dopiero po chwili dotarło do nich, że las przestał milczeć. Drzewa szumiały, gdzieś daleko zaryczał jelen, drobny gryzoń przebiegł po suchych liściach.

– Już niedaleko – pocieszał siebie i innych Hubert, kiedy wyszli z lasu.

Lecz nie zwolnili, idąc przez pole. Wszyscy mieli wrażenie, jakby coś szło tuż za nimi. Intruz jęczał cicho, jego krew, kropla po kropli, skapywała na ziemię.

W końcu dotarli na teren osady.

– Co za upiorna noc – mruknął Marek, patrząc za siebie.

Ktoś odebrał od nich rannego i zaprowadził do domu Sołtysa.

– Co teraz z nim będzie? – zapytał Hubert.

– Opatrz go, doprowadzą do porządku i wyciągną informacje, skąd jest i co robił w Świecinie – wyjaśniła Iza.

Wesele się skończyło. Nikt nie miał już ochoty bawić się po tym wydarzeniu. Jakimś cudem intruz wtargnął na teren osady, a potem coś zaatakowało go w lesie. Dość wrażeń jak na jedną imprezę.

„Ale komuś się dostanie – pomyślał Hubert. – Dobrze, że to nie ja stałem na warcie”.

Ludzie zaczęli sprzątać jedzenie ze stołów. Korzystając z okazji, chłopak przemknął między nimi i zabrał kawałek kurczaka oraz ciasto.



„Swoją drogą to przegięcie, żeby dwie ważne imprezy zakończyły się w taki sposób” – myślał, idąc do domu. Tam się mył, zjadł kolację i poszedł spać. Złodzieja odnaleźli, dostarczyli Sołtysowi, teraz to jego zmartwienie. Hubert mógł spokojnie chrapać. Jednak reszta nocy przyniosła mu same koszmary.

Przyśnił mu się Ernest. Przyjaciel wyglądał wyjątkowo dobrze jak na trupa. Ba, prezentował się nawet lepiej, niż Hubert go zapamiętał, kiedy byli w Paryżu. Siedzieli razem przy ognisku i milczeli.

– Bies atakuje tylko w mroku – odezwał się Ernest.

– Aha, czyli przy pełni nie musimy się obawiać.

– Chyba że wleziemy do jego nory. Jest wielki, kudłaty, ma ostre pazury i kły.

– Przyjemniaczek. – Hubert się zaśmiał, ale przyjaciel nie podzielił jego entuzjazmu.

– Gdy kogoś naznaczy, to będzie szedł jego tropem, aż go dopadnie – kontynuował Ernest. – A przy tym ofiara cierpi na stany lękowe, zmęczenie fizyczne...

Nagle sceneria snu zmieniła się nie do poznania. Tym razem Hubert był sam w ciemnym lesie. Zgubił się i nie wiedział, w którą stronę iść, gdzieś stracił broń. Ktoś albo coś go goniło. Biegł i biegł, aż zabrakło mu tchu. Coś czaiło się z boku, powarkując cicho.

„To koniec” – pomyślał, a potem się obudził.

Wciągnął gwałtownie powietrze do płuc, mięśnie bolały go od ciągłego napinania. Chwilę trwało, zanim zorientował się, gdzie jest. Krótkie spojrzenie na znajome gołe ściany, duże, miękkie łóżko, pościel, której już jakiś czas temu przydałoby się pranie.

– Co za chory sen – mruknął i poszedł do kuchni czegoś się napić. Słońce było już wysoko na niebie. – I nikt mnie jeszcze nie obudził? – zdziwił się, stojąc przy oknie.

Ubrał się, przekąsił coś na szybko i przeszedł do domu Sołtysa, gdzie w piwnicy zamknięto złodzieja.

– O, cześć! – Drzwi otworzyła mu Iza.

– I jak, wiecie już coś? – zapytał, wchodząc do środka.

– Nie bardzo. – Iza zaprowadziła gościa do kuchni. – Jadłeś już?

– Yyy... – zawahał się, widząc świeżutką szynkę na stole. W całym domu pachniało dopiero co upieczonym chlebem.

– W sumie nie.

– To siadaj i bierz, co chcesz.

Nie trzeba było powtarzać mu dwa razy.

– A więc jak tam ma się nasz gość? – ponowił pytanie.

– Nie wiem. – Iza pokręciła głową. – Chyba mocno w głowę dostał, bo ciągle gada o jakichś głupotach.

– Powiedział, co go zaatakowało?

– Żadnych konkretów, tylko że jakaś bestia. I zachowuje się, jakby miał wszystkie możliwe fobie. Boi się nawet swojego cienia, dosłownie.

– Mówił, skąd jest, czego szukał?

– Nic, gada tylko o ciemności.

– A co jeśli gdzieś niedaleko czai się ich więcej, a on był tylko zwiadowcą?

Iza wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę. A nawet jeśli, muszą być daleko stąd. Z samego rana Henryk, Marek i kilku innych objechali całą okolicę i nie znaleźli żadnego tropu. Ojciec Adrian zaś poszedł sprawdzić ślady w lesie, tam gdzie go znaleźliśmy.

– I?

– I nic, czekam na niego.

Usłyszeli kroki w korytarzu.

– Witam. – Do kuchni wszedł ksiądz.

Iza i Hubert spojrzeli na niego wyczekująco.

– Jakie wieści? – zapytała dziewczyna.

Kapłan pokręcił głową.

– Mnóstwo krwi, odciski butów naszego złodzieja i niewyraźne ślady jakiegoś stworzenia, ale nie potrafię ich rozpoznać. Nigdy takich nie widziałem.

– Czyli mamy do czynienia z nowym demonem – zauważyła Iza.

„Ludzie nie znają lasu. Boją się go”. – Hubert przypomniał sobie słowa Stanisława.

– A jeśli to jakieś zwykłe zwierzę? – zapytał. – Wilk? Albo coś innego?

Iza i ojciec Adrian wymienili spojrzenia.

– Nie sądzę – powiedział duchowny.

– A zna się ksiądz na dzikich zwierzętach? Wilkach? Jenotach? Czy co tam jeszcze może żyć w lesie?

Ojciec Adrian nie odpowiedział.

„No tak, od kilku lat poluje na demony – pomyślał Hubert. – I nie zwraca uwagi na nic innego”.

– Myślę, że te ślady powinien obejrzeć Stanisław – nalegał chłopak. – On się na tym zna i jeżeli wykluczy zwykłe zwierzęta, będziemy mieli pewność, że to demon.

– Jak chcecie – burknął ksiądz.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem. – Stanisław, gdy dotarli na miejsce, gdzie poprzedniej nocy odnaleźli złodzieja, bezradnie rozłożył ręce.

– Jesteś pewien? – zapytała Iza.

– To nie było żadne dzikie zwierzę.

Iza popatrzyła wymownie na Huberta.

– No co? – obruszył się. – Teraz przynajmniej mamy pewność.

– Wracajmy już – rzuciła. – Może ojciec dowiedział się czegoś od tego złodzieja.

Gdzieś w oddali usłyszeli wycie, które przeszło w warkot.

– Co to było? – zapytał Hubert.

Zatrzymali konie.

Stanisław pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

– Pięknie, jakiś nowy stwór wprowadził się do naszego lasu – mruknęła dziewczyna.

Wrócili do osady, zaprowadzili konie do stajni starego Maciejaka, po czym Hubert i Iza poszli do starej szkoły. Okazało się, że stan psychiczny więźnia nie poprawił się ani odrobinę.

– I co z nim teraz? – zapytał Hubert.

– Jak nic od gościa nie wyciągniemy, a choć trochę dojdzie do siebie, to go wypuścimy – odparła Iza.

– A jak nadal będzie taki szurnięty?

– Jego strata.

– Jak to? Chcecie wyrzucić chorego na umyśle? A jeśli coś go zaatakuje?

– To już nie nasz problem. – Do kuchni wszedł Sołtys. – My go tu nie zapraszaliśmy, nie będziemy też utrzymywać darmozjada. Poza tym nigdy nie wiadomo, czy któregoś dnia nie odbije mu szajba i nie rzuci się na kogoś. Jeżeliby pozarzynał dzieci, to moglibyśmy wówczas winić wyłącznie siebie, że trzymaliśmy w osadzie takiego świra.

– Uhm – mruknął Hubert.

„Ma rację – pomyślał. – Ale ja bym nie chciał podejmować takiej decyzji, to jak skazanie człowieka na śmierć... Sołtys to facet z jajami. Może jednak więzień dojdzie do siebie i sam podejmie decyzję, by odejść”.

Przez następne dni cała wieś żyła ostatnimi wydarzeniami. Ludzie zaczęli opowiadać różne bzdury, co stało się w lesie podczas wesela. Okazało się nawet, że byli tacy, co widzieli wtedy jakąś bestię. Co ciekawe, według różnych sprawozdań raz miała wielkie kły, potem olbrzymie rogi, a innym razem nawet latała. Parę osób twierdziło, że w nocy słyszały dzikie wycie i dziwne hałasy po drugiej stronie palisady. Strażnicy wraz z Sołtysiem przypisali to bujnej wyobraźni mieszkańców i chęci bycia w centrum uwagi.

Nie minął tydzień, kiedy rany intruza zagoiły się na tyle, by można go było wypuścić w świat. Wszyscy jednomyślnie uznali, że trzeba wypędzić go ze wsi, aby nie ściągnął na osadę jakiegoś nieszczęścia.

„Ale zabobon – pomyślał Hubert z niesmakiem. – Jeszcze gotowi go ukamienować. Chociaż w sumie facet zasłużył na swoje. Nic już nie możemy dla niego zrobić”.

Iza, Marek, Henryk i Adam rano wyprowadzili spętanego więźnia poza osadę, rozwiązali, dali nóż, żeby w razie czego mógł się obronić, i zostawili samego na drodze wiodącej przez środek pola dojrzewającej pszenicy.

Hubert miał wtedy wartę przy bramie i obserwował ich przez lornetkę. Intruz stał w miejscu, w którym go zostawili. Bezmyślnie patrzył przed siebie. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co zrobić z podarowanym nożem.

– Wygląda żałośnie – powiedział chłopak.

– Cóż, sam sobie zgotował taki los – skonstatował Mikołaj, ale widać było, że i jemu żal złodzieja.

Przez cały dzień obcy błąkał się po polach otaczających Świącino. Pojękiwał, co chwila kulił się ze strachu, gdy zaszumiały w oddali drzewa albo ptaki przelatywały mu nad głową. Jednak mieszkańcy osady pozostawali nieugięci. W tych czasach trzeba było dbać o siebie i swoich bliskich. O nikogo więcej. Nauczyli się już, że obcym nie należy ufać.

Ustalono, że w nocy postawią podwójne warty, dwóch strażników stało na bramie, dwóch innych przez cały czas miało patrolować wieś.

Wieczorem Hubert wybrał się w gości do Marka. Ela poczęstowała go ciastem i herbatą z ziół. Sama usiadła na fotelu w kącie pokoju i coś szyła. Starszy strażnik namówił chłopaka i Anię na karty.

Grali właśnie w pokera na zapalki i, o dziwo, obaj mężczyźni przegrywali z Anią, która zadowolona jak kotka siedziała przed coraz większym stosikiem drasek.

– Więcej z nią nie gram – burzył się Hubert. – Ona musi oszukiwać!

– Nie oszukuję! – broniła się dziewczyna.

– To niemożliwe, żebyś ciągle wygrywała!

– A ja słyszałam, że kobiety potrafią najlepiej blefować, o!

– Aha, jasne, pewnie gdzieś masz poukrywane karty. – Hubert zajrzał pod stół, ale nie znalazł tam nic podejrzanego.

– No, dzieci, nie kłócić się, gramy dalej – przywołał ich do porządku Marek.

Strażnik rozdał karty.

Hubert spojrział, co mu się trafiło. Był na najlepszej drodze do strita. Niespodziewanie przypomniał mu się sen, jaki miał kilka nocy wcześniej.

„Bies atakuje tylko w mroku – powiedział Ernest. – Jak kogoś naznaczy, będzie szedł jego tropem, aż go dopadnie”.

– To był bies – wyszeptał, po czym zerwał się z krzesła, aż je wywrócił, i wybiegł z domu.

– A jemu co? – zdziwił się Marek.

Hubert pędził przez wieś tak szybko, jak mógł. Puścił się na skróty przez czyjś ogródek. Jednym susem przesadził płot. Gdzieś w kącie podwórza rozszczękał się pies. „Atakuje tylko w mroku” – słowa te dudniły mu w głowie.

„Słyszałam w nocy wycie, coś uderzyło w palisadę od zewnątrz” – tak mówiła jedna z kobiet.

„Jak kogoś naznaczy, będzie szedł jego tropem, aż go dopadnie”.

„On go zabije, zabije go – myślał gorączkowo. – Czekał tylko na zmrok”.

Dopał do wartowni przy bramie i niemal się przewrócił.

– Stało się coś? – zapytał Jacek.

Chłopak pochylił się, próbując złapać oddech.

– To... był... bies... – wydyszał.

– Co? O czym ty mówisz? – Adam podał mu butelkę z wodą.

– Gdzie... jest złodziej? Kiedy ostatnio go... widzieliście?

– Bo ja wiem? – Jacek podrapał się w głowę. – Jakoś zanim zapadł zmrok. Pomyślałem, że wreszcie poszedł do siebie, a co?

– Zaatakował go bies, teraz go wykończy, czekał tylko na noc.

– Co? Jaki bies? – Jacek uniósł brwi.

– No i co nam do tego? – zachnął się Adam.

– Nie rozumiecie? Mamy wabik na nowego demona z naszego lasu. Jeżeli teraz go nie zabijemy, to następnym razem może zaatakować kogoś z nas! – niemal wykrzyczał Hubert.

– Ale jesteś pewny, że to demon? – zapytał Jacek.

Młody strażnik kiwnął głową.

– Dobra, to ja idę po innych, wy tu poczekajcie – odezwał się Adam.

– Jak go zabić? – zapytał Jacek, kiedy zostali we dwóch.

– Co?

– Jak zabić tego biesa?

– Ehm, nad tym nie myślałem – odparł chłopak.

– Daj spokój, wiesz, co to jest, to musisz wiedzieć, jak to wykończyć.

Hubert przetarł dłońmi twarz. Próbował, naprawdę próbował sobie cokolwiek przypomnieć, ale miał pustkę w głowie.

– Przepraszam, naprawdę nie mam pojęcia – powiedział cicho.

– Dobra, weźmiemy broń, jaką tylko mamy, do tego pochodnie, może sieć?

Chłopak pokiwał głową z wdzięcznością.

Nagle usłyszeli gdzieś w oddali wrzask. Jeszcze bardziej przerażający niż wtedy podczas wesela. Dwaj strażnicy spojrzeli na siebie, krzyk nie milnął. Huberta przeszły ciarki. Wydawało się, że wrzask się nie skończy, aż niespodziewanie ucichł. Czekali na jakiś dźwięk, cokolwiek, co podpowiedziałyby im, co robić dalej. Niestety, w uszach dzwoniła tylko cisza.

– Za późno – szepnął Hubert.

Wtedy podbiegli do nich pozostali strażnicy, Sołtys, Iza i kilkoro mieszkańców osady.

– On już chyba nie żyje – przyznał Jacek.

– Ty, ty i ty zostajecie na bramie. – Marek wskazał palcem trzech mężczyzn. – W razie czego strzelajcie w powietrze. Pozostali idą zwartą grupą, nie oddalamy się od siebie.

Pokiwali głowami, po czym ruszyli w ciemność.

– Nic nie widać – szepnął ktoś. – Jesteście pewni, że to tu?

– Nie, nie jesteśmy – odparł Jacek. – Ale to było gdzieś w okolicy. Zresztą bies mógł zawlec gdzieś ciało i ukryć je tak, że go nie znajdziemy.

Szukali przez trzy godziny i nie znaleźli żadnego śladu. W końcu uznali, że nie będą dłużej się narażać na atak bestii, i wrócili do osady. Niektórzy poszli do domów, lecz strażnicy i kilku cywili zebrali się w piwnicy szkolnej.

– A więc co to było? – zapytała Iza, kiedy wszyscy usiedli.

Nikt się nie odezwał, dopóki Jacek nie trącił Huberta łokciem w żebra.

– Wydaje mi się, że bies – odpowiedział chłopak.

– A skąd czerpiesz tę wiedzę?

– Ehm, nie wiem, tak mi się przypomniało...

– Chłopak mówi prawdę – odezwał się Marek. – Graliśmy w karty, kiedy zerwał się jak opętany i pobiegł do wartowni.

– Dobrze, a co możesz o tym demonie powiedzieć? – zapytał Stanisław.

– Wiem, że atakuje tylko w mroku – zaczął Hubert. – Jak ktoś mu umknie, to jest osłabiony fizycznie, ma zwidy i zachowuje się jak schizofrenik. A gdy bies kogoś naznaczy, to będzie ścigał, aż go dopadnie.

Na sali zapadła cisza.

– No to dobrze, że wypuściliśmy faceta – stwierdził Adam. – Inaczej ten bies wdarłby się do osady.

To by było na tyle. Umarł człowiek, zginął śmiercią przykrą i okrutną, ale nie mieszkał w Świącinie, był obcy. A los obcych rzadko kiedy obchodził mieszkańców osady. Najważniejsze, że nie sprowadził na nich kłopotów. Przynajmniej na razie.

Ludzie zaczęli wychodzić z piwnicy. Iza jednak zatrzymała Huberta w drzwiach.

– Dobrze, a teraz tak na serio – odezwała się, kiedy zostali sami. – Skąd to wiedziałeś?

– Uwierzysz mi, jak powiem, że we śnie nawiedził mnie mój martwy przyjaciel i mi to zdradził?

– Nie.

– No to nie pytaj. Chodźmy, odprowadzę cię do domu.

– Myślisz, że sama nie trafię? – oburzyła się. – Że potrzebuję ochrony?

Hubert wzruszył ramionami. W ostatnich tygodniach wszyscy starali się unikać chodzenia po ciemku po wsi, jednak Iza najwyraźniej uważała, że ta reguła jej nie dotyczy.

– „Liczą się szczegóły”, tak powiedziała Ela. Trzeba zachować z tamtego świata wszystko, co było dobre. W tym zwyczaj odprowadzania kobiet do domu. Nieważne, że czasem biją się lepiej niż niejeden facet.

– Jak chcesz – burknęła dziewczyna i wyszła.

Hubert podążył za nią, jednak niewiele mówił. Musiał to wszystko przemyśleć. Iza zresztą też nie była zbyt rozmowna.

## ROZDZIAŁ VIII

Następnego dnia Hubert wstał wcześniej rano. Zamierzał zjeść śniadanie, kiedy wpadła do niego Ania z koszykiem pełnym warzyw.

– Czym sobie zasłużyłem na takie smakołyki? – zapytał, gdy kładła na stół ogórki, pomidory, marchewkę.

– Moja mama cię lubi – odpowiedziała. – A poza tym wszyscy wiedzą, że masz najbardziej zachwaszczony ogródek we wsi.

– Wcale nie – obruszył się. – Wczoraj znalazłem tam dziką cebulę.

– Będziesz musiał zrobić z tym porządek w przyszłym roku. Przekopać ziemię, zasiać coś na wiosnę...

– Ale ja się na tym nie znam!

– Najwyższy czas się nauczyć – roześmiała się.

„Ja i ogródek. Mama własnym oczom by nie uwierzyła”.

– Aha, pamiętaj tylko, żeby to, co dostaniesz od innych jesienią, dobrze zabezpieczyć na zimę – odezwała się po chwili.

– To znaczy?

– Jabłka w siano, marchew w piasek i do piwnicy, cebulę na strych...

– Boże, to zbyt skomplikowane jak dla mnie... – Pokręcił głową.

– To jak ty żyłeś do tej pory?

– Uwierz mi, nie mam pojęcia – westchnął.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Tata mówił, że prawdopodobnie za tydzień pojedą na szaber – odezwała się Ania.

– Kto?

– Na pewno mój tata, Iza, może też Henryk... – Zamyślona stuknęła kilka razy palcem wskazującym w brodę. – Ostatnim razem wzięli Łukasza, bo to silny mężczyzna, ale teraz, kiedy jest świeżo po ślubie, to nie wiem...

Hubert pokiwał głową. „Ciekawe, czy Iza pogadała już z ojcem na temat mojego udziału w wyjeździe” – zastanawiał się.

– Hubert? – nagle dobiegł go głos Ani.

Otrząsnął się z zamyślenia. Dziewczyna patrzyła na niego wyczekująco. Najwyraźniej mówiła o czymś, a on jej przecież nie słuchał.

– Wiesz co, przepraszam, muszę lecieć do stajni – wykręcił się.

– Ale... – zaprotestowała nieśmiało, lecz Hubert wszedł już do sypialni, żeby zabrać broń, i po chwili wyprowadził dziewczynę na dwór.

– To na razie. – Machnął Ani ręką i pobiegł do stajni Maciejaka.

Tak jak przypuszczał, boks konia Izy był jeszcze pusty. Córka Sołtysa pojechała na patrol z Mikołajem, o ile dobrze pamiętał grafik. Ale niebawem powinni wrócić.

– O, dobrze, że jesteś. – Chłopak odwrócił się i zobaczył zaczerwienioną twarz Maciejaka.

– Tak? – zapytał niechętnie.

– Trzeba zamocować drzwi od jednego boksu. Stare się rozwały i należało zrobić nowe.

– Aha – mruknął Hubert. – To gdzie one są?

– Chodź. – Stary pijak wyszedł ze stajni, pokazał młodemu drzwi i na tym praca Maciejaka się skończyła. Najwyraźniej uznał, że strażnik sam sobie lepiej poradzi z problemem, i znikł gdzieś za rogiem stajni.

– Mogłem się domyślić, że tak będzie – marudził pod nosem chłopak, taszcząc ciężkie drzwi.

Po kilku minutach zmagania udało mu się zamocować je z powrotem w zawiasach.

– No. – Wyprostował się i otarł pot z czoła.

Sprawdził jeszcze tylko, czy sprawnie się otwierają i zamykają. Usłyszał nieprzyjemny zgrzyt.

– Ale oliwić to mu ich nie będę – stwierdził.

– A ty z kim rozmawiasz? – Mikołaj wprowadzał właśnie konia do stajni.

– Ze sobą. A co, nie można?

Zaraz za strażnikiem do budynku weszła Iza ze swoim wierzchowcem. Bez słowa zaczęły zdejmować siodła.

- Co się tak spieszysz? – zapytał Hubert, widząc nerwowe ruchy Mikołaja.
  - Śniadania jeszcze nie jadłem – mruknął stróż.
  - Jak chcesz, to mogę się zająć twoim koniem. I tak nie mam teraz nic do roboty – stwierdził nonszalancko.
  - Jesteś pewien? – Mikołaj przyjrzał mu się uważnie, najwyraźniej doszukując się jakiegoś podstępu.
- Jednak głód zwyciężył i starszy strażnik oddał konia pod opiekę Hubertowi.
- Od kiedy stałeś się taki pracowity? – zapytała Iza, kiedy zostali sami.
  - Od zawsze, nie zauważyłaś?
  - Jakoś nie bardzo.

Chłopak zabrał się do czyszczenia kopyt, a kiedy skończył, napomknął z udawaną obojętnością: – Słyszałem, że za tydzień jedziecie na szaber.

- Dobrze słyszałeś – odburknęła Iza.

Hubert wyczuł nutkę złości w głosie dziewczyny, co go zastanowiło.

- Coś się stało? – zapytał ostrożnie.
- Ojciec usiłuje znaleźć pretekst, żebym nie jechała – powiedziała, tłumiąc wściekłość.
- Jak to?

– No po prostu. Że to niby niebezpieczne i takie tam. A poza tym twierdzi, że teraz jest dużo pracy w osadzie przy zbiorach. I jeszcze ojciec Adrian mu przytaknął!

- To niefajnie – odezwał się.

– Niech nawet nie myśli, że tu zostanę – warknęła. – Na pewno pojedę, nie będę siedziała ciągle na tyłku!

– Jesteś ostatnią osobą, o której bym pomyślał, że ciągle siedzi na tyłku – zażartował, ale jej to najwyraźniej nie rozśmieszyło. – A rozmawiałas z nim o moim udziale w szabrze?

- Tak, nie zgodził się – burknęła.

Hubert był zawiedziony.

– Zależy mi na tym, żeby pojechać – odezwał się ciszej, postanowił uderzyć w inną nutę. – Uważam Święcino za swój dom, ale też jestem już trochę zmęczony siedzeniem tutaj.

Iza spojrzała na niego, ale nie skomentowała.

Tego popołudnia Hubert wybrał się na polowanie ze Stanisławem. Chodzili po lesie przez trzy godziny, aż w końcu wypatrzyli na niewielkiej polanie dwie sarny i jednego koziołka.

Chłopak bez zbędnych ceregieli przyłożył strzelbę do ramienia.

- Poczekaj – szepnął stary strażnik. – Nie mamy pewnego strzału.

„No jasne – pomyślał Hubert – stary myśliwy nigdy nie strzeli, dopóki nie ma pewności”.

Miał wrażenie, że już nieraz zdarzało mu się strzelać z większej odległości. Nie zawsze celnie. Cóż, człowiek ciągle uczy się czegoś nowego. A kiedy jest młody i głodny, to nie przejmuje się żadnymi ograniczeniami.

– Boże – szepnął, pozostając z tyłu. Już po raz wtóry czuł deja vu. Ale w jego przypadku było to coś więcej niż złudne wrażenie, że sytuacja miała miejsce wcześniej. Coś podobnego z pewnością mu się kiedyś przydarzyło i powoli zaczynał sobie przypominać obrazy z przeszłości. Niestety, nie mówiły one nic konkretnego. Ot, tylko że już kiedyś polował w lasach. Ale tego mógł się sam domyślić.

Z zamyślenia wyrwał go huk wystrzału. Koziołek padł na ziemię, sarny uciekły spłoszone.

- Co ty odstawiasz? – zapytał Stanisław, opuszczając broń. – Skradamy się, a ciebie nagle bierze na przemyślenia.

– Przepraszam, zupełnie odleciałem na chwilę – mruknął chłopak.

Miał wrażenie, że stary strażnik zaraz powie „ech, ta dzisiejsza młodzież”. Razem podeszli do martwego koziołka.

- I co teraz? – zapytał Hubert.

– Nic, zaniesiemy go do wsi i tam sprawimy.

Zmierzchało, kiedy Hubert był wreszcie wolny. Nie miał ochoty siedzieć samotnie w domu, więc wybrał się w odwiedziny do Mariki. Usłyszał jednak, że nauczycielka jest u chłopaka, z którym tańczyła na weselu.

- Szybko się pocieszyła – mruknął, wracając do domu.

– A ty domu nie masz, że wieczorami włóczysz się po wsi? – usłyszał oskarżycielski głos.

– A ty? – Odwrócił się i zobaczył Izę.

– Ja byłam u Henryka – powiedziała.

– I co?

– Nic. – Wzruszyła ramionami.

Szli w milczeniu, piasek chrząścił pod butami. Nad domami pokazał się księżyc. Był ciepły, letni wieczór.

– Za tydzień jedziesz z nami na szaber – odezwała się po chwili Iza.

– Poważnie? Udało ci się namówić ojca, żeby zgodził się na twój i mój wyjazd?

– Zrobiłam taką awanturę, że dał mi wolną rękę, a Henryk poparł twoją kandydaturę.

Hubert siedział znudzony na koniu. Już od pół godziny czekał, aż Iza i Kasia sprawdzą, czy zabrali ze sobą wszystko, co potrzebne. W końcu z aprobatą skinęły głowami.

„Nareszcie” – pomyślał z ulgą.

Sam zapakował niewiele rzeczy. W sumie zabrał prawie cały swój dobytek, łącznie ze starym zdjęciem z rodzicami. Wolał mieć przy sobie wszystkie te rzeczy, na wypadek gdyby jakimś cudem już nie wrócił do Świącina. W domu zostawił jedynie część amunicji, kilka granatów i strzelbę.

Zobaczył jeszcze, jak Sołtys niezgrabnie obejmuje Izę, a ojciec Adrian całuje ją w policzek. Chłopak miał wrażenie, że ksiądz powiedział jej coś na ucho, patrząc przy tym podejrzliwie na Huberta. Tylko on i Henryk nie mieli się z kim żegnać.

I tak wyruszyli na szaber.

Henryk, Hubert i Iza jechali wierzchem, Marek prowadził jeden wóz zaprzężony w dwa konie, a drugi Łukasz z Kasią, która uparła się, że po ślubie nie zamierza sama zostawać w domu...

Trasa podróży była wcześniej szczegółowo zaplanowana, choć Huberta nikt nie pytał o zdanie. Mieli zajechać do kilku wsi po drodze, ale największe nadzieje pokładali w miasteczku. Od paru lat było opuszczone, sądzili więc, że znajdują tam dużo niezniszczonych przedmiotów.

„Przecież nie wszystko da się wymienić na targu – myślał Hubert. – A poza tym nie powinno się tak uzależniać od miastowych. Lepiej na własną rękę coś znaleźć”.

Wieczorem dojechali do niedużej polany nad rzeką.

– Tu się rozbijemy – oznajmił Henryk.

Hubert rozpałił ognisko, Kasia zaczęła przygotowywać kolację, Marek nazbierał drewna, a Iza poszła po wodę. Henryk zajął się rozbijaniem namiotów. Huberta zaciekawilo, jak będą spali, w końcu mieli je tylko trzy.

Kasia wyczarowała pyszny gulasz, który zjedli z chlebem.

– Oplacało się ciebie zabrać – przyznał z uznaniem Henryk. – Iza nie ma za grosz talentu do gotowania.

– Spadaj, następnym razem ty będziesz pichcił – oburzyła się Iza.

– Następnym razem znów zabierzemy Kasię. Od tej pory nigdzie się bez niej nie ruszamy.

Kasia zaśmiała się nerwowo. Raczej nie nadawała się do chodzenia z bronią i Hubert podejrzewał, że będzie z niej marny pożytek, ale za to w kuchni spełniała się jak nikt inny.

– To jaki mamy plan na jutro? – zapytał Hubert.

Iza z westchnieniem wzniosła oczy ku niebu.

– Ty zawsze jesteś ze wszystkim do tyłu – zauważyła.

– Taki już mój urok.

– Trzeba było się zainteresować wcześniej – mruknęła.

Wieczorem posiedzieli przy ognisku, pogadali i dość wcześnie położyli się spać. Pierwszą wartę przez godzinę pełniła Kasia, oczywiście Łukasz uparł się, że musi dotrzymać jej towarzystwa. Potem obozu miała pilnować Iza, a następnie mężczyźni, każdy przez półtorej godziny. Hubert był zaskoczony, że jemu nie przydzielono najgorszej, przedostatniej warty.

Namiot dzielił z Henrykiem.

– Mam nadzieję, że nie chrapiesz – mruknął, wchodząc do środka na czworakach.

– A ty nie próbuj się rzucać na boki, bo ci przyłożę – zagroził były wojskowy.

– Układ wydaje się fair – stwierdził, zawijając się w śpiwór.

W namiocie obok spały dziewczyny, a w ostatnim Marek z Łukaszem. Hubert zastanowił się, dlaczego nowożeńcy nie śpią razem, ale uznał, że to pewnie ze względu na Izę, by nie musiała dzielić namiotu z żadnym facetem.

Wstali o siódmej rano, zjedli śniadanie, Kasia zaparzyła kawę, ogarnęli obóz i godzinę później byli już gotowi do drogi.

– Raczej nic tu nie znajdziemy – odezwał się Marek, patrząc na zrujnowane domy. – Ale warto się rozejrzeć.

Dotarli właśnie do pierwszej opuszczonej wsi.

– To czego szukać? – zapytał Hubert.

– Wszystkiego, co może się przydać – odparł Henryk. – Kosmetyków, leków, ubrań, maszyn, części od nich, a nawet pościeli. Myślę, że niejednemu przydałaby się świeża, miękka kołdra.

– Mnie w szczególności – powiedział chłopak. – Pierzyny jeszcze sprzed drugiej wojny światowej i pewnie potopu szwedzkiego, których nikt nie chciał wziąć do siebie, średnio mi pasują, a tylko takie zostawiła nieboszczka Niwicka.

Wszyscy zaśmiali się nerwowo. „A pewnie, śmiecie się – pomyślał Hubert. – I tak wiem, że czujecie się winni. Nowemu daliście najgorszą chałupę z rozpadającymi się meblami, a potem jakoś nikt się nie zainteresował, czy nie potrzebuję czegokolwiek. Ale zamierzam się nieźle obłowić i tak się urządę, że jeszcze mi pozazdrościcie”.

Zastanawiał się nawet, czy nie poprosić Mariki, żeby pomogła mu zadbać o wystrój wnętrza. Szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu, dochodząc do wniosku, że wówczas wszędzie w mieszkaniu miałby różowe zasłony i koronki.

Konie i wozy zostawili w centrum wsi, po czym każdy ruszył w swoją stronę.

Hubert wszedł do pierwszego lepszego domu, ale nie miał zbyt wielkich nadziei, że znajdzie tam cokolwiek zdanego do użytku. Dawno temu ktoś wyważył drzwi, powybił szyby i poniszczył wszystko w środku. Na ścianach załęgł się grzyb, na dywanach wyrósł mech. Chłopak rozejrzał się po zdewastowanych pokojach, pozagłądał do szafek, które były jeszcze całe, ale nie znalazł w nich nic cennego ani chociażby przydatnego. Na piętro nie wszedł, bał się, że chałupa runie.

Zajrzał jeszcze do kilku podobnych domów, ale rezultat był taki sam. Wkrótce spotkał się z innymi przy wozach.

– I jak? – zapytał Henryk.

– Wszystko spleśniałe i zbutwiałe – powiedział Marek.

– Ja znalazłam trochę ubrań – odezwała się Kasia. – Ale w oplakanym stanie.

– Nie martwcie się. I tak nie sądziliśmy, że zastaniemy tu coś ciekawego – pocieszył ich Henryk. – A tam, w tamtej chałupie, ktoś był? – Wskazał dom na końcu wsi.

Pokręcili głowami.

– To ja skoczę – zadeklarował Hubert.

– I tak nic tam nie znajdziesz! – zawołała za nim Iza, ale chłopak był już w połowie drogi.

– Zobaczmy! – odkrzyknął.

Wszedł do domu, który tak samo jak pozostałe wydawał się całkowitą ruiną.

– Nic, nic i tu też nic. – Hubert po kolei zagłądał do wszystkich pokoi.

W kuchni znalazł dwie konserwy. Na wszelki wypadek wsadził je do bocznych kieszeni w spodniach. Potem wszedł na piętro. Na schodach musiał być ostrożny, żeby nie nadepnąć na jakąś zbutwiałą deskę, która by się pod nim zarwała. Góra wyglądała lepiej niż parter, tutaj nawet jedno czy dwa okna były całe. Jednak sufit prezentował się smętnie. Widniały na nim zacieki z wody i kolorowy grzyb.

– Tu był barek! – krzyknął Hubert, widząc porozbijane butelki.

Miał nadzieję, że któraś przetrwała w nienaruszonym stanie. Zaczął delikatnie rozkopywać szkło i jego oczom ukazała się pełna, nieotwarta butelka taniej wódki.

– Ale czad – ucieszył się.

Wsunął butelkę do kieszeni obok konserw. Nagle usłyszał trzask. Tynk na suficie zaczął się kruszyć i sypać mu na głowę. Hubert zrobił krok w kierunku wyjścia z pokoju, ale wtedy uświadomił sobie, że nad schodami sufit był najbardziej pochylony. Jeżeli dach ma się zawalić, to zaczniesz właśnie tam.

– I co teraz, geniuszu? – zapytał siebie.

Wtem kątem oka zobaczył daszek dobudówki za oknem. Trzaski były coraz częstsze i głośniejsze.

Krzeseł usunął ostre resztki szyby i ostrożnie, acz pospiesznie, wyszedł z budynku. W tym samym momencie dach opadł niżej, a kiedy chłopak zeskoczył z przybudówki na ziemię, stara chałupa złożyła się jak domek z kart.

Usłyszał krzyk, chyba Kasi. Otrzeptał spodnie z kurzu i przez gęste krzaki zaczął przedzierać się do drogi.

– Hubert! – wołali mężczyźni ze strachem w głosie.

– Jestem! – odkrzyknął, ale najwyraźniej go nie usłyszeli.

Zdawało mu się, że nawet Iza go wołała.

– Żyj! – krzyknął, wychodząc z krzaków.

Krzak jeżyny zahaczył mu o rękę i boleśnie zdarł naskórek.

– Cholera – mruknął, wyplątując się z roślin.

Wtedy podniósł głowę i zobaczył pięcioro bladych i przestraszonych przyjaciół.

– Martwiliście się o mnie – powiedział z satysfakcją.

Henryk pokręcił z dezaprobatą głową, Kasia się uśmiechnęła, a Iza obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wozów.

– Idiota – skwitował go Marek. – Taki to zawsze ma szczęście.

Hubert z zadowoleniem wyszczerzył zęby.

– Jedziemy, zanim ten tu coś jeszcze zrujnuje – rzucił kąśliwie Henryk.

– A nawet nie pytacie, co znalazłem. – Chłopak wyjął z kieszeni wódkę.

– Będzie na wieczór. – Marek puścił do niego oczko. – Noce są coraz chłodniejsze. Ruszyli w drogę. Iza się trochę boczyła na Huberta, Henryk kiwając się w siodle, usiłował wyczytać coś z mapy, więc chłopak postanowił pogadać z Kasią i Łukaszem. Na razie poruszali się dość szeroką i dziurawą drogą asfaltową, więc mógł spokojnie jechać stępą obok wozu.



– Gdzie dzisiaj nocujemy? – zagadnął.

– Przed wieczorem powinniśmy dotrzeć do kolejnej małej wioski – odpowiedziała Kasia.

– Tak samo zrujnowanej?

– Uhm. – Kiwnęła głową. – Tylko tym razem nie wchodź tam, gdzie nie powinienes. Naprawdę się o ciebie martwiliśmy. Myślałam, że już po tobie.

– Oj tam. – Machnął ręką. – Nie tak łatwo mnie załatwić.

Łukasz podniósł brwi i spojrzał na niego dziwnie.

„No tak, przy nim wyglądam jak kurdupel” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

Jechali przez kilka godzin asfaltem. Co chwila trzeba było usuwać z drogi gałęzie, czasem stare, rozbite pojazdy albo wyciągać wozy z dziur, gdy w nich utknęły. Jednak późnym popołudniem trafili na przeszkodę nie do obejścia. Na drodze leżał olbrzymi buk. Pobocze z jednej strony było porośnięte gęstym lasem, a z drugiej tak strome, że konie nie dałyby rady po nim zejść, nie mówiąc już o ściągnięciu wozów.

– I co teraz? – zapytał Hubert.

Henryk z Markiem obeszlą buk z każdej strony, niestety nie znaleźli rozwiązania.

– Nie ma szans – powiedział były wojskowy.

– Żadnych? – Iza przetarła dłońmi twarz.

Łukasz zeskoczył z wozu i obejrzał drzewo, ale także nie miał pomysłu, jak je ominąć. Kasia siedziała spokojnie i czekała na decyzję innych.

– Musimy wrócić do ostatniego zjazdu i tam spróbować szczęścia – zaproponował Marek, rozwijając na ziemi mapę.

– Spójrzcie, przed nocą powinniśmy dotrzeć do tej wioski, a jutro przed południem uda nam się wjechać na zaplanowaną trasę.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – Iza pokręciła głową. – Nie wiemy, co tam jest. Nikt wcześniej nie zapuścił się w tamte okolice. To nie jest bezpieczne.

– Ano nie jest – westchnął Henryk. – Ale nie mamy innego wyjścia. Zawracamy. Zawrócili wozy. Droga, w którą skręcili, nie prezentowała się najlepiej, ale była przejezdna. Hubert próbował odczytać z twarzy Henryka, co ten myśli, jednak bezskutecznie. Za to odczucia Izy widział jak na dłoni: nie podobała jej się nowa trasa. Chłopak nie sądził, żeby się bała, ale najwyraźniej martwiła się o wszystkich. No i raczej nie lubiła zmieniać planów.

Słońce, ukryte za chmurami, wisiało coraz niżej nad horyzontem, aż zaczęło się za nim chować. Wszyscy stali się trochę nerwowi. Nie chcieli, żeby zmrok zastał ich w drodze. Szczególnie na nieznanym terenie.

– Będzie padać w nocy – zapowiedział Henryk, patrząc na niebo.

Ciemne chmury wisiały nisko nad ziemią.

Hubert starał się zachować pogodę ducha i gawędzić z innymi, ale Iza zmroziła go takim spojrzeniem, że wołał się uciszyć.

– Widzę tam coś! – zakrzyknął, kiedy las się przerzedził. Na horyzoncie majaczyły zarysy budynków.

– W końcu – odetchnął Marek.

Wjechali do wsi, a to, co tam zobaczyli, przekroczyło ich najśmielsze marzenia. Wszystko prezentowało się tak nienagannie, jak tylko mogło po siedmiu latach od wyludnienia. Wszędzie rosły krzaki i chwasty, na ulicach wały się zniszczone samochody, jednak domy były w dobrym stanie. Wiele z nich zamieszkały dzikie zwierzęta, ale w licznych ocalały nienaruszone okna i drzwi.

Jechali główną drogą, rozglądając się i nie mogąc uwierzyć własnym oczom. W jednym z ogródków czaił się pies. Z zainteresowaniem obserwował poczynania ludzi.

– Boże, ile tu będzie fantów – szepnęła Kasia.

– Pięknie się obłowimy – przyznał Marek.

– Ale to dopiero jutro. – Henryk ostudził ich zapał. – Teraz znajdziemy miejsce do spania. Wioska nam nie ucieknie.

Pokiwali niechętnie głowami. Wiedzieli, że były wojskowy ma rację, nie mogli się jednak doczekać odkrywania skarbów.

Na nocleg wybrali dość duży dom. Drzwi miał podrapane od psich i lisich pazurów, ale były na tyle mocne, że żadne zwierzę nie wdarło się do środka. Łukasz otworzył je łomem. Wewnątrz panował względny porządek, nie licząc kurzu i pajęczyn. Na parapetach leżała warstwa martwych owadów. Gdzieś w szafkach zaległy się myszy, lecz i tak było tu o niebo lepiej niż w poprzedniej miejscowości.

Zaprowadzili wozy na podwórko za budynkiem, a konie spętali w ogrodzie. Przenieśli część swoich rzeczy i zrzucili je na kupkę w salonie. Podekscytowana Kasia wraz z Łukaszem zaczęli przetrząsać kuchnię. Henryk z Markiem kręcili się po parterze i zajrzeli do piwnicy, a Iza z Hubertem weszli na piętro i strych. Lepiej wiedzieć, co jest w domu, zanim człowiek zdecyduje się w nim spać.

Chłopak po kolei zaglądał do pokoi, przetrząsał w nich szafy i wszystkie kąty, gdzie mogłoby się coś kryć. Zwrócił uwagę, że opustoszałe pomieszczenia nic nie mówiły o poprzednich właścicielach. Kim byli, jak stąd odeszli, nawet ile mieli lat.

Dotarł do ostatnich drzwi i je otworzył. Wpierw ujrzał ogromne łóżko. Leżały na nim kości człowieka. Musiały spoczywać w tym miejscu od dawna, miały brudnoszary kolor i nie wydzielały żadnego zapachu. Materac pod nimi były lekko zapadnięty, pościel pomarszczona i poplamiona. Wszędzie wokół wałało się pełno brązowych kokonów po poczwarkach much. Hubert zauważył na podłodze pod łóżkiem wielką plamę. Zemdlilo go, gdy sobie wyobraził, co przez te wszystkie lata działo się z nieboszczykiem, jak tkanki miękkie powoli się rozkładały, jedzone przez stada much i innych owadów.

Skrzywił się.

– Jak te wszystkie psy i lisy, które zwabił ten odór, musiały się wściekać, nie mogąc się dostać do środka.

Ogarnął go żal, że ktokolwiek to był, umarł samotnie. Podejrzewał, że ludzi z tej wsi zaatakowała grypa. Nie zdążyli zrobić czegokolwiek, by obronić się przed zarazą, która wszystkich zabiła, a potem świat zapomniał o tak małej i nic nieznaczącej miejscowości.

Hubert wszedł do pokoju i przejrzał wszystkie szafy i kąty. Znalazł trochę męskich ubrań i kilka rzeczy osobistych, nic więcej.

– A więc byłeś samotny? – rzucił w kierunku leżących na łóżku kości. – Czy może żona i dzieci cię zostawiły podczas epidemii? Albo zachorowała i zawiozła ją do szpitala, lecz wkrótce się okazało, że i ty jesteś chory? A tobie już nie miał kto pomóc...

– Hubert? – do pokoju weszła Iza. Spojrzała na chłopaka, potem przeniosła wzrok na trupa na łóżku. – Gawędzisz z nim sobie?

Hubert wzruszył ramionami.

– Co z nim robimy? – zapytał.

– Nic – odpowiedziała. – Nie będziemy zakłócać jego spokoju. W drzwiach jest kluczyk. Sprawdź, czy nie ma tu nic wartościowego, i zamknij pokój.

Wycofała się na korytarz.

– Aha... i nie mów o tym Kasi – dodała. – Będzie spać spokojniej, myśląc, że jesteśmy tu sami.

– Ciebie to nie rusza? – zapytał.

– A co ma mnie ruszać? – zdziwiła się. – Przecież to nie mój pierwszy szaber.

– No tak – mruknął, po czym wyszedł z pokoju i zamknął drzwi na klucz.

„Pewnie się jeszcze natkniemy na trupy – pomyślał – skoro ta wieś tak spokojnie wymarła. A może innymi zwłokami zajęły się zwierzęta...? Poza tym czy Iza jest tak bezduszna, czy tylko udaje? Nie spodziewałbym się po niej krzyków przerażenia na widok nieboszczyka, ale przecież zareagowała tak, jakby zobaczyła krzesło! A ja? Ile trupów musiałem widzieć, że mnie też tak bardzo nie obszedł?”

– Hubert! Gdzie ty żeś znowu zniknął?! – usłyszał wołanie Henryka z dołu.

Zbiegł ze schodków i dołączył do innych. Marek właśnie rozpałał w kominku.

– Sprawdziłeś, czy komin jest drożny? – upewnił się Hubert.

– Czy on ma mnie za idiotę? – Marek się skrzywił.

– A kto wie, co mu tam po głowie chodzi – stwierdziła Iza.

– Tu jest gaz! – nagle usłyszeli krzyk Kasi.

Nie wiedząc, co dziewczyna ma na myśli, Marek szybko zgasił zapalniczkę. Wszyscy pobiegli do kuchni.

– Patrzcie! Prawdziwy gaz! – krzyczała uradowana Kasia, odkręcając i zakręcając palnik od kuchni gazowej. – Znaleźliśmy pod zlewem butlę z gazem i myśleliśmy, że jest pusta, ale była ciężka, więc ją odkręciliśmy i kuchenka działa – szczebiotała podekscytowana dziewczyna. – Myślę, że powinno starczyć na ugotowanie porządnego obiadu.

Wszyscy już dawno temu przestali korzystać z kuchenek gazowych, gdyż nie mieli możliwości zdobycia butli z gazem. W okolicy Świącina kilkoro ludzi kiedyś nimi handlowało, ale gaz szybko się wyczerpał i trzeba było powrócić do starszego modelu kuchenek i pieców opalanych drewnem.

– Będzie się świetnie gotowało – trąkotała ucieszona Kasia.

– To my cię tu zostawiamy, nie będziemy przeszkadzać. – Henryk powoli wycofywał się z kuchni.

– Tak, w razie czego wołajcie – dodała Iza i się oddaliła.

– Ucieszyła się, jakby dostała prezent na Gwiazdkę – skwitował Hubert, kiedy wrócili do pokoju.

– Dziwisz się, taki luksus? – odparł Marek, powracając do rozpalania ognia w kominku.

– Ja tam nie wiem, nie znam się na gotowaniu. – Chłopak wzruszył ramionami.

Marek wyszedł na dwór poszukać suchego drewna, Iza z Henrykiem zaś w skupieniu pochylił się nad mapą i ustalali trasę na następny dzień. Hubert zaczął się nudzić.

– Napiłbym się kawy – westchnął, z utęsknieniem patrząc na drzwi od kuchni, za którymi szalała Kasia. Poczł lekkie ssanie w żołądku.

– To mnie też zrób – powiedział Henryk, nie odrywając wzroku od mapy.

– I mnie – dodała Iza.

Chłopak wstał z kanapy i ostrożnie zajrzał do kuchni. Obawiał się, że Kasia zagoni go do pomocy przy gotowaniu.

– Można kawy? – zapytał cicho.

– Zrób sobie – odpowiedziała dziewczyna. – Jeden palnik jest wolny, mogę ci wstawić wodę. Aha, kawa jest gdzieś w bagażach.

– Okej – powiedział i wymknął się z kuchni.

Wrócił po chwili z puszką, odszukał w szafkach kubki, znalazł nawet słoik z cukrem.

– A zanim się woda zagotuje, możesz pokroić cebulę – odezwała się Kasia, kiedy nasypywał kawy do kubków. – Tylko drobno.

– Wiedziałem – mruknął.

Ze Świącina zabrali ze sobą główkę kapusty, do której młoda kucharka dorzuciła trochę innych warzyw i kiełbasę.

Wyszedł z tego tak wielki gar bigosu, że nie byli w stanie zjeść nawet połowy.

– Będzie na jutro – ucieszyła się Kasia, wynosząc na wpół pełny garnek do piwnicy.

– Nie zepsuje się? – zapytał Hubert.

– Nie powinno, a zresztą teraz wszyscy mają bardziej odporne żołądki niż kiedyś.

Było jeszcze wcześniej, ogień wesoło palił się w kominku, podróżnicy poroziadali się na kanapach.

– Mam karty, możemy zagrać – zaproponował Marek.

– A co z moją wódką? – zapytał Hubert.

– Na stół ją – zdecydował Henryk.

– Zanim zaczniemy, trzeba sprawdzić, czy wozy są dobrze zabezpieczone na wypadek deszczu i czy z końmi wszystko w porządku – powiedziała Iza i wymownie spojrzała na Huberta.

– No dobra, idę – mruknął i leniwie podniósł się z kanapy.

Wyszli na zewnątrz. Noc była chłodna i bezgwiezdna, wiał lekki wiatr.

– Ty sprawdź ten wóz, ja następny – zadecydowała Iza.

Hubert upewnił się, że plandeka zakrywająca bagaże, których nie wnosili do domu, jest dobrze przywiązana i nie odfrunie podczas burzy.

– Co robimy z końmi? – zapytał po chwili, patrząc na podenerwowane wierzchowce.

– Nie wiem. – Iza rozejrzała się dookoła. – Dobrze byłoby znaleźć im schronienie na noc.

– A garaż? Gdybyśmy tak zamknęli bramę wjazdową i upewnili się, że w płocie nie ma dziur, mogłyby sobie chodzić po całym ogrodzie i podwórku, a w razie czego schować się w garażu – zaproponował Hubert.

– Dobrze, ja sprawdzę bramę, czy da się ją zamknąć, a ty garaż. – Iza kiwnęła głową.

W oddali ciemność rozświetlił błysk, potem rozbrzmiał głuchy grzmot.

Hubert zbliżył się do drzwi garażowych.

– Kurczę, kłódka – mruknął.

Poszedł do wozu po łom i otworzył nim drzwi. W garażu panowała ciemność, ale po chwili chłopak mógł dostrzec zarysy jakichś gratów. Samochodu nie było. Poprzesuwał śmieci na boki, tak żeby konie miały wystarczająco miejsca.

– Będzie trzeba przyjść tu za dnia i zobaczyć, czy jest coś ciekawego – powiedział do siebie.

– Gotowy? – Iza stanęła obok niego.

– No, już. A jak ogrodzenie?

– Wszystko pozamykane.

– No to wracamy na wódkę – ucieszył się.

Wtem w oddali usłyszeli rozdzierające wycie.

– Co to, do cholery, było? – zapytał chłopak, kiedy skowyt zamilkł. W głębi jego umysłu zapaliła się czerwona lampka. Miał wrażenie, że nie pierwszy raz w życiu słyszy taki dźwięk i że powinien się bać.

Konie nerwowo zastrzygły uszami.

– Nie wiem. – Iza pokręciła głową. – Wilki?

– Jakieś dziwne – mruknął.

– Są daleko, raczej nie powinny tu przyjść.

– Mam nadzieję, bo Maciejak by się wściekł, jakby coś pozżerało nam konie.

– Będzie trzeba ostrzec innych.

Kiedy zostawili konie i ruszyli do domu, Hubertowi wydało się, że słyszy szmer w zaroślach za płotem. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył jakiś cień.

– Co jest? – szepnęła Iza, kiedy niespodziewanie podszedł do ogrodzenia.

Chłopak w milczeniu przyjrzał się krzakom. Nic się w nich nie poruszyło.

– Chyba mi się wydawało – powiedział. – Idziemy.

Wrócili do ciepłego domu. Ogień z kominka nie dawał zbyt wiele światła, ale na stole ustawili kilka znalezionych na piętrze świeczek. Kasia przyniosła z kuchni kieliszki. Marek potasował karty.

– No to w co gramy? – zapytał.

Przez następne pół godziny Hubert niemal zapomniał o bożym świecie. Był w gronie przyjaciół, grali w karty, pili wódkę i się śmiali. Przez myśl przemknęło mu, że cały ten koniec świata nie był aż taki zły. Potrafili o siebie zadbać, znaleźli czas na zabawę. Czego więcej chcieć?

Marek był właśnie w trakcie kolejnego rozdawania kart, kiedy usłyszeli pukanie do drzwi. Spojrzeli po sobie. Na takim odludziu nie oczekuje się wizyt. Hubert w pierwszej chwili pomyślał, że mu się zdawało, ale przecież wszyscy musieli słyszeć, gdyż zastygli w bezruchu. Pukanie się powtórzyło. Bez słowa podnieśli broń. Łukasz został z Kasią w salonie, inni powoli i cicho podeszli do drzwi.

– Tak? – odezwał się Henryk. W tej absolutnej ciszy jego głos brzmiał niczym grom z nieba.

– Można wejść? – usłyszeli stłumione pytanie. – Zaraz będzie padać...

– Kim jesteś? – zapytał były wojskowy, nadal nie otwierając drzwi.

– Zobaczyliśmy światło i pomyśleliśmy, że są tu jacyś ludzie – usłyszeli w odpowiedzi.

– Jest nas czworo.

Henryk kiwnął głową.

– Przygotujcie się – szepnął.

Hubert, Marek i Iza wycelowali w drzwi. Henryk powoli do nich podszedł, starając się nie stawać na linii strzału. Położył dłoń na klamce i ją nacisnął.

Serce Huberta zabiło szybciej. Słyszał, jak Iza głośno przełknęła ślinę. Marek przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Jednak żadnemu z nich nie drżały ręce. W każdej chwili byli gotowi do oddania strzału.

Henryk otworzył drzwi na oścież. Na progu stał mężczyzna ubrany w mundur polowy. Trzymał karabin wycelowany przed siebie. Za nim stało trzech innych ludzi. Każdy z nich miał broń.

– Tak myślałem, że jesteście ludźmi – powiedział ten pierwszy z ulgą, po czym opuścił karabin. – Porucznik Paweł Brzozowski – przedstawił się, po czym uniósł kąciki ust, najprawdopodobniej w uśmiechu.

Henryk skinął głową, ale nie opuścił pistoletu, inni mieszkańcy Świącina też nie.

– No, chłopaki, schowajcie broń. – Brzozowski rozkazał przez ramię swoim ludziom. – Mamy najwyraźniej do czynienia z ludźmi cywilizowanymi.

– Wy też – polecił Henryk swoim przyjaciołom.

„A więc tak się wita obcych w dzisiejszych czasach – pomyślał Hubert, opuszczając colta. – Zresztą Iza przecież kiedyś tak samo mnie potraktowała”.

– Można wejść? – zapytał Brzozowski, zaglądając do ciepłego domu. – Komarów wam naleci, jak będziecie trzymać nas za progiem – zaśmiał się.

– Ale broń zostawiacie na zewnątrz – przestrzegł Henryk.

Porucznik skinął głową.

– Chłopaki, zróbcie, o co prosi gospodarz – rozkazał.

Henryk odsunął się od wejścia, robiąc gościom miejsce. Brzozowski wszedł do domu i podał mu rękę.

– Henryk – przedstawił się były wojskowy.

– Starszy kapral Czarnecki. – Brzozowski wskazał na najwyższego, łysego mężczyznę.

– Sierżant Barański. – Do domu wszedł niższy i grubszy żołnierz w okularach. – I sierżant Krzywicki. – Ostatni był chyba najmłodszy, ale miał najbardziej paskudną gębę. Wyglądał, jakby kosiarka przejechała mu po twarzy, gdy był młody.

– Iza, Marek, Hubert – przedstawił Henryk. – A tam Kasia i Łukasz – dodał, gdy młode małżeństwo wyszło do korytarza.

Żołnierze skinęli im głowami.

– Dobrze jest spotkać kogoś normalnego w tych czasach – rzucił lekko Brzozowski. – Wszędzie albo wariaci, albo demony. Szlag by je trafił.

– Wejdźcie do salonu – zaproponował Henryk.

Kasia wczuła się w rolę gospodyni i zaproponowała kawę.

– Dzięki, kochana, z przyjemnością – ucieszył się Brzozowski. – Widzę, że nieźle się tu bawicie – dodał, patrząc na stół z kartami i kieliszkami.

– Coś trzeba robić podczas deszczu – odparł Marek.

O szybę zaczęły właśnie uderzać pierwsze krople.

– Co was tu sprowadza? – zapytał Brzozowski, kiedy się rozsiedli na kanapie.

– Jesteśmy przejazdem – odparł lakonicznie Henryk.

– Dobrze trafiliście. Niewiele zostało już miejsc, w których wszystko zachowało się w tak dobrym stanie. My dotarliśmy tu wczoraj. Porozglądaliśmy się po okolicy, wzięliśmy kilka rzeczy, a jutro z samego rana jedziemy dalej.

– Skąd jesteście? – zapytał Henryk.

– Z jednostki utworzonej po wojnie. Pewnie słyszeliście o bazie wojskowej w górach? No to jesteśmy stamtąd. Co jakiś czas wysyłamy ludzi, żeby zobaczyli, co dzieje się na świecie, potem zdali raporty... Kiedyś w końcu trzeba odbudować stary świat, co? – Zaśmiał się. – Przy okazji, nie martwcie się, nie wyczyściliśmy tej wioski do cna. Jeszcze znajdzie się sporo gratów dla was.

Kasia przyniosła żołnierzom kawę. Pili w milczeniu.

„Nie pogadamy z nimi za dużo i nie zaproponujemy wódki – pomyślał Hubert. – Co ten świat robi z ludźmi? Nikt nikomu nie ufa”.

– Mówiliście już, z jakiej jesteście miejscowości? – zapytał Brzozowski, odstawiając pusty kubek na stół.

– Nie – odparł Henryk.

– Spokojnie, przecież nie będziemy was śledzić – zażartował żołnierz.

– Z Kępki – odparł były wojskowy.

– Aaa, nie słyszałem... może to dlatego, że nie jestem stąd.

– Trochę więcej niż sto kilometrów na wschód – dodała Iza.

„Ciekawe, dlaczego kłamią” – zastanowił się Hubert.

– Czy my się czasem nie znamy? – odezwał się nagle starszy kapral Czarnecki, ten najwyższy.

Dopiero po chwili Hubert się zorientował, że wojskowy ma na myśli jego.

– Ehm, nie przypominam sobie – powiedział.

Jednak Czarnecki wciąż uparcie mu się przypatrywał. Inni również skierowali na niego wzrok.

– Jesteś pewien? Dałbym głowę, że gdzieś już cię widziałem.

Hubert pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia gdzie.

– A czym podróżujecie? – zapytał Brzozowski, zmieniając temat. – Tak z ciekawości pytam.

– Konno – odparł Henryk.

– I to jest dobre podejście. – Porucznik machnął w powietrzu palcem wskazującym. – Nas wysłali pieszo, mówiąc, że po drodze możemy znaleźć sobie jakieś rowery. – Zaśmiał się, ale bez radości. – No nic, chyba przestało padać – zauważył, podnosząc się z kanapy, jego ludzie od razu stanęli na równe nogi. – Znaleźliśmy lokum w domu po drugiej stronie wsi. Prześpiemy się tam i z samego rana wyruszamy.

Wszyscy wstali i na wszelki wypadek trzymając broń pod ręką, odprowadzili gości do drzwi.

– Miło było poznać – pożegnał się Brzozowski. – Do zobaczenia w lepszych czasach.

– Do zobaczenia – powiedział Henryk.

Pozostali pokiwali głowami.

– I przy okazji, dobrze wyszkoliłeś sobie ludzi. – Porucznik pokiwał z uznaniem głową, po czym odszedł w mrok ze swoimi żołnierzami.

– To było dziwne – stwierdził Hubert, kiedy wrócili do salonu.

– Trzeba uważać w nocy. – Henryk zmarszczył brwi. – Ale nie wydaje mi się, żeby czegoś próbowali.

– Dlaczego nie powiedzieliście im, skąd jesteśmy? – zapytała Kasia, sprzątając kubki ze stołu.

– Nie podobali mi się – wyjaśnił bez ogródek były wojskowy.

Iza mu przytaknęła.

– A ciebie ten wielki naprawdę znał? – Marek zwrócił się do Huberta.

– W życiu faceta na oczy nie widziałem. – „Albo widziałem i nie pamiętam” – dodał w myślach.

– Domyślili się, że byłem żołnierzem – mruknął Henryk.

– Niby po czym? – zdziwiła się Kasia.

– Nie jestem pewien. Dlatego nie mówili za dużo o tej swojej bazie.

– No właśnie, kiedyś o niej słyszałem – przypomniał sobie Hubert. – Jak to z nią jest?

Henryk chwilę zbierał myśli.

– Kiedy wybuchła wojna, bo w wojsku tak to nazwali, wszystko u nas padło. Musisz wiedzieć, że mieliśmy systemy nawigacji, sprzęty od Amerykanów. Kiedy z USA przestały docierać do nas jakiegokolwiek wieści, wyposażenie również przestało działać. Zerwały się połączenia z satelitami... Szlag wszystko trafił. A jak ludzie się zorientowali, że to naprawdę koniec, jakiegokolwiek stopnie wojskowe już się nie liczyły. Żołnierz nie słuchał rozkazów spalonego generała, bo i po co? Zrobił się taki burdel, że trudno to sobie nawet wyobrazić.

– A ja bym się spodziewał jakiejś niezwyklej mobilizacji – mruknął Hubert.

– A gdzie tam. Może w bardziej specjalistycznych jednostkach. Ale nie w tych zwykłych.

– I co? Zebrali się potem pod wodzą jakiegoś polityka?

– Chłopcze, na jakim świecie ty żyjesz? Wojsko miałoby słuchać polityków? Nie rozśmieszaj mnie – skwitował Henryk. – Ale jakaś silna osobowość z wewnątrz... owszem, mogłaby tym wszystkim zarządzać. Niejaki Orłowski zebrał swój oddział. Postanowili, że sami sobie poradzą, bez generałów, polityków i cywili. Potem zaczęli dołączać do niego inni. W górach założyli bazę.

– I co się stało?

– Wiecie, co się dzieje, gdy jednostka ma poparcie mas i wydaje jej się, że ona jedna ma rację?

Pokręcili głowami.

– Totalitaryzm się dzieje.

– Czyli, jak rozumiem, ten Orłowski założył sobie takie małe państwo? – zapytał Hubert.

– Jeżeli tak to chcesz nazywać...

– A teraz wysyłają niewielkie jednostki na zwiady?

– No właśnie to mi się nie podoba – mruknął Henryk.

– Bo? – zapytał Marek.

– Bo byli tylko we czwórkę i zbyt daleko od bazy. Nie wiem, czy Orłowski żyje, ale nie sądzę, żeby akurat tych wysłało wojsko.

– No to kto? – zapytała Kasia.

– Albo sami uciekli z bazy, albo ich wyrzucili, jedno z dwojga.

Hubertowi cisnęło się na usta pytanie, skąd Henryk to wszystko wie i czy sam musiał opuścić tę bazę. Jednak nie miał odwagi zapytać. Może kiedy indziej. W jakieś jesienne popołudnie usiadł z nim przy kawie i pogadają sobie od serca.

– To zostało nam jeszcze pół butelki do opróżnienia – odezwał się po minucie ciszy Łukasz.

– A ja muszę się odegrać w kartach – dodał Hubert.

Grali do późnego wieczoru, ale nie odzyskali już wcześniejszego, beztróskiego nastroju. Położyli się spać około północy, wcześniej ustalwszy warty. Hubert zaległ na kanapie przed kominkiem, Marek na drugiej, inni poszukali sobie łóżek w pokojach.

Nad ranem Henryk obudził Huberta.

– Młody, wstawaj, twoja warta.

– Jeszcze nie – mruknął chłopak i przewrócił się na drugi bok.

– Wstawaj, bo cię zrzucę z łóżka – zagroził mężczyzna.

– No dobra. – Hubert usiadł i przetarł oczy. – Działo się coś ciekawego?

– Coś wyło po nocy, ale daleko. Konie były niespokojne. Poza tym wszystko w porządku.

Chłopak wygrzebał się ze śpiwora, narzucił na siebie bluzę wojskową i wyszedł na dwór. Było jeszcze szaro, ale niedługo słońce miało wzejść nad horyzont. Zapowiadał się ciepły dzień. Hubert poszedł sprawdzić, jak się mają konie. Po niespokojnej nocy najwyraźniej odzyskały dobry humor i teraz wyszły do ogródka pojeść mokrej po deszczu trawy.

Potem sprawdził, czy plandeka nie przeciekła i deszcz nie zalał wozów. Na szczęście były suche.

– Wykąpałbym się – westchnął i się przeciągnął.

Zdawało mu się, że widział na mapie jezioro obok wioski. Będzie musiał namówić innych na kąpiel.

Wtem zobaczył na drodze kota. Zwierzę siedziało spokojnie i patrzyło na niego.

– Kici, kici... – Chłopak schylony podszedł do niego.

Kot miauknął bezgłośnie, lecz kiedy uznał, że człowiek za bardzo się do niego zbliżył, czmychnął do ogródka sąsiedniego domu.

– Głupi pchlarz – mruknął Hubert.

Wyprostował się i rozejrzał. Dopiero teraz zobaczył, że po okolicy pałęta się jeszcze kilka innych kotów.

Spokój wsi nagle zmąciły jakieś hałasy – trzaskanie drzwiami, nawoływania. Chłopak domyślił się, że to żołnierze wyruszają w drogę.

Półtorej godziny minęło Hubertowi szybko. Słońce wzeszło już wysoko, kiedy poszedł obudzić innych. Kasia przygotowała śniadanie.

– Jeżeli nie wyrobimy się do południa i nie obejdziemy większości domów, zostaniemy tu na noc – zdecydował Henryk.

Ruszyli do pracy. Trzeba było dokładnie przeszukać wszystkie domy, znaleźć sklep, może nawet aptekę. Na ulicy łądowało wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość: książki, papier, długopisy, pościel, hermetycznie zapakowane jedzenie, naczynia, dywany, sprzęty, które mogły działać bez prądu, świece, ubrania, kosmetyki, leki, różnego typu opakowania i torby, śpiwory, maty, biżuteria, a nawet meble, deski i dachówki.

Oczywiście trafiali też na rzeczy zniszczone, zgniłe, spleśniałe, z którymi nic nie dawało się zrobić. Natknęli się również na ludzkie kości, rozwleczone po domach i ogródkach, ale zostawiali je w spokoju. Hubert zapytał nawet, czy nie wypadaloby ich pochować, ale Iza prychnęła tylko.

– Daj spokój, to by zajęło nam ponad tydzień. Nie damy rady pochować wszystkich, na których się natkniemy po drodze.

Kasia została przy wozach i segregowała to, co jej przynoszono.

Praca zajęła wiele godzin. Późnym popołudniem Łukasz zawołał wszystkich mężczyzn do jednego domu.

– To będzie mój prezent ślubny. – Wskazał na komplet ładnych mebli z ciemnego drewna.

– Jesteś pewien? – zapytał Henryk. – Inne się już nie zmieszczą.

– Jestem.

– No to zanosimy je do wozu – zdecydował Marek.

– A ja mam paskudne, powypaczane meble po nieboszczce, daję głowę, że przetrwały co najmniej dwie wojny – narzekał Hubert, kiedy wraz z Henrykiem niósł ciężką szafę.

– Nie marudź. Jak się ożenisz, to też dostaniesz nowe.

– Ha, na pewno – mruknął chłopak.

Wieczorem Hubertowi udało się namówić innych, żeby pójść nad jezioro się wykąpać. Znaleźli sporo buteleczek z szamponem i kostek mydła. Trzeba było to wykorzystać. Noc spędzili w tym samym domu co poprzednio. Tym razem nikt ich nie nachodził, nie słyszeli też żadnego wycia.

Rano opuścili wieś w znakomitych nastrojach. Nawet jeżeli nie uda im się natrafić już na nic wartościowego, nie wrócą do Święcina z pustymi rękoma.

Jechali cały dzień, a na noc zatrzymali się w lesie.

– Dobrze zabezpieczcie wozy – przykazał Henryk wieczorem, kiedy przygotowali obozowisko. – W nocy znowu będzie padać.

– Jak ja uwielbiam deszcz na biwaku – mruknął zniechęcony Hubert, mocując plandekę.

– Ale ty marudzisz – zganiała go Iza. – Trzeba było zostać w domu.

– I przegapić taką zabawę? A poza tym obawiam się, że ty byś mi nie przywiozła nowych skarpetek. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Oczywiście, że nie – zachnęła się.

## ROZDZIAŁ IX

Hubert odwrócił się na plecy. Nie mógł usnąć, deszcz miarowo uderzał o namiot. Henryk już od dawna spał i zdawało się, że nic mu nie przeszkadza. Chłopak usłyszał, jak Łukasz stojący na warcie dokłada do ognia. Mokre drewno zasyczało, a potem znów zaczęło się równo palić. Hubert podziwiał przez chwilę na ścianie namiotu grę światła i cieni.

Miał nadzieję, że w Świącinie nie ma takiej ulewy. Zboże już dojrzewało, szkoda by było, gdyby się położyło.

– Boże, zaczynam już myśleć jak farmer – mruknął pod nosem.

Nigdy nie przypuszczał, że kiedyś będzie się zamartwiał o zbiór plonów.

Wtem usłyszał gdzieś w oddali wycie. „Te cholery wciąż się nas trzymają” – pomyślał.

Ranek wstał ciepły i słoneczny. Bezchmurne niebo niesło nadzieję na to, że wszystko szybko wyschnie po nocnej ulewie.

– Jak dobrze pójdzie, do Piotrkowic powinniśmy zajechać w południe – poinformował Marek.

Piotrkowice, niewielkie miasteczko, było głównym celem ich wyprawy. Według księdza Adriana, który przejeżdżał przez nie dwa lata wcześniej, miejscowość ta kryła różne skarby. W tym niesplądrowany supermarket. Henryk, mając nadzieję, że od tego czasu nic się nie zmieniło, uznał, że właśnie tam powinni zakończyć tegoroczny szaber.

– Ależ miałam koszmary w nocy – powiedziała podczas drogi Kasia. – Śniło mi się, że zaatakowała nas olbrzymia wataha wilków.

– Wydaje mi się, że... – zaczął Hubert, ale w tym momencie Iza odwróciła się w siodle i zgromiła go spojrzeniem – ...że to przez ten nocleg w lesie – dokończył. – Gdybyśmy zatrzymali się w jakimś domu, na pewno spałabyś lepiej.

Lubił Kasię. Otwarta, pogodna, można było z nią normalnie pogadać. Najwyraźniej rozmownością nadrabiała za Łukasza, który raczej rzadko się odzywał. Hubert jechał jeszcze chwilę z nimi, po czym pospieszył konia i zrównał się z Izą. Dziewczyna nie odzywała się przed dłuższy czas.

– No i po co ją chcesz straszyć? – zapytała nagle z wyrzutem.

– Co? – zdziwił się.

– Wszyscy słyszeliśmy to wycie – powiedziała. – Ale to nie powód, żeby od razu to roztrząsać.

– Jak uważasz... – mruknął, wzruszając ramionami.

„Ona naprawdę się troszczy o Kasię – pomyślał. – Zabroniła wspominać o nieboszczyku w tamtym domu, teraz to... Szkoda tylko, że wobec mnie nie ma cieplejszych uczuć i wciąż traktuje jak idiotę”.

Do Piotrkowic zajechali dopiero późnym popołudniem. Spóźnienie wynikało z tego, że droga okazała się zupełnie nieprzejezdna. Zostało na niej porzuconych kilka wraków samochodów, które musieli usunąć, a to zajęło mnóstwo czasu.

Miasteczko nie wyglądało najlepiej, domy były zdewastowane przez ludzi i zwierzęta, na ulicach walały się gruzy i śmieci.

– Tą ulicą do końca, a potem w prawo. – Henryk czytał niewielką mapkę narysowaną w pośpiechu przez ojca Adriana. – Miejmy nadzieję, że ten supermarket będzie w dobrym stanie.

Po piętnastu minutach stanęli pod sklepem. Wielkie szklane drzwi dawno temu zostały wybite. Do środka wiatr zaniósł suche liście i gałęzie, przy wejściu rozlewała się ogromna kałuża. Wszędzie wokół walały się wózki sklepowe.

Henryk kazał wziąć wszystkim broń i powoli weszli do środka. Większość regałów była poprzewracana, a towary porzucane na podłodze. To, co kiedyś nadawało się do jedzenia, zostało rozwleczone przez zwierzęta. Po kafelkach w popłochu uciekały myszy.

– Ekstra, dla nas same resztki, co? – odezwał się Hubert.

Nagle usłyszeli jakiś hałas. Coś dużego i burego przemknęło między regałami do wyjścia.

– To tylko ja! – zawołał Marek.

Podeszli do niego.

– Przestraszyłem wielką sukę – wyjaśnił.

– Właśnie widzę – powiedział Henryk, patrząc na kilka szczeniaków kulących się na stercie szmat.

Niepewne sytuacji psiaki zaczęły poszczekiwać na intruzów.

– Matka wróci? – zapytała Iza.

– Na razie nie powinna, skoro tak się nas przestraszyła, ale uważajcie, nie wiadomo, co jej odbije. Może bronić młodych.



– Jedno jest pocieszające – zauważył Marek. – Skoro zamieszkały tu psy, to raczej nie trafimy na żadne demony.

Obeszli sklep i z rozczarowaniem stwierdzili, że niewiele artykułów można ocalić. Pozostał jeszcze magazyn, który, jak się okazało, był szczelnie zamknięty.

– No to do dzieła. – Łukasz zatarł ręce, stając przed wielkimi drzwiami.

– Właśnie po to wzięliśmy ciebie – zażartował Marek.

Wspomagając się łomem, Łukasz pokonał zamek.

– Ale ekstra, jeszcze nigdy nie byłem w takim miejscu – ucieszył się Hubert, spacerując pomiędzy zapełnionymi paletami.

Zwierzęta nie zdołały dostać się do środka, jednak wszystko, co nie było hermetycznie zapakowane, popsulo się. Bezkształtną, suchą już masę jedzenia pokrywała bura warstwa pleśni i zgnilizny.

– Proponuję uprzątnąć drogę do magazynu – odezwał się Henryk. – Potem każdy weźmie wózek i wywieziemy na zewnątrz wszystko, co nada się do użytku.

– A możemy z Izą przejść się po okolicy? – zapytała Kasia. – Widziałam po drodze sklep z ubraniami, poszukałybyśmy też apteki.

– Tylko bądźcie ostrożne – przestrzegł je były żołnierz.

– Chodźmy. – Kasia pociągnęła niechętną Izę za rękę. – Zobaczysz, będzie fajnie.

Mężczyźni przez kilka godzin przenosili z magazynu rzeczy i ustawiali je obok wozów. Znalazła się tam kawa, herbata, makarony, kasza, cukier, sól, przyprawy, chusteczki, środki chemiczne i wszystko, co mogło się przydać.

– Padam z nóg. – Hubert oparł się o swój wózek i otarł pot z czoła.

– Nie przesadzaj. – Marek z całej siły klepnął go w łopatkę.

Chłopak z podziwem spojrział na Łukasza, który właśnie wiozł paletę zapełnioną solą.

– Już się nie dziwię, że bierzecie go zawsze ze sobą – sapnął.

– A ja się dziwię, jakim cudem udało ci się nas namówić, byśmy wzięli ciebie – warknął Henryk.

– Tu zadziałał mój urok osobisty. – Hubert wyszczerzył zęby.

– Myślisz, że to przez jego urok? – Były wojskowy zwrócił się do Marka.

– Gdyby to była kwestia uroku, zamknęlibyśmy go w piwnicy i nigdzie nie zabrali – powiedział strażnik.

– Gońcie się – mruknął chłopak.

– Idź lepiej i poszukaj dziewczyn, zanim się ściemni – nakazał Henryk. – A my uporządkujemy to wszystko.

– Zamknęliby w piwnicy. Też mi coś – mruknął pod nosem Hubert, idąc przez opustoszałe miasto.

Dziewczyny nie zamierzały wchodzić do domów, więc zaglądał do sklepów, a raczej do tego, co z nich zostało.

– Zobaczysz, będziesz wyglądała świetnie. – Z daleka usłyszał pogodny głos Kasi.

Iza w odpowiedzi coś odburknęła.

Hubert wszedł przez rozbitą witrynę do dużego sklepu z odzieżą. W oddali zobaczył Kasię, która mówiła do zamkniętych drzwi przebieralni.

– Powinnaś mieć coś eleganckiego – przekonywała. – Wiesz, na różne okazje.

– Wcale, że nie – odparła grobowym tonem Iza.

– Nie rozumiem, byłaś już na tylu szabrach i nie wykorzystałaś tego, by uzupełnić garderobę.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. Z całą pewnością Iza nie myślała o uzupełnianiu swojej garderoby o coś innego niż bojówki i czarne koszulki.

– No, już, wychodź! – ponagliła Kasia.

W końcu drzwi przebieralni się otworzyły i stanęła w nich Iza w kwiecistej sukience. Na stopach wciąż miała ciężkie, wojskowe buty.

– Wyglądam jak Marika – burknęła.

– Wiesz, cokolwiek o niej mówić, to dziewczyna ma gust...

W tym momencie zauważyły Huberta.

– Ee, cześć? – odezwał się, mając wrażenie, że jego obecność nie jest mile widziana.

– Kretyn – mruknęła Iza, obróciła się na pięcie i znikła za drzwiami przebieralni.

– A ty też mógłbyś sobie coś znaleźć – ofuknęła go niespodziewanie Kasia. – Jako jedyny ze Święcina nie masz garnituru ani nawet eleganckiej koszuli.

– Eee... no chyba tak – zająknął się.

– No to już, do roboty – zagoniła go między regały.

Wiele ubrań było poniszczonych, dziurawych i wypłowiałych, ale po kilku minutach udało mu się znaleźć coś dla siebie.

W drodze powrotnej Hubert zaproponował, że popcha wózek Kasi, po brzegi załadowany ubraniami i bielizną. Iza, najwyraźniej zła na cały świat, szła ze swoim wózkiem przodem. Chłopak zastanawiał się, jak uda im się sensownie podzielić te łupy między mieszkańców Świącina. A gdy zabrakło sensownej odpowiedzi, z zadowoleniem stwierdził, że to przecież nie jego problem.

Iza nagle zatrzymała się na chodniku.

– Miałyśmy wejść do apteki – przypomniała, patrząc na szklaną witrynę i wypłowiały napis.

Hubert kiwnął głową i kolbą pepeszy wybił szybę w drzwiach. Weszli do środka. Chłopak przeskoczył ladę i zaczął przeglądać półki. Dziewczyny poszły na zaplecze.

– Czego potrzebujemy?! – krzyknął, oglądając kolejne pudełka z lekami.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

„No chyba nie jest wciąż na mnie wkurzona?” – pomyślał i nagle to poczuł. Powietrze w aptece jakby się zagęściło, owiał go delikatny, znajomy zapach. Wziął do rąk pepeszę, którą wcześniej dla wygody odłożył na ladę, i się rozejrzył.

Najciszej, jak tylko mógł, skierował się na zaplecze. Najpierw zobaczył bladą Kasię stojącą pod ścianą i Izę zasłaniającą ją przed czymś. Błyskawicznie skierował lufę pepeszy w stronę, w którą patrzyły dziewczyny, i zobaczył olbrzymiego kota. Olbrzymiego jak na standardy zwykłych dachowców. Ten był rozmiarów rysia, miał czarną zmierzwioną sierść i ciemnoczerwone źrenice. Siedział na szafce i patrzył na ludzi z zainteresowaniem, jakby nie mógł się zdecydować, czy ich zaatakować, czy po prostu zignorować.

– Zastrzel go – szepnęła Iza.

Hubert kątem oka zobaczył, że na półce leży jej browning. „Po cholere go odłożyła?” – przemknęło mu przez myśl. Wycelował pepeszę w stwora i przyłożył palec do spustu.

„A co jak postrzelę którąś z nich?” – zmartwił się. Wiedział, że jego broń nie należy do najcelniejszych, a wszyscy tkwili w niewielkim pomieszczeniu i wystarczyła chwila nieuwagi, żeby ktoś skończył z kulą w brzuchu.

Wielki kot przypatrywał się Hubertowi, a potem z gracją zeskoczył z szafki. Jego duże miękkie łapy uderzyły głucho o podłogę.

– No już! Strzelaj! – syknęła Iza.

Hubert poprawił chwyt na broni, ale wciąż nie mógł zdobyć się na oddanie strzału. I to nie tylko przez strach przed rykoszetami. Po prostu nie był w stanie strzelić do tego stworzenia, i nie miał pojęcia dlaczego. Przecież to musiał być demon, żaden zwykły kot tak nie wyglądał.

Zwierzę powolnym krokiem, jakby było na spacerze, zbliżyło się do chłopaka, wciąż na niego patrząc, a potem go wymięło i wyszło z zaplecza.

Iza dopadła do swojego pistoletu i wybiegła na ulicę, ale kot już zniknął.

– Co to, u diabła, miało być?! – wybuchła, kiedy Hubert i Kasia dołączyli do niej.

– Przerośnięty kot? – zgadywał chłopak.

– To na pewno nie był kot! Dlaczego go nie zastrzeliliście?

– Bo lubię koty?

– Przestań zgrywać takiego błazna!

– Iza, daj spokój – powiedział, nagle poważniejąc. – Nie wściekaj się na mnie za to, że nie wiadomo dlaczego odłożyłaś broń w nieznanym miejscu i akurat wtedy zobaczyłaś tego demona, o ile to w ogóle był demon.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała, patrząc na niego ze złością.

– Nie wyglądał na groźnego ani nie atakował – mówił dalej Hubert. – A ja bałem się, że w tak małym pomieszczeniu postrzeliłbym którąś z was.

– No dobra, przepraszam – mruknęła Iza. – Z pistoletem za paskiem niewygodnie mi się przeglądało szafki.

– Wyjaśniliście sobie już co trzeba? – zapytała lekko Kasia. – Bo, wiecie, robi się coraz później, a my wciąż nie zebraliśmy zapasu leków.

– No to do roboty – powiedział Hubert, wracając do apteki.

Uwinęli się w pół godziny, a kiedy wyszli, zapadał już zmierzch.

– Jak chcesz, możemy nie mówić innym o tamtym – odezwał się w drodze powrotnej Hubert. – Zresztą pewnie to był tylko przerośnięty kot.

Iza spojrzała na niego i z wdzięcznością pokiwała głową.

Na noc zatrzymali się w jednym z domów. Cuchnęło brudem i kurzem, a w piwnicy osiedliła się rodzina lisów, ale przynajmniej był w miarę ciepły i suchy.

Hubert, zanim zasnął, przypomniał sobie stwora spotkanego w aptece. Nietypowy wygląd i ciemnoczerwone tęczęwki sugerowały, że to był demon. To samo mówił mu instynkt. Dlaczego nie mógł go zastrzelić? Wszyscy wiedzą, że demony są złe i okrutne, od razu rzucają się człowiekowi do gardła, piją jego krew i zżerają serce. Ale ten zachowywał się

jak każde zwyczajne zwierzę. Nie okazywał wrogości ani nawet nie wystraszył się ludzi, których spotkanie zdawało się ciekawym urozmaiceniem jego nudnego dnia.

Wieczorem znaleźli na obrzeżach miasta opuszczony dom nadający się na nocleg. Do rana czas upłynął spokojnie, nie spotkali żadnych ludzi ani demonów.

– To co, teraz prosto do Świącina? – zagadnął przy śniadaniu Hubert. Powoli kończył się im zapas wędzonej kiełbasy i chleba. Co prawda Kasia miała jeszcze gdzieś ukryte słoiki z bigosem, ale trzymała je na czarnej godzinie.

– Chcemy jeszcze zahaczyć o jedną wioskę – powiedział Marek.

– Ale przecież nic już nie zmieścimy na wozach.

– Lipczynko jest zamieszkaną osadą – wyjaśnił Henryk. – Zatrzymamy się tam na chwilę, pogadamy z ludźmi, wymienimy pomysły. Nie martw się, nie będziemy nadkładać dużo drogi – dodał, widząc zboląłą minę chłopaka.

Po śniadaniu spakowali się, dokonali przeglądu łupów, część z nich musieli zostawić, gdyż nie mieli więcej miejsca, i ruszyli w drogę. Teraz jechali dużo wolniej. Konie ciągnące załadowane wozy szybciej się męczyły i musiały częściej przystawać na postój.

Po południu zrobili przerwę nad małym jeziorkiem.

– Jeżeli zatrzymamy się na dłużej i ktoś szybko rozpali ogień, to mogę zrobić ciepły obiad – zaproponowała Kasia.

Henryk zastanowił się nad jej sugestią.

– I tak za daleko dziś już nie dojedziemy – zawyrokował. – Równie dobrze możemy zatrzymać się tu na noc i odpocząć.

Wszystkim spodobał się ten pomysł. Okolica była ładna, jezioro kuśilo czystą wodą, a poza tym byli już naprawdę zmęczeni.

Kasia uwinęła się z obiadem w godzinę. A kiedy zjedli, wykąпали się w jeziorze.

– Szkoda, że w naszym jeziorze grasuje ten topielec – westchnął Hubert, kiedy suszyli się przy ognisku.

– Ano szkoda – przyznał Marek.

– Powinniśmy coś z nim zrobić – odezwała się Iza. – Nie może przecież być tak, że już nigdy nie zbliżymy się do wody ze strachu. Trzeba na niego zapolować albo...

– No to jestem ciekaw, jak zamierzasz przeprowadzić to polowanie – zainteresował się Henryk.

Dziewczyna prychnęła.

– Zobaczysz, że coś wymyślę.

„A ty jej wtedy pomożesz – pomyślał Hubert, patrząc na byłego wojskowego. – Zawsze jej pomagasz, nawet gdy ma naprawdę głupie pomysły. Na przykład sprowadzenie mnie do wioski”.

Aby pokazać, iż wzięła słowa Henryka na poważnie, Iza wstała od ogniska i oświadczyła, że idzie pomyśleć i rozejrzeć się po okolicy, po czym zniknęła w lesie.

– Nic jej się nie stanie? – zapytał Hubert.

– Przecież nie jest dzieckiem – uspokajał go Marek. – Zresztą ma broń i nie będzie na tyle niemądra, żeby odchodzić daleko.

Chłopak nic nie odpowiedział, ale przemknęło mu przez myśl, że Kasi nie pozwoliliby włóczyć się samej po lesie.

Marek wstał, żeby rozprostować nogi, i poszedł zająć się końmi. Henryk zaczął czyścić broń, Kasia robiła przegląd zapasów żywności. Łukasza wygoniła nad brzeg, żeby pozmywał. Hubert zaofiarował mu pomoc.

– Coś ciekawego jest w tym Lipczynku? – zapytał.

Łukasz przecierał naczynia gąbką z płynem do mycia naczyń, a Hubert, stojąc po kolana w wodzie, je płukał.

– Czy ja wiem. – Łukasz wzruszył ramionami. – Wioska jak każda inna. Trochę większa od Świącina. Jest tam kilku fajnych ludzi. W Lipczynku mieszka jeden taki, co wyprowadził się od nas, bo poznał jakąś dziewczynę od nich. Zakochali się, pobrali i teraz mieszkają razem.

– Jak rozumiem, wybrali lepszą osadę?

– Nie wiem, czy lepszą. On nie miał w Świącinie nikogo, a ona nie chciała opuszczać rodziny. Gdyby się przeprowadziła do nas, nie za często by ich widywała.

Skończyli myć naczynia i zanieśli je do wozów. Łukasz pomógł Kasi je pochować.

– Jeśli ktoś się nudzi, to przydałoby nam się jeszcze trochę drewna na noc – powiedział Henryk.

Hubertowi nie chciało się iść po drewno, ale wszyscy inni byli zajęci, więc powłókł się do lasu. Zagłębiał się w nim coraz bardziej, lecz nie trafił na nic lepszego niż suche, cienkie gałązki. W końcu jednak udało mu się znaleźć kilka przewróconych małych świerczków. Były wyschnięte, igły dawno temu opadły. Chłopak zaczął więc ustawiać je w kupce na ścieżce zwierząt, która wiodła w stronę obozu.

– Pomóc ci?

Gdy usłyszał Izę, gwałtownie się wyprostował.

– Boże, nie musisz się tak skradać! – jęknął.

– Nie skradałam się, najwyraźniej jesteś przygluchy, że mnie nie słyszałeś – zauważyła.

Postanowił puścić jej uwagę mimo uszu.

– Ale twoja pomoc by się przydała – stwierdził.

Przez chwilę nosili gałęzie w milczeniu.

– I co, wpadłaś na jakiś pomysł, jak się pozbyć topielca? – zapytał.

– Jeszcze nie, ale zobaczysz, że coś wymyślę.

– Z całą pewnością – przytaknął, by się nie kłócić.

– Ciekawe, co działa na topielce? – zastanowiła się. – Jak je zwabić, ukatrupić...

– No, szkoda, że tego nie wiemy – westchnął.

Nagle usłyszał trzask łamanej gałęzi. Odwrócił się gwałtownie, ale nic nie zobaczył. Potrząsnął głową. Ostatnio przywidzenia przydarzały mu się zbyt często.

– A kogóż to moje oczy widzą?

Serce podskoczyło mu do gardła, kiedy usłyszał znajomy głos. Ścieżką w ich stronę szedł porucznik Brzozowski. Tuż za nim Czarnecki. Dwóch pozostałych żołnierzy wyłoniło się z lasu po obu stronach Izy i Huberta.

– Witam – mruknął chłopak.

– Cześć, piękna. – Barański, przechodząc obok Izy, uśmiechnął się tak obleśnie, że dziewczyna aż się wzdrygnęła.

– Niesamowite, że ostatnio tak na siebie wpadamy, co? – zapytał porucznik z fałszywym uśmiechem.

Hubertowi się to nie podobało. Był sam z Izą, kątem oka zauważył, że dziewczyna ma przy pasku kaburę z browningiem, ale tak jak on nie zdążyłaby wyciągnąć broni. Czterech żołnierzy poszatkowałoby ich kulami z karabinów, które trzymali w rękach.

– Prawda, niesłychane – przyznał Hubert.

– Od ostatniego spotkania – mówił Brzozowski, zbliżając się do Izy – zastanawiała mnie jedna rzecz. Otóż sierżant Barański pochodzi z tej okolicy i wcale nie pamięta, żeby na wschodzie była jakaś wieś o nazwie Kępka.

Hubertowi serce zaczęło bić w przyspieszonym tempie. Zauważył, że Iza nagle zbladła. Porucznik stanął tuż obok niej.

– Kępkę zbudowano na ruinach innej wsi – wyjaśniła spokojnie dziewczyna. – Nie wiem, jak się nazywała, sprowadziłam się do niej z ojcem kilka lat później.

Brzozowski gwałtownie podniósł rękę do góry, złapał Izę za włosy i pociągnął tak, że odchyliła głowę do tyłu.

– Nie trzeba kłamać – szepnęła jej do ucha.

Hubert wykonał krok w jego stronę, sięgając jednocześnie do pistoletu, ale dwóch sierżantów złapało go za ręce. Unieruchomili chłopaka. Czarnecki pięścią wymierzył mu cios w brzuch, aż ten zgiął się z bólu.

– No i taki obrót spraw mnie kontentuje – powiedział Brzozowski.

– No, mnie to też wkur... – dodał Barański.

Porucznik Brzozowski wzniosł oczy do nieba.

– A ty – odezwał się starszy kapral do Huberta – cały czas nie dawało mi spokoju, gdzie już ciebie widziałem.

– Nie znamy się – mruknął Hubert, czym zasłużył sobie na kolejny cios w brzuch.

– Nie kłam! – zdenerwował się Czarnecki.

„Jesteśmy w beznadziejnej sytuacji” – pomyślał chłopak.

Dwóch żołnierzy usadziło go tak, że nie miał szans się im wywinąć. Brzozowski wciąż trzymał Izę za włosy i przykładł jej do żeber karabin.

A gdyby tak zacząć krzyczeć? Może ktoś by ich usłyszał, ale zanim by tu dobiegł, żołnierze zastrzeliliby ich i spokojnie odeszli.

– I jak? Nie pamiętasz mnie? – zapytał starszy kapral.

– Nie znam cię! – krzyknął Hubert.

„Boże, spraw, żeby to była prawda – modlił się w duchu. – Żeby on nie miał ze mną żadnych rachunków do wyrównania”.

– I co ci da, że będziesz kłamał? – Czarnecki uderzył jeńca w twarz.

Chłopakowi pojawiły się mroczki przed oczami.

– Hubert! – krzyknęła Iza, ale Brzozowski ją uciszył.

Młody strażnik otworzył oczy i zobaczył bladą dziewczynę. Zdobył się na krzywy uśmiech.

– Gdańsk – powiedział w końcu starszy kapral. – Pamiętasz? Bo ja do końca życia dobrze to zapamiętam. Przez ciebie i tego drugiego omal nie zginąłem!

Hubert zaczął się śmiać. Krew spływała mu z pękniętej wargi, brzuch bolał, ale pomimo to dostrzegł, jak paradoksalna stała się ta sytuacja. Namówił Izę, żeby wzięli go na szaber, bo miał nikłą nadzieję, że się czegoś o sobie dowie. W życiu by się nie spodziewał, że stanie się to w taki sposób. Kiedyś był w Gdańsku. Ale po co? „Przez ciebie i tego drugiego...”. A więc miał jakiegoś kolegę...

Żołnierze osłupieli, patrząc na śmiejącego się Huberta. Iza wykorzystała ich wahanie, odepchnęła karabin, wyrwała się Brzozowskiemu, kolanem kopnęła go w krocze i płynnym ruchem wyjęła z kabury browninga.

Hubert, kiedy to zobaczył, kopnął Barańskiego w kolano. Udało mu się uwolnić jedną rękę, którą zacisnął w pięść i uderzył Krzywickiego w podbródek. Niestety, ten moment wykorzystał Czarnecki, który stał kawalek dalej. Wycelował w niego karabin.

– Zastrzelę go – ostrzegł Izę, która wciąż mierzyła do porucznika.

Dziewczyna w ułamku sekundy zdecydowała, co robić. Szybkim ruchem skierowała broń na Czarneckiego i wystrzeliła. Spudłowała, ale to dało chwilę Hubertowi, który padł na ziemię, przetoczył się po niej i wyciągnął pistolet z kabury.

Iza, z browningiem wymierzonym w żołnierzy, powoli podeszła do chłopaka. Wiedzieli, że dwa pistolety przeciwko czterem karabinom nie zdadzą się na wiele. Nagle usłyszeli wycie. To samo, które towarzyszyło im już od dawna. Jednak tym razem rozbrzmiewało o wiele bliżej. Włoski na karku Huberta stanęły dęba. Zadrżał na całym ciele – i wcale nie z powodu czterech wymierzonych w nich karabinów.

Żołnierze rozejrzeli się niespokojnie.

– Znowu te przeklęte bestie – powiedział Barański.

Brzozowski uśmiechnął się perfidnie.

– Wyczuły już wasze konie, idą waszym tropem, a są bardzo głodne... Chłopcy, zwijamy się.

Żołnierze powoli się wycofali, nie przestając mierzyć do Huberta i Izy z karabinów.

– Żyjesz? – zapytała dziewczyna, kiedy napastnicy znikli w lesie.

– No. – Chłopak z jękiem się podniósł.

Rękawem otarł krew z brody i wargi.

– Co tu się stało? – Henryk podbiegł, tuż za nim Marek. – Słyszeliśmy strzały.

– To tamci żołnierze – powiedziała Iza. – Najwyraźniej nabrali odwagi, kiedy było nas tylko dwoje.

– Nic wam nie jest? – zapytał Marek.

Iza pokręciła głową. Hubert też, choć czuł się paskudnie.

– Słyszeliście wycie? – odezwała się po chwili. – Ono przstraszyło tamtych. Myślę, że powinniśmy się przygotować.

– Na co? – szepnęła Kasia, która właśnie dobiegła do nich z Łukaszem.

– Na to, że mogą nas dziś zaatakować – powiedział Marek.

Wrócili do obozu, słońce skryło się za chmurami.

– Kiedy będzie po wszystkim, musimy pogadać – odezwała się cicho Iza do Huberta.

Chłopak wyczuł w jej głosie groźbę.

Konie wydawały się przerażone. Strzygły uszami i nerwowo przestępowały z kopyta na kopyto, rżąc cicho. Kiedy wycie się powtórzyło, omal nie pozrywały się z linek.

Uznali, że wilki – bo mieli nadzieję, że to tylko wilki – nie zaatakują ich od strony wody. Dlatego tuż przy jeziorze powbijali w ziemię grube i długie pręty, a potem przywiązali do nich wierzchowce. Wozy ustawili prostopadle do brzegu, więc teraz musieli się bronić już tylko z jednej strony. Wyznaczyli półokrąg otaczający ich stanowisko i co kilkanaście kroków rozpalili ogniska. Zapadła noc. Las milczał złowieszczo.

– Ty wejdiesz na jeden z wozów – powiedział Henryk do Huberta. – A ty z Izą na drugi – zwrócił się do Marka. – Strzelajcie do wszystkiego, co się rusza. Będziecie mieli dość naboju?

Hubert kiwnął głową. Wyjął z bagażu pepeszę.

– Mam też jeden granat – odezwał się po chwili.

– Po co brałeś granat na szaber? – zdziwił się Marek.

– Nie wiem, uznałem, że może się przydać. – Wzruszył ramionami.

– Hubert kryje przed nami niejedną tajemnicę – powiedziała kąśliwie Iza.

– Mam tylko nadzieję, że nie rzucasz jak dziewczyna – stwierdził Henryk, gdy chłopak wkręcał zapalnik. – Jeżeli będzie potrzebny, poinstruję cię, dobrze?

Chłopak kiwnął głową, po czym wspiął się na wóz i znalazł na nim dogodne miejsce. Marek i Iza weszli na drugi. Łukasz stanął pomiędzy nimi na ziemi.

– Umiesz to obsługiwać? – Henryk podał Kasi niewielki pistolet.

– Tak – szepnęła blada dziewczyna.

– Dobrze. Zostaniesz przy koniach, pilnuj, by żaden się nie zerwał, ale też uważaj, bo mogą cię stratować. Liczę, że nie będzie potrzeby, byś tego użyła – powiedział, po czym wspiął się na wóz i stanął obok Huberta.

– To nie są zwykłe wilki, prawda? – zapytał chłopak.

Już od dłuższego czasu nie słyszeli wycia, ale czuli, że to coś było niedaleko.

– Skąd ten pomysł? – były wojskowy wysilił się na lekki ton.

– Bo nawet jeżeli po wojnie wilki by dotarły w te okolice, to raczej nie atakowałyby ludzi w środku lata, kiedy jest mnóstwo pożywienia. I nie laźłyby za nimi tyle kilometrów. No, chyba żebyśmy zagrozili młodym, ale tak się nie stało.

Henryk nie odpowiadał przez chwilę.

– Pewnie masz rację.

– A miałem nadzieję, że mi zaprzeczysz...

„Choć sam wiem, że mam rację – dodał w duchu. – To coś więcej niż zwykłe wilki, coś dużo bardziej niebezpiecznego”.

Przez głowę przelatywały mu różne dziwne skojarzenia, ale nie mógł zebrać myśli.

– Patrz tam – powiedział Henryk, wskazując palcem na mroczny las.

Hubert zauważył cień czający się na skraju ciemności.

– Ja też coś widzę! – odkrzyknął Marek.

Te istoty doskonale wiedziały, gdzie są ludzie, nie było więc sensu zachowywać się cicho.

– Ile widzisz? – zapytał Henryk.

– Na razie dwa... o, trzeci czai się z boku! – odkrzyknął strażnik.

– Też mam dwa – powiedział były wojskowy.

– Więcej chyba nie ma – szepnął Hubert. – A nie, tam są jeszcze kolejne dwa.

Do koni dotarł wreszcie zapach drapieżników. Zaczęły panikować. Chciały jak najszybciej zerwać się do biegu. Hubert słyszał, jak Kasia je uspokaja.

– Trafisz w nie granatem? – zapytał Henryk chłopaka.

Hubert nie pamiętał, żeby kiedykolwiek rzucał granatami, ale niespodziewanie spłynął na niego spokój, już wiedział, że potrafi.

– Tak – potwierdził.

– No, to do dzieła, w tamte dwa. Reszta może się przestraszy i sobie odpuści.

Chłopak wyciągnął granat z kieszeni i wyjął zawleczkę. Wziął głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze z płuc i rzucił. W pierwszej chwili nie wiedział, czy trafił, ale gdy las rozświetlił wybuch, a do ich uszu dotarł skowyt, nabrał pewności, że właśnie pozbył się co najmniej jednego wilka. Niestety, reszta zwierząt nie zrezygnowała. Najpierw umknęły w las, lecz po chwili wróciły, warcząc i ujadając.

– To jeszcze sześć – odezwał się Henryk.

Bestie krążyły przed ogniskami. Bały się ich, nie chciały też wyjść z bezpiecznego cienia, co najwyraźniej je irytowało, gdyż coraz donośniej warczały.

– Jesteście gotowi?! – zawołał były żołnierz. – Na mój sygnał strzelamy.

Hubert uniósł pepeszę i wycelował w jeden z cieni. Nie potrafił na razie z całą pewnością orzec, czym one są: zwierzętami czy demonami, ale miał nadzieję, że nie okażą się odporne na kule.

– Teraz! – krzyknął Henryk, kiedy potwory podeszły bliżej światła.

Hubert nacisnął spust. Zagrzmiało, noc rozświetliły wystrzały. Zdawało mu się, że trafił, więc skierował broń na następną zwierzę. Wtem zobaczył, że to, które niby wcześniej trafił, wstaje i przebiega między ogniskami. Wpakował w nie całą serię. Dopiero to zatrzymało bestię.

– Łukasz... – sapnął tuż obok Henryk. – Zostań tu! – rozkazał Hubertowi, po czym zeskoczył z wozu. Dwa drapieżniki przechodziły właśnie między ogniskami w stronę Łukasza.

Hubert zaczął w mroku wypatrywać następnego wilka. Mało brakowało, a przegapiłby jednego, który wskoczył na jego wóz. Spozrzegł go kątem oka i nie zdążył już wystrzelić. Zwierzę rzuciło się na niego, lecz chłopak w ostatniej chwili uderzył je w pysk kolbą od pepeszy. To było naprawdę mocne uderzenie. Powinno zwalić wilka z łąp, a może nawet z wozu. Jednak ten tutaj tylko zachwiał się trochę i już po sekundzie znów szykował się do ataku. Skoczył Hubertowi do gardła. Chłopak w ostatniej chwili zasłonił się pepeszą i siłą odepchnął zwierzę. Sam zaś upadł na plecy, uderzył w jakiś ostry kant pod plandeką.

Zawirowało mu w oczach, na moment stracił oddech. Zwierzę spojrzało na niego, pokazując wszystkie zęby.

„To nie może być wilk” – przemknęło chłopakowi przez myśl.

Usłyszał wystrzał. Bestia z piskiem spadła na ziemię. Hubert obejrzał się i zobaczył Izę na drugim wozie. Skinął jej głową. Zmobilizował resztkę sił, stanął na nogi i się rozejrzał. Nie było już żadnego celu, do którego mógłby strzelić.

– To chyba koniec – westchnął głośno Marek.

Henryk wspiął się na wóz i zlustrował okolicę.

– Widzę jeden, dwa... trzy trupy – policzył. – Trochę mało.

– Ja zabiłem co najmniej dwa – oznajmił Marek.

– Ja też – powiedziała Iza.

– Ten tutaj to mój. – Hubert wskazał palcem na truchło pod wozem.

– Ja też zabiłem przynajmniej jednego – odezwał się Łukasz, trzymając się za przedramię.

– Co jest? – Marek zeskoczył z wozu i zbliżył się do niego.

– Przeklęty, dziabnął mnie. – Chłopak odsłonił zakrwawioną rękę.

Natychmiast znalazła się przy nim pobladła Kasia.

– Trzeba to oczyścić i opatrzyć – powiedziała nerwowo, po czym zaczęła szukać na wozie apteczki.

– Cholery żywotne były – stwierdził Marek. – W jednego wpakowałem kilkanaście kul, ale nie wywarło to na nim zbyt wielkiego wrażenia.

Henryk w zadumie pokiwał głową. Podeszli do jednego z martwych stworzeń.

– Wyglądają trochę jak wilki – odezwał się Marek.

– Są większe – zauważyła Iza.

– I silniejsze – dodał Henryk.

– No i mają wredniejsze pyski – zauważył Hubert. – Ale to chyba nie wilkołaki, co? – zastanowił się i spojrzał na Łukasza, któremu Kasia właśnie zawijała ramię bandażem.

– Głupi jesteś! – prychnęła Iza, ale słowa chłopaka we wszystkich zasiały ziarno niepokoju.

– A jak konie to zniosły? – Henryk podszedł do Kasi.

– Były oszalałe z przerażenia, ale na szczęście żaden się nie zerwał.

Hubert zauważył, że wciąż trzęsą się jej ręce. Choć dobrze się trzymała, nie była taka twarda jak Iza.

Po takim wieczorze pełnym wrażeń nikomu nie chciało się spać. Zresztą, obawiali się, że te dziwne wilki mogą wrócić. Dlatego podtrzymywali ogień dookoła wozów. Rozłożyli maty i na nich usiedli.

– Kawy bym się napiła – westchnęła Iza.

– Zrobić? – zapytała Kasia.

– Jeślibyś mogła.

Kasia z wyraźną ulgą zabrała się do prozaicznej czynności.

– To ja też poproszę – odezwał się Hubert. Wszystko go bolało – brzuch, pęknięta warga, a do tego jeszcze doszły plecy. Już czuł, że pod łopatką robi mu się olbrzymi siniak.

– I ja – powiedział Marek. – Boże, moje kolano! – jęknął, prostując nogę.

– A tobie co? – zapytał Henryk.

– Mięśnie sobie naciągnąłem, kiedy skakałem z wozu – mruknął strażnik.

Wszyscy wybuchli śmiechem.

– No wiesz co – parsknął Hubert. – Łukasza pogryzł wilkołak, a ty skacząc z wozu, sobie ścięgna naciągasz.

Kasia zaparzyła kawę i nalala każdemu do kubka. Siedzieli przy niewielkim ognisku i nasłuchiwali odgłosów z lasu, bojąc się, że gdzieś w pobliżu usłyszą znajome wycie. Jednak noc była spokojna. Konie rozluźniły się i zaczęły skubać marną trawę, która rosła na brzegu jeziora. Co jakiś czas gdzieś w trzcinach rzucała się z pluskiem ryba.

– To teraz powiedzcie, o co chodziło z tymi żołnierzami – odezwał się Henryk, patrząc na obolałego Huberta.

– Myślę, że to było przypadkowe spotkanie – powiedziała Iza. – Jednak teraz, gdy natknęli się tylko na naszą dwójkę, nie zachowywali się już miło. Jeden z nich pochodził z tych stron i zarzucił mi kłamstwo na temat tego, skąd jesteśmy. Wiedział, że w okolicy nie ma żadnej Kępki.

– Dranie – mruknął Marek.

– I ten, jak mu było... ten Czarnecki w końcu sobie przypomniał, gdzie wcześniej spotkał Huberta. – Spojrzała na chłopaka gniewnie.

– Tak? – Henryk uniósł brwi.

Hubert nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wiedział, że Iza jest na niego zła, że ich okłamał. Inni też patrzyli na niego z wyrzutem.

– Ehm, cóż, ja go nie pamiętam... – zaczął. Uznał, że w końcu chyba najlepiej będzie wyznać prawdę.

– Tak? A to ciekawe – syknęła z ironią Iza. – Bo on doskonale pamiętał i ciebie, i Gdańsk. Może podzielił się z nami tym, co się wtedy wydarzyło, co?

Wyczuł w jej głosie hamowaną wściekłość. Chciał coś powiedzieć, nawet otworzył usta, ale nie znalazł odpowiednich słów.

– I wiesz co, mało interesuje nas, co i z kim w tym Gdańsku robiłeś, ale nie musiałeś nas okłamywać, że go nie znasz – kontynuowała Iza.

– Nie okłamałem was – mruknął. Czuł na sobie spojrzenia ludzi, których od jakiegoś czasu uważał za przyjaciół. Nie chciał ich stracić przez głupie niedomówienia. – Ja nic nie pamiętam.

– Akurat – prychnęła Iza.

– Nie mam pojęcia, co działo się w ciągu ostatnich siedmiu lat.

– Nie sądzisz, że to trochę zbyt dogodnie? – zapytał Marek.

– Pojawiasz się nie wiadomo skąd, masz wygląd zbitego szczeniaka, ale i całkiem niezły arsenał w torbie. I nic o sobie nie chcesz mówić – wyrzuciła Iza.

– Dajcie mu wreszcie powiedzieć, co ma do powiedzenia – odezwał się Henryk.

Hubert z wdzięcznością spojrział na żołnierza.

– Nie wiem, co się działo przez kawał czasu – zaczął mówić. – Ostatnie, co pamiętam, to klasowa wycieczka do Paryża. Miałem wtedy siedemnaście lat... Z kolegą uciekliśmy pod Luwr, mieliśmy się tam spotkać z dwiema Francuzkami, lecz one nie przyszły. – Obrazy z przeszłości zaczęły napływać mu do głowy. – Był kwadrans po dwunastej, kiedy Luwr wysadzili w powietrze. Mój kumpel, on... on wtedy zginął.

Hubert nabrał tchu i wypił łyk kawy, która wcale mu nie smakowała.

– Następne, co pamiętam, to łóżko w piwnicy jakiegoś dawnego nauczyciela. Byłem trochę poturbowany. Facet powiedział, że w środku nocy, ledwie żywy, wyważyłem drzwi do jego domu. Kiedy się tam ocknąłem, nie wiedziałem nic o żadnej wojnie, grypie czy końcu świata. Na początku byłem przekonany, że nadal jestem w Paryżu. Kiedy doszedłem do siebie, ruszyłem do Poznania odnaleźć rodziców. – Wziął do ręki patyk i zaczął grzebać nim w ognisku. – Jak się pewnie domyślacie, nie znalazłem po nich żadnego śladu, lecz naiwnie sądziłem, że zostawili mi jakąś wiadomość... A potem trafiłem do was. I możecie mi wierzyć lub nie, ale nie mam pojęcia, jak przeżyłem te siedem lat, co robiłem, z kim się zadawałem, jakim cudem umiem posługiwać się bronią ani skąd wiem to wszystko na temat demonów.

Kiedy zamilkł, uderzyła go cisza panująca wokół. Iza spuściła głowę i miał nadzieję, że wstydzi się swojego ataku na niego. Kasia wyglądała, jakby miała ochotę zerwać się z miejsca i go przytulić. Z twarzy mężczyzny nie mógł wyczytać nic.

– To dlaczego nie powiedziałaś nam o tym wcześniej? – zapytał Henryk.

– Nie wiedziałem jak. – Wzruszył ramionami. – Nie sądziłem, że mi uwierzycie. A poza tym gdy dostałem posadę strażnika, bałem się, że mnie wyrzucicie ze wsi, gdy się dowiecie, że nie jestem taki twardy, jakiego usiłowałem zgrywać. Potem ciągle byłem nowy, miałem wrażenie, że nie do końca wszyscy mi ufają. Nie chciałem mącić opowieściami o tym, jak to w tajemniczych okolicznościach straciłem pamięć.

– No to teraz rozumiem, dlaczego czasami zachowywałeś się jak kompletny idiota – oznajmiła nagle z humorem Iza. – Po prostu doznałeś poważnego urazu w głowę.

– Bardzo śmieszne – mruknął.

Tej nocy niewiele spali. Dwie osoby co jakiś czas obchodziły wozy i sprawdzały, czy coś nie czai się za nimi. Inni drzemali na matach zawinięci w śpiwory. Nie rozkładali namiotów. Wstali, kiedy na niebie pojawiły się pierwsze promyki słońca. Byli zziębnięci i niewyspani, ale żyli. I to się liczyło.

Na śniadanie zjedli resztki tego, co zabrali ze Świącina. Liczyli, że zostaną poczęstowani późnym obiadem w Lipczynku.

Przed wyjazdem obejrzelі jeszcze martwe wilki, ale nie doszli do żadnych nowych wniosków.

Wyruszyli w dalszą drogę.

– Przepraszam, że tak na ciebie nakrzyczałam. – Koło południa Iza zrównała swojego konia z koniem Huberta.

Chłopak machnął ręką.

– Spoko.

– Głupio mi, a...

– Nie ma o czym mówić – przerwał jej.

– Wiesz, mieszkańcy uważali, że choć jesteś sympatyczny, to trochę dziwny – ciągnęła. – Teraz przynajmniej już wiemy dlaczego... A ja... mnie ojciec Adrian przestrzegał przed tobą. On myślał, że coś ukrywasz, że nie można ci ufać...

– No to sobie zaskarbiłem sympatię księdza, nie ma co – odparł z przekąsem.

– Zrozum, on nie potrafił ciebie rozgryźć... Ale teraz wszystko się już wyjaśniło. No, chyba że te wczorajsze wyznania to jedna wielka ściema.

– Taak – mruknął z przekąsem. – Tak naprawdę to chciałem wzbudzić w was litość, byście nie dowiedzieli się, że jestem szalonym mordercą.



– Tak właśnie myślałam. – Zaśmiała się.

Do Lipczynka zajechali późnym popołudniem. Ku zdziwieniu Huberta spotkali się z ciepłym przyjęciem. Najwyraźniej nie byli obcy dla mieszkańców sporej osady. Raczej gośćmi, z których wizyty należy się cieszyć.

Zakwaterowano ich w klasie szkolnej.

– Zawsze jako dzieciak marzyłem o tym, żeby spać w szkole. – Hubert spacerował pomiędzy ławkami.

– No, to teraz, marzycielu jeden, pomóż mi poprzestawiać stoły i krzesła, żebyśmy mieli gdzie rozłożyć maty. – Henryk przywołał go do rzeczywistości.

– A koni ani wozów nikt nam nie ukradnie? – zapytał chłopak, wyglądając przez okno, gdzie stał ich dobytek, a obok pasły się wierzchowce.

– No i właśnie te twoje głupie pytania cię zdradzają – powiedział były wojskowy z uśmiechem.

– Moja wina, że jestem ciekaw świata?

– Ależ, oczywiście, nie. Nikt nas nie okradnie, bo tutejsi ludzie traktują nas z szacunkiem. Wiedzą, że gdyby coś nam zginęło, moglibyśmy się nieprzyjemnie odwzajemnić. A poza tym lepiej niż wrogość działa wzajemna przyjaźń, jak chce się żyć spokojnie tak jak my i oni.

Wieczorem zostali zaproszeni na kolację do domu sołtysa, Pawła Kamińskiego. Sołtysowa, korpulentna kobieta, w krótkim czasie przygotowała posiłek, a na deser podała ciasto. Jej mąż, człowiek potężny i odznaczający się siłą charakteru, przywitał ich serdecznie, jak dawno niewidzianych przyjaciół. Dzieci gospodarzy z zainteresowaniem podglądały poczynania dorosłych.

– Mielicie jakieś problemy po drodze? – zapytał sołtys, patrząc na kulejącego Marka, obitego Huberta i Łukasza z obandażowaną ręką.

– Cóż, trafiliśmy na watahę dziwnych wilków – odparł Henryk.

– A więc dlatego nie widzieliśmy ich ostatnio – zamyślił się Kamiński. – Siadajcie, proszę, do stołu.

Usiedli, a sołtysowa zaczęła nalewać zupę.

– Co masz na myśli? – zapytał Marek.

– Ostatnio przez kilka tygodni nękały nas bestie podobne do wilków. Ale cholernie trudno je zabić. Można wpakować w nie cały magazynek, a cholery nic sobie z tego nie robią. Zaatakowały kilku naszych ludzi, kiedy byli w lesie, ale na szczęście wszyscy przeżyli. Gorzej z bydłem. Już kilka sztuk nam zagryzły, ale od paru dni w ogóle ich nie widać.

– Bo się uganiały za nami. – Henryk pokiwał głową.

Hubert spokojnie zjadł zupę, a potem zabrał się do pieczenia z ziemniakami. Czuł się senny po nieprzespanej nocy, a poza tym już trochę nużyła go rozmowa. Omawiano, co się wydarzyło ostatnio w Świącinie i Lipczynku, czym obsiano pola, czy warzywa ładnie rosły.

Powieki zaczęły mu ciążyć, głowa zwisała coraz niżej nad talerzem. Najadł się, było mu ciepło. Czegóż więcej chcieć? „Miękkiego fotela pod tyłkiem” – pomyślał sennie.

Wtem Iza szturchnęła go łokciem w żebra. Gwałtowny ból od razu obudził Huberta.

– Nie śpij – szepnęła.

– Nie musiałaś – odparł, z wyrzutem masując kości.

– Wybacz, zapomniałam. Idziesz z nami?

Podniósł głowę i zobaczył Kasię i Łukasza, jak niecierpliwie kręcą się na krzesłach.

– Gdzie?

– Zobaczysz, chodź. – Pociągnęła go za łokieć.

Hubert miał wrażenie, że pogrążeni w rozmowie mężczyźni wcale nie zauważyli ich wyjścia. Iza poprowadziła kolegów korytarzem do przestronnego salonu. Siedziało tam już kilka osób. Niektóre były od nich młodsze, a inne o wiele starsze.

– Wreszcie – westchnął jakiś młodzieniec. – Myśleliśmy, że już nigdy się nie wyrwiecie.

Iza szybko przedstawiła Kasi i Hubertowi wszystkich w pokoju, ale chłopak i tak nie zapamiętał nawet połowy imion.

Dwudziestoletni syn sołtysa, Marcin, przyniósł coś do picia, trochę ciasta, kawał szynki i chleb. Na stoliku stojącym na środku pokoju pojawiły się również dwa wielkie kwiaty słonecznika pełne ziaren. Hubert od razu się rozbudził.

Przysiadła się do niego dziewczyna z krótkimi włosami.

– Jesteś nowy w Świącinie?

– Dlaczego dla wszystkich ciągle jestem nowy? – zezłościł się. – Wprowadziłem się tam na wiosnę – wyjaśnił.

– Aaa. – Dziewczyna pokiwała głową. – Jestem Julka.

– Hubert. – Z wdzięcznością podał jej dłoń. Byli już sobie przedstawieni przez Izę, ale zdążył zapomnieć, jak dziewczyna ma na imię.

– Czym się zajmujesz? – dopytywała.

– Jestem strażnikiem. – Wzruszył ramionami.

Ostatnio miał wrażenie, że całe to strażnikowanie ogranicza się do pracy w stajni i pomaganiu mieszkańcom we wszelkich brudnych pracach.

– Super – ucieszyła się Julka. – Spodziewaliśmy się was trochę wcześniej.

– Tak? – Uniósł brwi, udając zainteresowanie.

– Uhm. – Pokiwała głową. – Ale fajnie, że wzięliście tym razem na szaber nowe osoby. Zazwyczaj jest więcej starszych, nie ma za bardzo z kim pogadać, a teraz aż czworo młodych...

Hubert się wyłączył. Powoli zaczął pograżać się we własnych myślach. Usiłował przypomnieć sobie Gdańsk. Co mógł tam robić? Kim był „ten drugi”? Nie przypominał mu się żaden, nawet najmniejszy szczegół. Czasem, jeszcze kiedy był w Świącinie, miał wrażenie, że ostatnie siedem lat dla niego w ogóle się nie wydarzyło. Że jakoś je przespał, a obudził się dopiero teraz. Spotkanie Czarneckiego dowodziło, że wcale tak nie było. Coś się jednak wydarzyło, i to poważnego. Naprawdę go ciekawiło, co się wtedy stało, Czarnecki mówił, że prawie przez niego zginął. Lecz, z drugiej strony, czy roztrząsanie przeszłości jest takie ważne? Czy nie lepiej skupić się na tu i teraz? Podniósł wzrok na przyjaciół. Łukasz siedział przy Kasi i obejmował ją zdrową ręką. Wydawali się tacy szczęśliwi. Potem przeniósł wzrok na Izę. Wesoło z kimś rozmawiała, głośno się śmiejąc. To właśnie było jego tu i teraz.

Podświadomie zarejestrował, że Julka o coś go zapytała. Patrzyła na niego, najwyraźniej oczekując odpowiedzi.

– Słucham? – Miał nadzieję, że powtórzy pytanie.

– Czy jesteś chłopakiem Izy?

Zatkała go jej bezpośredniość.

– Ee, nie – zająknął się.

„A mógłbym być – na chwilę się rozmarzył. – Chociaż nie, nie wytrzymałbym z nią”.

– Aha. – Julka wyraźnie się ucieszyła.

„A więc polowanie na mnie nie jest skończone” – pomyślał.

Po kilkunastu minutach delikatnie, acz stanowczo wykręcił się od rozmowy z Julką, która wyraźnie zaczęła go podrywać, i zagadnął jakiegoś chłopaka. Miło było dla odmiany porozmawiać z kimś, kto nie wyczuwał w nim świeżej krwi.

W salonie sołtysa siedzieli do trzeciej nad ranem. Przez cały czas przychodzili nowi ludzie, inni wychodzili. Hubert już dawno nie widział tylu nowych twarzy. W końcu Iza zdecydowała, że powinni wrócić do szkoły. Kasia już przysypiała na ramieniu Łukasza, zresztą cała czwórka była zmęczona. Kilka osób odprowadziło ich pod salę, gdzie mieli nocować.

– Za dużo ludzi naraz – stwierdziła Kasia, kiedy zostali sami.

Henryk i Marek jeszcze nie wrócili.

Łukasz zapalił dwie lampki naftowe, żeby mogli przygotować się do snu.

– Rzeczywiście dużo – przytaknęła Iza, siadając na macie i zdejmując buty. – Ale zawsze można pogadać z kimś interesującym. Ja na przykład poznałam dziś chłopaka, który kiedyś miał praktyki w bibliotece w Poznaniu.

Uwaga rzucona ot tak sobie nie przykuła niczyjej uwagi. Hubert miał później sobie za złe, że nie zapaliła ona w jego umyśle lampki ostrzegawczej.

Sen zmorzył go natychmiast, jak tylko się położył na macie. Rano, około dziewiątej, obudziła go Kasia.

– Hubert... – Potrząsnęła go za ramię. – Wstawaj, idziemy na śniadanie.

– Muszę?! – jęknął. – Wszystko mnie boli.

– Nie marudź – przywołała go do porządku Iza, która kończyła już szcnotkować włosy. – Nie wypada nie zjawić się na śniadaniu, kiedy sołtysowa tak się stara.

– No dobra – mruknął, przecierając dłońmi twarz.

– Jak chcesz się obmyć, to w sali obok jest woda, Marek przyniósł – poinformowała go Kasia, po czym obie dziewczyny wyszły z klasy.

Hubert z jękiem zwał się z maty i poczłapał do sąsiedniego pomieszczenia. Nie zostawili mu tej wody zbyt wiele, ale jakoś zdołał doprowadzić się do porządku. Łukasz podrzucił mu jeszcze maszynkę i piankę do golenia.

– Jak dostanę od tego wysypki, to będzie pięknie – mruknął, patrząc na datę ważności pianki.

Przebrał się w nowe spodnie i koszulkę, które znalazł w sklepie, i wraz z innymi powędrował do domu sołtysa na śniadanie. Rzeczywiście, gospodyni się postarała i zaserwowała prawdziwe smakołyki.

Po posiłku Henryk, Marek i Iza wymienili kilka rzeczy z wozów na różne sadzonki i nasiona od mieszkańców Lipczynka. Dostali też żywność na drogę. Hubert, z braku roboty, zaczął się szwendać po wsi. Spotkał Marcina, który oprowadził go po okolicy. Obiad zjedli dość wcześnie, gdyż od razu po nim planowali wyjazd.

W podziękę za gościnę wręczyli sołtysowi dwie butelki ginu znalezione w supermarkecie, a jego żonie filiżanki do kawy w różyczki. Brakowało jednego spodka, ale zachwyconej sołtysowej najwyraźniej to nie przeszkadzało.

– No, to jedziemy do domu – oznajmił Henryk, kiedy wsiadali na konie.

„Tak jest, do domu” – powtórzył w myślach Hubert. Zdał sobie sprawę, że jakiś czas temu zaczął uważać Świącino za swój dom.

Machając ludziom na pożegnanie, opuścili Lipczynko. Czekwały ich jeszcze trzy dni podróży.

# ROZDZIAŁ X

Utrzymywali dość szybkie tempo jazdy. Już nie mogli się doczekać, kiedy wyśpią się we własnych łózkach. Szaber się udał, wozy były wypełnione łupami po brzegi. Ludzie ze Świącina na pewno się ucieszą.

Obie noce spędzili w lesie, lecz nie nękały ich już żadne zwierzęta ani demony. Hubert zauważył, że inni zaczęli traktować go trochę ulgowo po tym, co im wyznał. Z wyjątkiem Henryka, który nadal go nie oszczędzał. Miał nadzieję na ocieplenie stosunków z Izą, jednak córka Sołtysa chodziła zamyślona i za każdym razem, gdy do niej zagadywał, odpowiadała półsłówkami. Podczas jazdy błędziła gdzieś niewidzącym wzrokiem, a na postojach szukała samotności. Inni zdawali się nie dostrzegać zmiany w jej zachowaniu albo po prostu to ignorowali.

– Tęskniłam już za domem – westchnęła Kasia, kiedy jechali przez znajome pola. – Jeszcze nigdy nie opuściłam Świącina na tak długo. Ale było warto.

– Dla tych wszystkich fatałaszków? Na pewno – zażartował Hubert.

– Oj, nie przesadzaj – obruszyła się. – Mam tylko kilka nowych rzeczy – tłumaczyła się z rumieńcem na policzkach, który sugerował, że wcale tak nie jest.

Całe Świącino wyszło im na powitanie.

„Jak dzieci – przemknęło Hubertowi przez myśl, kiedy patrzył na ludzi zerkających z ciekawością na wozy. – Zobaczymy, czy przy rozładunku i rozdzielaniu tego wszystkiego będą kłótnie”.

O dziwo kłótni nie było. Jak tylko zabrali z wozów prywatne rzeczy, reszta została skatalogowana i przeniesiona do piwnicy w szkole.

– Ojciec będzie później wydzielał poszczególne dobra – wyjaśniła Hubertowi Iza.

Chłopak przywitał się ze wszystkimi, stwierdzając z zadowoleniem, że ksiądz Adrian opuścił wieś podczas ich nieobecności, a potem wymknął się do domu. Miał ochotę pobyć sam. Otworzył drzwi, mając nadzieję, że nic mu nie zginęło, w końcu nie zamknął ich na klucz. Ktoś tu jednak wszedł... i wysprzątał cały dom. Zajrzał do kuchni, gdzie na czystym stole stało kilka słoików z bigosem, pętka kielbasy, masło i świeży chleb. W sypialni łóżko było równo zaścielone, a kurze z szafek pościerane.

Z satysfakcją usiadł w kuchni, zaparzył herbaty, którą przywiózł z szabru, zrobił kanapki i rozkoszował się ciszą. Wreszcie uznał tę rozpadającą się chałupę za dom. Niespodziewanie poczuł ulgę, jakby odeszło mu jedno zmartwienie.

– Będę musiał się tu lepiej urządzić – postanowił, gdy jadł kolację. – Najpierw wymienię to rozwalone łóżko.

Z szabru przywiózł nową pościel i kolorowe poszewki. Na łóżku leżał jeszcze dość dobry materac, który należało jedynie porządnie wytrzeć, ale stelaż dawno się prosił o wymianę. Hubert pokiwał z zadowoleniem głową.

– Potem szafki, a w przyszłym roku, po zimie i następnym szabrze, wymienię dach – kontynuował wyliczanie prac.

Usłyszał pukanie, a chwilę potem w kuchni pojawiła się Ania.

– Cześć – bąknęła, niepewna, co ma robić.

– Cześć, siadaj. – Hubert szczerze ucieszył się na jej widok.

– Podoba ci się? – zapytała, wykonując ręką nieokreślony gest.

– To ty zabawiłaś się w moją sprzątaczkę?

Spuściła zawstydzona głowę.

– Pomyślałam, że miło ci będzie wrócić do czystego mieszkania.

– Nawet nie wiesz jak – odparł z uśmiechem. – To też od ciebie? – Wskazał na resztkę jedzenia.

– Tak.

– Dzięki, tego mi było trzeba.

– A jak było na szabrze? – zapytała z błyskiem w oczach. – Tata mi zdawkowo opowiedział, ale pewnie nie wszystko.

Hubert zaczął mówić. Pomiął tylko incydent ze starszym kapralem Czarneckim i opowieść o sobie.

– Musiało być super – westchnęła Ania. – No, z wyjątkiem tych żołnierzy i wilków. Chciałabym też pojechać na taki szaber.

– Może kiedyś ci się uda.

– Ale nie myśl, że u nas się nic nie działo podczas waszej nieobecności – powiedziała tajemniczo.

– Tak?

Ania uśmiechnęła się zadowolona, że będzie pierwszą osobą, która przekaze mu wieści.

– Może będziemy mieli wodę w kranach – oświadczyła z dumą.

– Wodę w kranach? – zdziwił się. – Jak to możliwe?

– Otóż, pan Łuczyk odkrył, że kiedyś, jeszcze za Niemców, był we wsi tak zwany lewar wodny.

– Hm, nic mi to nie mówi – przyznał się Hubert.

– Wyobraź sobie maszynę napędzaną przez wodę. Innego zasilania nie potrzebuje. Prawie jak perpetuum mobile.

Może ciągnąć wodę ze źródła, które wpada do jeziora, i rurami doprowadzać ją na wysokość aż osiemdziesięciu metrów! Jeżeli udałoby się skompletować cały mechanizm i doprowadzić rury do wszystkich domów, to mielibyśmy wodę!

– A skąd Kazimierz to wszystko wie?

– Pod waszą nieobecność musiał naprawić coś w starej szkole u sołtysa i zaczął się zastanawiać nad poniemieckim ogrzewaniem i rurami... Ojciec Łuczyka był fizykiem i interesował się takimi rzeczami. Kiedyś, dawno temu, zabrał go na Mazury, gdzie znajdował się jedyny działający w Polsce lewar. Łuczyk mówi, że zajmie to dużo czasu i będzie potrzeba mnóstwo części, ale jest możliwe.

Hubert zauważył, że Ania aż podskakuje na krześle z podekscytowania. „Fajnie byłoby mieć wodę w kranie – pomyślał. – Wtedy mógłbym uruchomić to stare ogrzewanie... Nawet jeżeli to długo potrwa, jesteśmy na najlepszej drodze, żeby znów żyć jak cywilizowani ludzie”.

„Najważniejsze są szczegóły” – przypomniał sobie słowa Eli. A bieżąca woda stanowi ich ukoronowanie.

Tej nocy Hubert spał wyjątkowo dobrze. Własne wygodne łóżko i nowa pachnąca pościel sprawiły, że nie miał żadnych koszmarów i obudził się dopiero późnym rankiem. Na śniadanie podgrzał bigos przyniesiony przez Anię, a potem udał się do szkolnej piwnicy. Po drodze zajrzał jeszcze do Mariki, ale dziewczyna miała właśnie lekcje. Młodszym dzieciom tłumaczyła zasady dodawania pisemnego, starsze zaś same obliczały działania w zeszytach.

Hubert pomachał do nauczycielki, która odpowiedziała mu uśmiechem, po czym pogwizdując wesoło, zbiegł po schodkach do piwnicy. Jak zwykle panował tam półmrok i chłód, ale chłopak miał zbyt dobry humor, żeby mu to przeszkadzało. Wrócił z szabru do domu cały, zdobył trochę fantów, dowiedział się, że jednak nie przespał ostatnich siedmiu lat. I jak tu się nie cieszyć?

– Cześć – przywitał się z Jackiem, który stał przy tablicy i coś na niej pisał.

– Cześć. Jak tam? – zapytał strażnik.

– Wszystko w jak najlepszym porządku. – Usiadł na stoliku. – Co tam mażesz?

– Zmieniam warty. Skoro już wróciliście, trzeba was uwzględnić w grafiku.

– A jakiś urlop po wyjątkowo ciężkich przeżyciach się nam nie należy?

– Chciałbyś. A poza tym właśnie wróciłeś z urlopu.

– Jakoś średnio wypocząłem – mruknął chłopak.

– Chcesz dziś nockę?

– A z kim?

– Z Izą.

– Może być. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

Ze szkoły Hubert wybrał się do piekarni, odwiedzić Kasię i Łukasza. Wracając od nich, spotkał Anię.

– Mama zaprasza cię dziś na obiad.

– Super, nie muszę nic gotować – ucieszył się. – A co będzie?

– Chyba kurczak. Przyjdź do nas na piętnastą.

– Zjawię się punktualnie.

Przed obiadem uporządkował i poupychał po szafkach rzeczy, które przywiózł z szabru. Równie o trzeciej stanął na progu domu Marka. Ela upiekła przepyszne kurczaka, a na deser wmusiła we wszystkich jeszcze ciasto.

Hubert wrócił do siebie tak syty, że jedyne, na co miał ochotę, to położyć się spać. Niestety, kiedy tylko padł na łóżko, usłyszał pukanie do drzwi.

– No i kto teraz? – zdenerwował się. – Proszę! – krzyknął, zwlekając się z wygodnego materaca.

To był Łuczyk.

Huberta zaskoczyła ta wizyta. Ze starszym mężczyzną, jak do tej pory, zamienił co najwyżej kilka zdań, o odwiedzinach nawet nie wspominając.

– Witam. Cóż pana do mnie sprowadza?

– Jeśli mógłbym, to chciałbym obejrzeć twój dom. Jest to jeden z niewielu budynków, które przetrwały wojnę i którego nie trzeba było budować od zera. Podejrzewam, że masz tu jeszcze resztki poniemieckich rurociągów.

– Ano mam. Ogrzewanie centralne też – odparł chłopak. – Zapraszam do piwnicy.

Z kuchni wziął lampkę naftową, zapalił ją, otworzył szafę stojącą w korytarzu i wszedł do środka.

– Hm – mruknął Kazimierz, idąc za nim.

– Proszę się rozgościć – zachęcił chłopak, gdy zeszli na dół. – To do tego jakmutam wodnego?

– Lewara? Tak, muszę dokładnie sprawdzić, gdzie kiedyś wiodły rury, które domy były podłączone do systemu – wyjaśnił mężczyzna, obchodząc dookoła stary piec.

– Jest szansa, że to w ogóle ruszy?

– Zobaczymy. Nie znam się na tym, ale metodą prób i błędów może uda się odbudować mechanizm i stare rurociągi.

Niemcy byli sprytni...

Hubert oparł się o ścianę i obserwował Łuczyka, który mrużąc coś pod nosem, krążył po piwnicy.

– Skoro to jest jeden z niewielu starych domów, dlaczego nie przyszedł pan tu wcześniej? – zapytał po chwili chłopak.

– Ciebie nie było. Nie wypadało kręcić się tutaj pod nieobecność właściciela.

Kazimierz przez blisko pół godziny krążył po piwnicy, potem przeniósł się na górę.

Wyglądał przy tym na całkiem zadowolonego. Najwyraźniej oględziny wypadły pomyślnie.

– I jak? – zapytał Hubert.

– Dom nie wygląda dobrze. Będziesz musiał zrobić tu sporo napraw. Przed wojną nikt się nim prawdopodobnie nie zajmował, a i potem Niwicka tu nie remontowała. Ale piec i rury wydają się w całkiem dobrym stanie. Kiedyś to robili porządne i trwałe rzeczy, które mogły przetrwać wojnę, komunizm, drugą wojnę... Ech, a potem zaczęli produkować byle jak.

– Cóż, nastawili nas na skrajny konsumpcjonizm. Nikt się nie spodziewał, że kiedyś jakakolwiek produkcja stanie. – Hubert wzruszył ramionami.

Jak tylko Łuczyk wyszedł i chłopak znów zaczął rozważać odpoczynek, w jego domu zjawiał się mały Robert z trzema kolegami. Każdy z nich musiał się pochwalić, ile pompek jest już w stanie zrobić, oraz pokazać kopnięcia, które sam wymyślił. Oczywiście chcieli też wysłuchać opowieści o demonach w wilczej skórze, z którymi walczył młody strażnik. Hubert zauważył, że w ich oczach stał się wielkim bohaterem. Na koniec dnia jeszcze urządził im zapasy i zaprezentował kilka chwytów. Naprawdę polubił towarzystwo tych chłopców.

Zmrok nadszedł szybko. Noce były coraz chłodniejsze, więc Hubert ubrał się ciepło i ruszył w kierunku bramy. Iza już na niego czekała.

– Tylko nie mów, że się spóźniłem – rzucił na powitanie.

– Masz szczęście, że nie – odparła.

– Przyniosłaś kawę?

– Uhm, a ty coś masz?

– Ela wcisnęła mi trochę ciasta.

– Super, ta kobieta potrafi piec jak nikt inny.

Usiedli w strażnicy przy otwartych drzwiach i wypili po pół kubka kawy. Resztę zatrzymali na później, kiedy będzie zimno i nudno. Wieczorna szarówka szybko zamieniła się w noc.

– Wstawaj, idziemy na obchód. – Iza szturchnęła Huberta w kostkę.

Ruszyli niespiesznie przez wieś. Po ulicy kręcili się jeszcze ludzie, ale większość siedziała już w domach. W takie wieczory Hubert lubił zerkać w okna domów i obserwować, jak mieszkańcy Święcina zabijają czas. Niektórzy rozmawiali, inni pili, czasem ktoś czytał przy świetle lampki naftowej. Marek z żoną i córką grał w grę planszową, Kasia szyła, Sołtys jak zwykle siedział przy swoim biurku i pisał.

– Kiedyś o tej porze wszyscy siedzieliby przed telewizorami albo komputerami – westchnął Hubert.

– Ano widzisz, koniec świata zacieśnia więzy rodzinne – zaśmiała się Iza.

Obeszli całą wieś i wrócili do strażnicy. Chudy księżyc zawisł nad lasem, na niebie zaczęły pojawiać się gwiazdy.

– Ostatnio jesteś zamyślona – zauważył Hubert.

– Wydaje ci się – mruknęła Iza. Usiadła na krześle, a wyciągnięte przed siebie nogi położyła na stołku.

– Nie wydaje mi się. Od kiedy tylko wyjechaliśmy z Lipczynka, jesteś nieobecna myślami – zaprotestował.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Wiesz, z kim tam rozmawiałam?

Pokręcił głową.

– Z takim jednym chłopakiem, który kiedyś na studiach miał praktyki w bibliotece w Poznaniu.

– Wspominałaś już o tym. I co?

– I potwierdził moje przypuszczenia co do demonologii. Mieli tam w zbiorach jakąś demonologię.

– A czy nie wysadzili czasem biblioteki? Albo nie spalili wszystkich książek?

Iza powoli pokręciła głową.

– Nie, budynek przetrwał wojnę. A gdyby nawet ktoś się tam włamał, to księgę umieszczono kiedyś w archiwum. Nie sądzę, żeby tam coś jej się stało.

– No to co za problem poprosić jakiegoś miastowego, żeby się za nią rozejrzył?

– Ty nie rozumiesz. Biblioteka znajduje się teraz na terenie Łazarza – powiedziała dziewczyna wyjaśniającym tonem, lecz Hubert nadal nie wiedział, o co chodzi.

– No i? – Spojrzał na nią wyczekująco.

– Łazarz to religijny fanatyk. Nie toleruje obcych na swoim terenie, nie handluje z nami ani z miastowymi. Napada na sąsiednie dzielnice w przekonaniu, że wszyscy inni to potępieńcy, a on i ludzie, którzy idą za nim, muszą wyzwolić od nich świat.

– No to teraz widzę problem. A nie możemy po prostu się włamać?

Iza westchnęła.

– Mój ojciec w życiu się na to nie zgodzi. Już krzywo patrzył na to, że jechaliśmy na szaber, ale w tym wypadku było to konieczne. A wyprawa do biblioteki to głupie ryzyko. Zobaczysz, tak powie.

– A czy on musi o tym wiedzieć?

Iza spojrzała na Huberta, jakby mówił o czymś zupełnie nierealnym.

– Żartujesz sobie?

– Jeszcze nie do końca chwytam wasze zasady funkcjonowania – westchnął. – Niby macie tu demokrację, ale to do Sołtysa należy ostatnie słowo.

– Demokracja to najgorszy ustrój, jaki może być – mruknęła dziewczyna. – Burdel, jakich mało. Każdy robi, co chce.

„Co za chore czasy – pomyślał Hubert. – Nie ma samowolki. Robisz to, co ci każą, a jak nie, to wypad ze wsi. Tylko gdzie wtedy pójdziesz? Wieś daje schronienie, mieszkańcy dbają o swoich, lepiej więc zamknąć dziób i się nie kłócić. Tak to funkcjonowało przez ostatnie lata i nikomu nawet się nie marzy, żeby zmieniać system”.

– No to trzeba przekonać twojego ojca, że to dobry pomysł – powiedział na głos.

– To wszystko jest bez sensu – mruknęła Iza.

Po północy zjedli ciasto Eli i popili kawą.

Hubert spał do pierwszej. Kiedy tylko zjadł i się ogarnął, ruszył na spacer do Henryka. Byłego wojskowego znalazł za domem. Rąbał drewno.

– Cześć – przywitał się Hubert.

– Ano cześć. – Henryk postawił siekierę na ziemi i oparł o nią dłoń. – Co słychać?

– Nic, tak sobie wpadłem pogadać. – Wzruszył ramionami.

– Zaraz z tym skończę. – Henryk wskazał brodą na niewielką kupkę drewna pozostałego do porąbania. – A ty możesz zaparzyć nam kawę.

Hubert wszedł do domu gospodarza, rozpalili w piecu i postawił na nim metalowy czajnik. Kiedy zalewał kawę wrzątkiem, przyszedł Henryk.

– A więc? – zapytał mężczyzna. – O co chodzi? Bo nie przyszedłeś ot tak sobie.

– Iza pewnie ci już mówiła o tej książce?

Henryk skinął głową.

– I jak się na to zapatrujesz?

– Głupi pomysł.

– Dlaczego?

– Niebezpieczny. Włazić do miasta i przeszukiwać piwnice biblioteki. Średnio to widzę.

– No ale ta książka mogłaby się naprawdę przydać – przekonywał Hubert. – Wiedzielibyśmy więcej o demonach. Mielibyśmy pewność, czego się spodziewać w lesie.

– A co jeśli tej książki tam nie ma? Albo nie ma w niej takich informacji, jakie byśmy chcieli zdobyć? A jeśli po wojnie te demony ewoluowały i wiedza książkowa na nic się nie zda?

– I myślisz, że nie warto nawet spróbować? – Hubert nie mógł uwierzyć, że także Henryk jest przeciwny pomysłowi Izy.

– Gra niewarta świeczki. Za duże ryzyko przy zbyt małych szansach na powodzenie.

– Nie wierzę – mruknął. I nagle go olśniło. – Chciałbyś spróbować, wiesz, jak cenna by była ta książka. Tylko boisz się zabierać tam Izę. A ona na pewno tu nie zostanie.

– Nie wymyślaj – burknął były wojskowy.

Hubert dopił swoją kawę, zakręcił kubkiem i obserwował fusy.

– Poszedłbyś tam sam – powiedział powoli. – Ciebie nikt by nie zatrzymał.

– Bzdura.

– Nie pójdzie, bo to u mnie Kruk zaciągnął dług wdzięczności. – Do kuchni weszła Iza.

„Ależ ona cicho się porusza” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

– Jaki Kruk? I jaki dług? – zdziwił się chłopak.

– Powiedzmy, że sołtys w jednej z dzielnic: Gniazda – wyjaśniła.

– I myślisz, że to coś ci da? – zapytał Henryk.

– Wiem, że da. I ty także to wiesz – powiedziała. – Nie znamy miasta, nie wiemy, jak przez nie przejść. Ale Kruk je zna i mógłby nas poprowadzić.

– Taa, na pewno będzie chciał zostać naszym przewodnikiem – zapewnił z ironią mężczyzna.

– A co z tym długiem? – zapytał Hubert.

– Jakieś trzy lata temu, podczas dnia handlowego, zaginął jego mały wnuk – wyjaśniła Iza. – Ja go znalazłam potem w lesie. Henryk, to się musi udać.

– Nie ma mowy, nigdzie nie pójdziemy. – Były wojskowy się zezłościł. – Twój ojciec za bardzo ci pobłażał przez ostatnie lata. Robiłaś, co ci się podobało. Pomaganie strażnikom, szabry... Gdziekolwiek działo się coś niebezpiecznego, zawsze pojawiałaś się tam pierwsza. Koniec z tym, ogarnij się i zacznij myśleć odpowiedzialnie.

– Właśnie to robię – wycedziła przez zęby.

Hubert czuł, jak bardzo jest wściekła, ale na pewno wiedziała, że Henryk jest jej jedyną nadzieją na to, iż uda się zebrać ekipę na wyprawę do miasta.

– Myślę o tych wszystkich, którzy zginęli przez demony. Chcę, żeby inni ludzie nie podzielili ich losu – dodała.

– I co? Sama pójdiesz? – zapytał Henryk. Hubert po raz pierwszy w życiu widział go zdenerwowanego. – Myślisz, że dasz radę? Czyje życie zaryzykujesz? Pozbawisz osadę strażników? A może weźmiesz na wyprawę jakiegoś rolnika?

Iza zacisnęła mocno pięści i ze złością wpatrywała się w Henryka. Jej usta zamieniły się w wąską linię. Były wojskowy też wyglądał na spiętego.

– Ja bym poszedł – odezwał się Hubert. – Z własnej nieprzymuszonej woli.

Spojrzeli na niego z zaskoczeniem, zupełnie jakby zapomnieli o jego obecności.

„Paranoja – pomyślał chłopak. – Iza chce chronić osadę, Henryk chce chronić Izę”.

– Spójrzcie, jest nas już troje – kontynuował Hubert. – Troje ludzi to dużo. Tym bardziej że im mniej nas pójdzie do tego miasta, tym lepiej, prawda? A jeśli zrobi się nieciekawie, zawsze możemy się wycofać.

– Jeżeli ktoś by nas zobaczył, szybko by się domyślił, skąd jesteśmy – powiedział Henryk. – Jaką masz pewność, że nie przyjdzie się zemścić?

– Iza mówiła, że ten Łazarz nie wychodzi poza miasto. To dlaczego miałby zrobić to tym razem?

Dziewczyna z zapalem pokiwała głową.

– Głupie dzieciaki – mruknął Henryk.

– Czyli się zgadzasz? – ucieszyła się Iza.

– Mogę z wami iść, ale nikogo nie będę przekonywał, że to dobry pomysł. Sama załatw sobie pozwolenie u ojca.

„Boże, w co ja się znowu wpakowałem? – pomyślał Hubert, wracając samotnie do wsi. – Dopiero co wróciłem do domu, a już mnie gdzieś niesie. I nie będzie tak kolorowo jak podczas szabru. Teraz to już nie zabawa. Ale dobrze byłoby mieć tę księgę. Wiedzieć, co i jak. Nie musiałbym wtedy rozkopywać grobu tej strzygi”.

Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

– Ale czy rzeczywiście ta księga może być aż taka ważna? – zapytał siebie, wchodząc do domu. Usiadł w kuchni, wyjął z kieszeni nóż i postawił go na ostrzu na stole, przytrzymując jednym palcem rękojeść.

Ludzie wiedzieliby, jak postępować z różnymi demonami. Jak się przed nimi uchronić, jak je zabić. Jakie obrządki wykonać, żeby wystrzegać się złych duchów.

– Tak – powiedział na głos. – Ludzie zawsze znajdowali ukojenie w wierze i rytuałach z nią związanych. Ta księga z całą pewnością poprawi im samopoczucie.

Następnego dnia po południu Iza zebrała wszystkich strażników w piwnicy szkolnej.

– Trzeba znaleźć demonologię – wypaliła niespodziewanie.

Wszyscy zwrócili się w jej stronę.

– Taa, a jak zamierzasz to zrobić? – zapytał Marek.

– Wiem, gdzie ona jest – powiedziała.

Hubert zauważył, że nie oparła się jak zwykle o stół z rękoma w kieszeniach i ze skrzyżowanymi kostkami. Zaczęła krążyć to w jedną, to w drugą stronę. Chłopak wyczuwał jej zdenerwowanie.

– Biblioteka Raczyńskich nadal stoi – odezwała się cicho.

– Iza, dałbym głowę, że oni wszystko zniszczyli – powiedział Stanisław. – Skąd ten pomysł, że można się dostać do biblioteki, a jej zbiory są nienaruszone?



– Szukam jej śladów już kilka miesięcy. Rozmawiałam z wieloma ludźmi z innych osad i z miasta. Kiedyś spotkałam na targu pewnego starego człowieka z innej wsi. Mówi, że wykładał na uniwersytecie i jest możliwe, że ta książka była kiedyś w bibliotece. A ostatnio rozmawiałam w Lipczynku z chłopakiem, który miał tam praktyki i widział demonologię...

Zapadła cisza. Wszyscy rozważali jej słowa.

– Możemy się włamać – ciągnęła Iza. – Jestem przekonana, że ludzie z Gniazda nam pomogą. Kruk wie, że demony im też w końcu zagrożą. Poprowadzi nas przez miasto aż do granicy z terenami Łazarza.

– No nie wiem. – Adam miał wątpliwości.

– Słuchajcie, demony czują się coraz bardziej bezkarne. – Iza uderzyła w inną strunę. – Nie pamiętacie już, co stało się z Andrzejem? A ten leszy? Włazł w sam środek naszej osady, a potem zaatakował Marzenę w lesie! Nie widzieliście wilków, jakie mieliśmy okazję spotkać podczas szabru. I zapewniam was, że to nie były zwykłe zwierzęta. A bies mógł równie dobrze dopaść kogokolwiek z nas, nie złodzieja. Mamuny prawie zabiły dziecko. W jeziorze pływa topielec. Wciągnął dorosłego faceta pod wodę i prawie go utopił!

Hubert zaczerwienił się lekko. Ten topielec zaatakował tylko jego. Czasem się zastanawiał, czy po prostu nie wplątał się w jakieś sieci.

– Wkrótce zaczną się kolejne porwania dzieci i morderstwa w naszych łóżkach! – Iza perorowała niczym w transie. – A co powiecie na temat szaleństwa Bartka? Jesteście absolutnie pewni, że powodem jego stanu była trauma? Że z rozpacz po śmierci córek, które stracił siedem lat temu, dopiero teraz zaszlachtował żonę i się powiesił? Wiem, że to niebezpieczna misja, ale to nie ja mam rodziny, które muszę chronić. Henryk podziela moje zdanie, też chce iść do miasta po księgę, a jeśli wstawicie się za mną, Sołtys na pewno da nam pozwolenie.

– Ja też chcę iść – dodał Hubert.

Piwnica pogrążyła się w milczeniu.

Chłopak słyszał muchę, która objęła się o szybę.

– Niech wam będzie – westchnął Jacek. – Ja też pójdę. Podejrzewam, że jako jeden z niewielu byłem kilka razy w tej bibliotece i w niej nie zabłądę.

Pozostali strażnicy zaczęli niechętnie kiwać głowami. Nie chcieli, żeby ich rodziny żyły w ciągłym zagrożeniu, a pomysł Izy, choć szalony, mógł dać im szansę na spokojniejsze życie. Poza tym Hubert podejrzewał, że chodzi tu też o pewien rodzaj męskiej dumy. Dziewczyna chciała ryzykować wyprawę do miasta, żeby chronić osadę. Poparł ją nowy, choć nie miał takiego obowiązku. Nikt nie chciał być tym, który by się nie zgodził.

Po chwili Iza rozłożyła na stole mapę Poznania. Była tak pokreślona i pomazana, że Hubert ledwie rozpoznał na niej rodzinne miasto. Teren Łazarza i jego ludzi był oznaczony czerwoną, przerywaną linią, obejmował dużą część Starego Miasta. Biblioteka znajdowała się prawie w jego centrum.

Dziewczyna zaprezentowała wstępną trasę, którą najwyraźniej już ustaliła z Henrykiem. Najpierw udaliby się do Gniazda, dzielnicy najbardziej wysuniętej na północ, i przekonali jej dowódcę, żeby poprowadził ich po opuszczonym mieście między innymi dzielnicami. A potem wystarczyło tylko przedrzeć się na teren Łazarza i wejść do biblioteki.

Wszystko to miało sens, ale Hubert widział wahanie w oczach reszty strażników. Nie wiadomo, co się działo na ziemi oznaczonej na czerwono, nie było pewności, czy zbiory biblioteki rzeczywiście ocalały, lecz przede wszystkim – nikt nie mógł im obiecać, że księga wciąż tam jest. Poza tym wdarcie się na teren miasta oznaczało naruszenie niepisanego paktu, a co za tym idzie, miastowi mogli zaatakować ich osadę. Ale gra była warta ryzyka.

Po przestudiowaniu mapy Iza wraz z Markiem poszli porozmawiać z Sołtysem. Jak się Hubert później dowiedział, Marian nie odniósł się do ich planu zbyt entuzjastycznie, a po awanturze, którą słyszała połowa Świącina, obiecał zwołać radę osady.

Na spotkanie rady w budynku szkoły przyszedł niemal wszyscy mieszkańcy. Wieść o tym, że strażnicy chcą włamać się na teren miasta, rozeszła się po Świącinie lotem błyskawicy.

Gdy ludzie pozajmowali miejsca, Sołtys przedstawił im całą sytuację i oddał głos Izie. Dziewczyna pewnym krokiem wystąpiła na środek i zaczęła mówić. Przypomniała o śmierci Andrzeja, Bartka i jego żony, o wszystkich atakach demonów, wspomniała też o innych tragediach, o których Hubert wcześniej nie słyszał. Mieszkańcy wsi z zapałem kiwali głowami. Przygotowawszy grunt, Iza zaczęła przedstawiać swój plan. Ale w tym momencie ludzie ochłonęli. Co innego krzyczeć, że trzeba coś z tym zrobić, a co innego przyzwolić na coś równie szalonego.

– I kto niby miałby tam pójść?! – zawołał Maciejak.

– Ja pójdę – odparła spokojnie Iza.

– I ja. – Hubert zerwał się z miejsca.

Na sali podniósł się szum, dla niektórych chłopak nadal był obcy.

– Ja im pomogę. – Na dźwięk tego głosu wszyscy niespodziewanie zamilkli. W drzwiach, oparty o framugę, stał Henryk. Hubert pomyślał, że Iza często przyjmuje podobną postawę. Zupełnie jakby była jego córką.

Oprócz ich trojga zadeklarował się jeszcze Adam i Jacek. Ostatecznie rada z sołtysem na czele niechętnie przyzwoliła na wyprawę do miasta.

Od tamtej pory zaczęły się przygotowania. Iza z Henrykiem dokładnie zaplanowali wyprawę. Był tylko jeden słaby punkt – przyjmowali za pewnik, że Kruk im pomoże.

Dzień przed wyjazdem Hubert dał Izie swoją strzelbę.

– Jest w lepszym stanie niż to, co miałaś podczas szabru.

– Dzięki. – Dziewczyna dokładnie obejrzała broń, a potem ją przeładowała.

– Zabawne, kiedyś, gdy był jeszcze internet, mieliśmy tak łatwy dostęp do wiedzy, wiadomości. Teraz szykujemy się niczym na wojnę, idąc po jedną książkę do biblioteki.

– Uhm. – Iza oderwała wzrok od swojej nowej broni i spojrzała na niego. – Dlaczego to robisz? Nikt nie oczekiwałby od ciebie, że zechcesz z nami iść. Nie musisz, jak na te kilka miesięcy, które jesteś z nami, wiele już zrobiłeś.

– A bo ja wiem... – Chłopak wzruszył ramionami. – Wierz mi lub nie, przywykłem do tego miejsca i czuję się jednym z was, choć wielu by się pewnie z tym nie zgodziło. I chcę bronić tego, co moje.

– Jutro jedziecie? – zapytała Kasia, kiedy Hubert odwiedził ją i Łukasza.

Młode małżeństwo wprowadziło się do nowo wybudowanego domu. Wymagał on jeszcze mnóstwo pracy, ale oni najwyraźniej chcieli już być na swoim. Nieważne, że oznaczało to życie w budynku w surowym stanie.

Siedzieli przy herbacie i cieście w pokoju gościnnym. Ktoś podarował młodemu kanapę i fotele z różnych kompletów, przy gołych ścianach stały meble przywiezione z szabru. Na środku pokoju leżał na podłodze kolorowy dywanik.

– Uhm. – Hubert kiwnął głową. Był zajęty jedzeniem ciasta.

– Pojechałbym z wami – westchnął Łukasz.

– Nawet o tym nie myśl – ucięła Kasia ostrym tonem.

– Mielicie już jedną podróż poślubną, nie licz na drugą – zażartował Hubert.

– Uważajcie na siebie – szepnęła dziewczyna. Z roztargnieniem mieszała łyżeczką w prawie pustym już kubku. – Wiem, że ta książka jest cenna, ale nic się nie stanie, jeśli wrócicie bez niej, bylebyście wrócili cali.

– Będziemy uważać, zobaczysz. – Hubert się uśmiechnął. – No, na mnie już czas, muszę się jeszcze spakować.

Wstał i ruszył do drzwi. Ku jego zaskoczeniu, kiedy stanął w progu i odwrócił się do gospodarzy, Kasia mocno go uścisnęła, a Łukasz podał mu dłoń. „Jakby się bali, że nie wrócę” – pomyślał.

Szedł powoli przez wieś. Nigdzie mu się nie spieszyło. Na wszelki wypadek starał się zachować w pamięci obraz spokojnej osady. Zastanawiał się, czy nie powinien mieć jakichś obaw albo złych przeczuć. Nie potrafił przewidzieć, czy wróci tu cały i zdrowy, czy wręcz przeciwnie – los rzuci go gdzieś indziej lub każe zginąć. W głowie Huberta panowała teraz pustka. Wiedział jedynie, że tak musi być. Jakby całe życie chłopaka po wojnie, które zresztą trwało tylko kilka miesięcy, miało doprowadzić go do tej właśnie chwili.

– No nic, nie ma co się nad sobą rozczulać – powiedział na głos i skierował się do domu Marka, bo uznał, że wypada pożegnać się z jego rodziną.

Marek z żoną pracował właśnie w ogródku. Ela peła grządki z warzywami, strażnik zbierał ogórki. „Co za sielski obrazek” – przemknęło Hubertowi przez myśl.

– Cześć – przywitał się. – Już wiem, do kogo się zgłoszę na naukę uprawy następnej wiosny.

Ela wyprostowała się i dłonią w rękawiczce otarła kropelki potu z czoła. Marek zaśmiał się i rzucił chłopakowi dorodnego ogórka.

– Będziesz miał na kolację.

– Dzięki. A gdzie się podziewa Ania?

– Nie mam pojęcia – odparła Ela. – Gdzieś się włóczy, a miała nam pomóc.

– Jak ją spotkam, to przekażę, że czeka na nią kupa chwastów.

– Słuchaj się Henryka – poradził Marek. – I pilnuj Izy – dodał po chwili.

– Wedle rozkazu. – Hubert zasalutował. – To na razie.

– Trzymaj się! – rzucił na odchodnym strażnik.

– Widzimy się pojutrze. – Ela pomachała gościowi. – Upiekę ciasto z rabarborem.

– Super, nie mogę się doczekać.

Z ogródka wyszedł na drogę i skierował się do domu. W kuchni zastał Anię. Ze smętną miną siedziała przy stole nad pustą szklanką.

– Widzę, że czujesz się tu jak u siebie – powiedział Hubert.

– Przepraszam, czekałam na zewnątrz, ale zachciało mi się pić i pomyślałam, że nie miałbyś nic przeciwko...

– Pewnie, że nie.

Usiadł po drugiej stronie stołu, ale Ania wciąż wpatrywała się w pusty kubek.

– Co jest? – zapytał.

– Musisz jechać? – Podniosła nagle głowę. Hubert pomyślał, że wygląda, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem.

– Ktoś musi.

– Ale dlaczego ty?

Hubert pomyślał chwilę.

– Mam broń, umiem się nią posługiwać, nie mam rodziny, o którą musiałbym zadbać... Sprawa wydaje się prosta.

Wolałabyś, żeby jechał twój ojciec?

– Nie – mruknęła. – Ale jest dużo ludzi we wsi! A cokolwiek Iza wymyśli, to ty się z nią zgadzasz! Wszyscy mówią, że to głupi pomysł.

– Ale warto spróbować – powiedział delikatnie. – Tylko nie bez mi tutaj. Co ja o tobie pomyślę? – przeszedł na żartobliwy ton.

– Po prostu wyobraziłam sobie, że moglibyście nie wrócić... Nudno by tu znowu było.

– Aha! To uważasz mnie tylko za zabawkę, dzięki której się nie nudzisz?

– Nie, to nie tak – zaczęła się tłumaczyć, ale wtedy spojrzała na niego i się uśmiechnęła. – Dobrze jest mieć kolegę.

Nie chciałabym go stracić.

– Spokojnie. Muszę tu wrócić, twoja mama obiecała zrobić ciasto rabarbarowe.

– Jak wrócisz, to dostaniesz całą blachę – zaśmiała się. – Muszę uciekać, mama wspominała coś o pieleniu ogródka, już i tak za długo się od tego wykręcałam.

Hubert, zaskoczony własnym zachowaniem, wstał od stołu i uściśnął Anię.

– Gdyby nie to, że jestem rozpuszczonym jedynakiem, mógłbym mieć taką siostrę jak ty – powiedział.

– Gdyby nie to, że jesteś takim utrapieniem, to mógłbyś być moim starszym bratem – zażartowała i uciekła.

Hubert jeszcze przez chwilę stał samotnie na środku kuchni. Naprawdę mógłby być jej starszym bratem. Nie wiedział, kiedy to dokładnie nastąpiło, ale w pewnym momencie dziewczyna przestała go podrywać i zaczęła traktować jak kolegę. A może jak przyjaciela? We wsi nie było nikogo w jej wieku, nic dziwnego, że szukała bliskiej osoby.

„Jak wrócimy, na najbliższym dniu targowym będę musiał coś jej kupić – postanowił. – Choćby drobiazg. Niech wie, że jestem jej wdzięczny za to, co dla mnie robi”.

Potem poszedł do pokoju i rozłożył na łóżku swoje rzeczy. Miał ich trochę więcej, niż kiedy tu przybył. Do plecaka przywiezionego z szabru wepchnął spodnie i bluzę moro, czarny podkoszulek, nóż myśliwski, colt i pepeszę.

– Nie wiem, skąd cię mam, może obrabowałem muzeum, ale dzięki tobie niejeden raz udało mi się ujść z życiem – powiedział do karabinu. – Ciekawe, kto miał cię wcześniej, ile wojen przeżyłeś.

„Pomóż mi przeżyć jeszcze ten jeden raz” – dodał w myślach.

Po zastanowieniu wsunął do jednej kieszeni bluzy od munduru jeszcze trzy granaty, a do drugiej zapalniki.

– Mamy załatwić sprawę po cichu, ale kto wie, czy się nie przydadacie – powiedział.

Zerknął na szafkę koło łóżka – na zdjęcie z rodzicami. Wyciągnął po nie rękę, ale zaraz ją cofnął. Gdyby zabrał fotkę ze sobą, znaczyłoby to, że nie chce wracać do Świącina, a przecież musiał, teraz tutaj był jego dom. Obok fotografii położył ząb strzygi, który dostał od księdza.

– Wrócę tu – obiecał sobie szeptem.

# ROZDZIAŁ XI

Poranne sierpniowe słońce skryło się za chmurami. Pięcioro ludzi osiodłało konie, byli gotowi do drogi. Cała wieś przyszła życzyć im powodzenia.

– Uważaj na siebie. – Hubert zobaczył, jak Sołtys ściska córkę.

– Nie zawalimy sprawy, obiecuję – obiecała Iza głośniejszym tonem.

Hubert nie był tego taki pewien.

Opuścili osadę w milczeniu, nikt nie miał ochoty na rozmowy. Chłopak położył dłoń na pepeszy, dodawała mu otuchy, za paskiem czuł ciężar colta, a w kieszeni munduru na piersi delikatnie objęły się o jego ciało granaty. Zapatrzył się przed siebie.

– Jesteś pewna, że nie zaczną strzelać, zanim wytłumaczymy im, o co nam chodzi? – chciał się upewnić Hubert.

– Na to właśnie liczę. – Iza uśmiechnęła się do swoich myśli.

Końskie kopyta lekko stukwały o asfalt. Na horyzoncie zaczęły się pojawiać pojedyncze budynki, a raczej to, co z nich zostało – sterty gruzów i ruin porzuconych przez ludzi. Las już dawno temu rozpoczął ekspansję na tereny, na których kiedyś nie miał prawa być.

Hubert przypomniał sobie ostatnią wizytę w mieście. Minęły zaledwie cztery miesiące od tego czasu. Równie dobrze mogłoby to dziać się całe lata.

„Gniazdo... Kto tak nazywa swój dom? – zastanawiał się. – Jakiś kolejny fanatyk”.

Ale Iza była pewna swego, a Hubert już zdążył się nauczyć, że córka Sołtysa, gdy jest czegoś pewna, zazwyczaj się nie myli, więc nie zamierzał podważać sensowności planu.

– Niedługo będziemy na miejscu – odezwał się Henryk. – Postarajcie się wyglądać przyjaźnie. Trzy lata temu, kiedy potrzebowaliśmy pilnie leków i udaliśmy się do Gniazda po pomoc, mało brakowało, a...

Hubert z zainteresowaniem podniósł głowę.

– ...powiedzmy, że znalazł się na szczęście ktoś myślący, kto zamiast strzelać, najpierw zapytał, czego chcemy – dokończył były wojskowy.

Z zewnątrz Gniazdo nie wyglądało nadzwyczajnie. Jego granice wyznaczało kilka zawałonych domów. Przedwojenne ulice zabarykadowano wrakami samochodów i gruzami, Hubertowi nawet się zdawało, że widzi przewrócony i wygięty słup wysokiego napięcia. Sforsowanie takich wałów obronnych, tak samo jak palisady w Świącinie, nie było niemożliwe. Jednak ktokolwiek by się na to zdobył, musiał brać pod uwagę fakt, że po drugiej stronie czekali ludzie gotowi bronić swojego terytorium za wszelką cenę.

Zatrzymali konie kilkanaście metrów przed olbrzymią metalową bramą. Huberta zainteresowało, skąd mieszkańcy Gniazda mogli ją wziąć. Z jakiegoś zakładu karnego?

Iza zeskoczyła z siodła na ziemię i trzymając ręce po bokach, z dala od ciała, powoli podeszła do bramy.

– Czy ona powinna tak robić? Sama? – zapytał Hubert.

– Ciebie prędzej by zastrzelili niż ją – odparł Henryk.

„Nie pozwoliliby jej na to, gdyby naprawdę coś jej groziło, prawda? Na pewno nie” – pocieszał siebie chłopak.

Za bramą stanął mężczyzna z karabinem wycelowanym w Izę. Wyglądał na zaskoczonego. Najwyraźniej nie spodziewał się żadnych odwiedzin.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Jestem córką Sołtysa ze Świącina – przedstawiła się Iza. – Zresztą znasz mnie. – Stała z twarzą tuż przy bramie i spojrzała wartownikowi w oczy. – Widziałam cię wiele razy na targu. Muszę zobaczyć się z Krukiem.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę. W końcu się odwrócił, zawołał jakiegoś chłopaka i szeptem coś mu wytłumaczył, zerkając przy tym na Izę.

– Musicie poczekać – powiedział do dziewczyny i z niechęcią spojrzał na czterech mężczyzn na koniach.

Hubert się nudził. Jego koń najwyraźniej też, gdyż zaczął skubać rosnący obok krzak. „Czy oni biorą nas na przeczekanie? – wściekał się. – Nie tak wyobrażałem sobie początek bardzo ważnej i niebezpiecznej misji”.

W końcu po drugiej stronie bramy stanął barczysty mężczyzna po sześćdziesiątce w otoczeniu pięciu uzbrojonych ludzi.

– Izabela – zaczął głośno – co skłoniło ciebie i... – zerknął poza nią – twoich kolegów do wizyty w Gnieździe?

– Musimy porozmawiać, to ważne.

Mężczyzna się zastanowił.

– Nieczęsto wpuszczamy tu obcych. Jednak mam wrażenie, że jestem ci to winien, co?

– Oplaci się to wam.

– No dobrze, powiedz swoim ochroniarzom, że mogą wejść, ale konie i broń niech zostawią pod opieką naszego wartownika.

Iza odwróciła się do Henryka i skinęła mu głową.

– Panowie, do dzieła – powiedział wojskowy. – Tylko nie róbcie niczego głupiego – dodał, patrząc na Huberta.

– Jasne, ja zawsze robię coś głupiego – mruknął chłopak.

Rozbrojenie mężczyzn zajęło trochę czasu. Na stole przed wartownikiem położyli wszystko, co uznali za potrzebne podczas wyprawy do biblioteki: karabiny, pistolety, noże, a nawet maczetę Henryka.

– Przyszlście w gości czy na wojnę? – Kruk zapytał Izę, kiedy Hubert delikatnie położył na stole swoje granaty.

– On tak ma. – Dziewczyna machnęła ręką.

– No co? – Hubert spojrzał na Henryka.

Mężczyzna pokręcił tylko głową.

Kruk wraz ze swoją uzbrojoną świtą poprowadził gości przez Gniazdo. Była to mała, ale zadbana osada. Składało się na nią kilkanaście domków z ogródkami i skwerek z paroma drzewami, przez środek którego płynęła wąska rzeczka. Na końcu, jako część wału obronnego, stał czteropiętrowy blok.

„Ładnie się tu urządzili – pomyślał Hubert, rozglądając się dookoła. – Ilu ludzi tu mieszka? Iza wspominała o trzydziestu. Takie mniejsze Świącino. Tyle że oni mają bliżej do opuszczonych części miasta, gdzie można szabrować do woli. No i dalej do lasu i demonów...”

Kruk zaprowadził ich do swojego domu i zaprosił do salonu.

– A jak twój wnuk? – zapytała Iza, siadając na kanapie.

– Bawi się gdzieś z dziećmi, teraz jeszcze trudniej za nim nadążyć – westchnął mężczyzna.

Iza pokiwała głową.

– Czy to naprawdę konieczne? – odezwał się Henryk patrząc na pięciu zbrojnych, którzy z naładowaną bronią stanęli pod ścianami.

– Dobrze, chłopcy, nie celujcie w naszych gości – poprosił Kruk. – A przynajmniej zanim nie dowiemy się, co ich skłoniło do tej wizyty.

Iza wzięła głęboki wdech, a potem zaczęła opowiadać. Mówiła obrazowo o demonach, atakach, które zdarzyły się w Świącinie, o demonologii.

– No dobrze... – Kruk uniósł dłoń. – Opowiesz mi o tym, jak wam ciężko, i o książce, która najprawdopodobniej nie istnieje. Wiesz, że średnio mnie to obchodzi?

– Ta demonologia istnieje – wyrzuciła z siebie pewnym tonem. – Istnieje i są w niej zawarte opisy wszystkich demonów. A teraz pomyśl, proszę, i naprawdę się nad tym zastanów, ile czasu trzeba, żeby te same demony, które nękają nas, dotarły do Gniazda? Jesteście obecnie najbardziej wysuniętą dzielnicą miasta. Za rok czy dwa las zapuka do waszej bramy, a wraz z nim demony. Będziecie potrafili się przed nimi uchronić? Sami? Bo my zajmiemy się własną walką, a inne dzielnice chyba nie dbają o to, co się z wami dzieje, prawda?

– No dobrze, to gdzie jest ta książka? I jaki interes macie do nas?

– W Bibliotece Raczyńskich – rzucił Henryk.

Kruk parsknął śmiechem, a jego ludzie spojrzeli po sobie.

– Mówicie poważnie? – zapytał po chwili.

Henryk pokiwał głową.

– Jesteście nienormalni! W Bibliotece Raczyńskich?! Zdajecie sobie sprawę, gdzie to jest?!

– Tak, w dzielnicy Łazarza – odparła spokojnie Iza.

– Odbiło wam? Czy wy go kiedykolwiek widzieliście? Bo ja miałem tę wątpliwą przyjemność. Jeden jedyny raz i tylko przez chwilę, a ciągle śnią mi się po tym koszmary. To wariat. On się uważa za proroka! Tylko ci, którzy są z nim, mają prawo do życia. Innych uznał za potępieńców, których należy powybiijać. A ludzie mu wierzą. Jak nie wierzyć prorokowi, który może zapewnić zbawienie? Kradną i zabijają w innych dzielnicach, bo są wybrańcami, bo uważają, że mogą. Robią to z wiary i są w pełni oddani swojej misji...

– Nie powiedziałaś nam nic nowego – wtrącił Henryk. – Zawsze znajdzie się ktoś, kto zabija w imię wiary, nie uważałeś na historii?

– Przychodzicie z szalonymi pomysłami i mnie obrażacie! W moim własnym domu!

Kruk aż poczerwieniał ze złości.

„Zaraz nas wyrzuci za drzwi... – Hubert pokręcił głową. – Koniec, nie uda się go przekonać”.

– Wybacz – odezwała się Iza. – Potrzebujemy przewodnika, który przeprowadzi nas przez miasto. Wy je znacie, możecie nas spokojnie pokierować przez opuszczone tereny. Nie musicie wchodzić na ziemię Łazarza. Nikt się nie dowie, że nam pomogliście. Jeśli nas złapią i powybijają w imię Boga, wy nie będziecie w to zamieszani.

– Pomyśl nad tym, czy warto – powiedział Henryk. – Nieraz szabrowaliście w mieście, znacie drogę i nie będziecie niczym ryzykować.

– Jesteście nienormalni. – Kruk pokręcił głową. – Czy aż tak ciężko jest żyć z tymi demonami, że porywacie się na coś takiego?

– Nawet sobie nie wyobrażasz.

– Dobra, jak chcecie. Mogę porozmawiać z innymi, zobaczymy, co powiedzą. Jeżeli was tu zostawię, nie zdemolujecie nic? Zresztą i tak ktoś z bronią stanie przed domem, więc nie róbcie nic głupiego.

Zostali sami.

– Przyjemniaczek – odezwał się Jacek.

– Jak myślicie, zgodzi się? – zapytał Hubert.

– Nie wydaje mi się. – Adam pokręcił głową. – On nie potrzebuje tej demonologii tak jak my.

– Zgodzi się. – Iza się uśmiechnęła pewna siebie. – Nie zauważyliście, że boi się demonów? Wie, że to tylko kwestia czasu, jak pojawią się na jego terenach, a wtedy będzie potrzebował wiedzy z demonologii tak samo jak my.

– Możemy obstawiać zakłady – ożywił się Hubert. – Ile stawiacie na to, że się zgodzi?

– A ty? Ile stawiasz? – Iza spojrzała mu prosto w oczy, aż przeszły go nieprzyjemne ciarki.

– Ehm, no, ja tylko zbieram zakłady, muszę pozostać bezstronny – wyjaśnił.

– Tak myślałam.

W domu Kruka siedzieli przez ponad dwie godziny. Hubert zdążył w tym czasie porządnie zgłodnieć.

– Nie za długo się tam naradzają? – marudził, stojąc przy oknie i wyglądając na ulicę.

– A nam ile zajęło przekonanie Sołtysa? – odparł Jacek.

– Ale to co innego.

– Nie, to dokładnie to samo – powiedział Henryk. – Muszą dobrze przemyśleć, czy im się to opłaca.

– A tak w ogóle, co to za imię... Kruk? – zapytał Hubert.

– To jest nazwisko – mruknęła Iza.

– Aaa... A Gniazdo? Skąd ta nazwa?

– Jak chcesz, to go zapytaj.

– E, wolę nie. O, idzie. I jeszcze kilku innych. – Hubert pospiesznie odszedł od okna i usiadł na kanapie.

Do pokoju wszedł Kruk, jakaś kobieta koło czterdziestki i trzech mężczyzn.

– Zgadzą się – oznajmił. – Ktoś poprowadzi was przez miasto. Konie zostaną tutaj. A gdy po nie wrócicie, będziemy mogli skopiować księgę.

Iza z satysfakcją spojrzała na Adama.

– Ale nie doprowadzimy was pod sam nos Łazarza – dodał Kruk, a mina dziewczyny zrzędła. – To zbyt niebezpieczne. Dostaniecie mapę i dokładną instrukcję, jak iść. – Zamilkł na chwilę, jakby rozważał, czy powinien mówić dalej. – Jedyna droga od nas do nich prowadzi przez park, w którym coś się zagnieżdżyło.

– Coś? – zapytał Henryk.

– Tak, coś. Jakieś smoki, jaszczurki, cholera wie co. Mówią na nie wije.

– Jak groźne są? – zapytał Jacek.

– Cóż, słyszałem, że zżarły już kilku ludzi z innych dzielnic.

– Robi się coraz ciekawiej – powiedział cicho Hubert.

– Jeżeli nadal chcecie iść, to wymarsz musi nastąpić po zmroku – oznajmił Kruk. – A teraz mam nadzieję, że nie przyszłście w gości z pustymi rękoma i wzięliście ze sobą coś do jedzenia.

– Wiecie, cały czas rozważam, gdzie lepiej byłoby mieszkać, w mieście czy na wsi – odezwał się Hubert.

Zjedli już kolację i czekali w ogródku Kruka na zapadnięcie zmroku. Dokładnie przestudiowali trasę i czuli się gotowi do drogi na tyle, na ile można być gotowym, gdy chce się wdrzeć na teren fanatyka religijnego.

– To zależy, co wolisz. Towarzystwo ludzi z innych dzielnic czy demonów z lasu – odparł Henryk. – Zapewniam cię, że w obu przypadkach takie sąsiedztwo może być niebezpieczne.

– Wolę chyba demony – zdecydował Hubert po namyśle. – Z nimi przynajmniej człowiek wie, na czym stoi – zazwyczaj chcą go zjeść. A z ludźmi to już gorzej, nigdy nie wiadomo, jakie pomysły kryją pod kopułą. My jesteśmy tego przykładem.

Wyruszyli o północy. Przy bramie odzyskali broń. Prowadziło ich dwóch mężczyzn z Gniazda.

Miasto pogrążyło się w ciemności. Niebo zasnuły gęste chmury, widoczność była prawie zerowa, jednak przewodnicy dobrze znali drogę i mogli prowadzić nawet z zamkniętymi oczyma. Czego nie dało się powiedzieć o ludziach ze Świącina. Teraz, po wojnie, nie znali tego miasta.

„Nieprzyjemnie tu – pomyślał Hubert. – Owszem, las nocą też nie jest zbyt bezpieczny, ale to miejsce przyprawia mnie o dreszcze”. Z trudem dostrzegał przed sobą sylwetkę Adama i próbował dotrzymać mu kroku. Co jakiś czas potykał się o gruzy i śmieci leżące na ziemi.

– Teraz będziemy szli naprawdę powoli – uprzedził jeden z przewodników, zatrzymując się. – Będzie tu naprawdę ciemno. Idziemy gęśgo i choćby nie wiem co, nie zbaczajcie ze ścieżki. Zrozumiano?

Pokiwali głowami, choć w ciemności nie miało to większego sensu.

Jeden za drugim wchodzili pomiędzy wysokie budynki. Nawet gdy księżyc jasno świecił, tu zawsze musiały panować ciemności. Hubert myślał, że oczy zaraz mu wyjdą z orbit. Cały czas miał je otwarte tak szeroko, jak tylko mógł, a plecy Adama były ledwo dostrzegalną plamą. Ostrożnie stawiał jedną stopę za drugą. Nagle trafił na nierówność terenu i się zachwiał. Jeden z przewodników, który szedł za nim, złapał go za ramię.

– Uważaj – szepnął, a potem wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalił ją na chwilę.

Chociaż wąty płomyk pojawił się tylko na dwie sekundy, Hubertowi zrobiło się słabo.

Okazało się, że idą betonową ścieżką nie szerszą niż pół metra. Z obu jej stron ziała przepaść głęboka na wiele metrów.

– Ja pier... – szepnął Hubert. – Gdzie wy nas prowadzicie?

– Zamknij się i idź przed siebie – warknął przewodnik.

Szedł więc z sercem na ramieniu, zastanawiając się, czy nie wolałby nie wiedzieć. Teraz, gdy był świadom, że każde potknięcie czy zachwianie równowagi może się skończyć co najmniej połamaniem kości i wylądowaniem kilkanaście metrów niżej, wcale nie miał lepszego humoru.

Odetchnął dopiero, gdy stanął na szerokiej, asfaltowej drodze. Z lewej strony była masa gruzów i przewróconych drzew, z drugiej wysoki blok.

Droga zajęła im kilka godzin. Za dnia pokonaliby ją dużo szybciej, ale woleli uniknąć zwracania na siebie uwagi.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił jeden z przewodników, kiedy zatrzymali się na niewielkim blokowisku. – Za tymi budynkami jest park. Nie ma innej drogi, no chyba że przez cudzą działnicę, ale uwierzcie, że tego nie chcecie. Na waszym miejscu poczekałbym do rana. Wije wtedy śpią, jak będziecie mieli szczęście, to się nie obudzą.

– Dobrze. – Henryk skinął głową. – Dzięki za przeprowadzenie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To nic w porównaniu z tym, na co się porywacie. Ale to wasza sprawa. Może się zobaczymy jutro.

Dwaj przewodnicy z Gniazda odeszli w ciemność.

– Proponuję odpocząć i coś zjeść, zanim wstanie słońce – powiedział Jacek.

Znaleźli zarośnięty trawnik i na nim usiedli.

– Kiedy przejdziemy przez ten park, to zatrzymamy się na dłużej po drugiej stronie – zaproponował Henryk. – Tam się prześpiemy i poczekamy na zmrok. Oby Łazarze mieli twarde sen.

Do świtu pozostały dwie godziny.

– To jeszcze raz: jaki jest plan? – zapytał Hubert.

– Raczej bez problemu przejdziemy przez barykady na ziemię Łazarza. – Henryk rozłożył przed sobą niewielką mapkę Starego Miasta z poprawkami naniesionymi przez Kruka. – Liczymy na to, że nie będą one pilnie strzeżone. Łazarze zajęli stary budynek aresztu śledczego i siedzą głównie tam. Zresztą po co miałby się obawiać jakiegokolwiek naruszenia granic, skoro to oni są boskimi wybrańcami i to oni napadają na sąsiadów, nie odwrotnie. O, w tym miejscu się przedrzemy. – Wskazał palcem punkt na mapie. – To najbliższej biblioteki.

– A co potem? Kiedy dotrzemy do biblioteki?

– To pomyśl Izy, jej się pytaj.

Wszyscy skierowali wzrok w stronę dziewczyny.

– No więc... ehm... tego do końca nie wiem – rzuciła. – Musimy po prostu dostać się do środka, a potem do archiwum, na miejscu zobaczymy, co dalej.

– Czy tylko mi się wydaje, czy ten plan nie jest zbyt szczegółowy? – zapytał Hubert.

– Nic nie wskazuje na to, żeby Łazarze wysadzili lub zniszczyli budynek biblioteki. Nie powinna też być strzeżona... Zresztą Jacek będzie znał drogę, w końcu był tam kilka razy.

– Zobaczymy, czy jeszcze cokolwiek pamiętam – odezwał się strażnik. – Ale jestem dobrej myśli.

„Czy tylko mi się wydaje, że postępujemy naprawdę głupio? – zastanowił się Hubert. – Może trzeba było trzymać stronę Henryka i nie godzić się na szalone pomysły Izy”.

Na wszelki wypadek uzbroił już granaty.

Ranek wstał zimny i mglisty. Czekali jeszcze dwie godziny po wschodzie słońca, ale zasłona gęsta jak mleko najwyraźniej nie miała zamiaru się rozwiać.

– Nie możemy już dłużej tu siedzieć – zdecydował Henryk. – Im dłużej zwlekamy, tym większe prawdopodobieństwo, że natkniemy się po drodze na ludzi.

– No to do roboty. – Adam podniósł się ze swojego plecaka, zarzucił go na ramię i wziął do ręki karabin.

– Wiecie, co robimy – upewnił się Henryk. – Idziemy cicho, szybko i modlimy się, żebyśmy tego diabelstwa nie obudzili.

– Boisz się? – Hubert lekko szturchnął Izę w żebra. – Będzie OK.

– Oczywiście, że się nie boję – prychnęła. – Ruszaj tyłek. Idziemy.

Minęli ostatnie bloki i stanęli na skraju parku.

– Widzicie coś? – zapytał szeptem Jacek.

Pokręcili głowami. Przed sobą widzieli zarysy kilku drzew i krzaków. Przez chwilę nasłuchiwali odgłosów parku, ale wszystkie wydawały się przytłumione. Coś cicho zaszeleściło w trawie, jednak nie mogło być większe od szczura.

Henryk ruszył pierwszy. Tuż za nim szła Iza, potem Jacek, Hubert i Adam. Nie mieli pojęcia, jak wyglądają wije, gdzie mogą się chować i w jaki sposób atakują. W Gnieździe powiedziano im jedynie, że są piekielnie groźne.

Hubert oddychał ciężko i przeklinał w myślach mgłę. Nic przez nią nie widział ani nie słyszał. Bał się, że w każdej chwili coś może na nich wyskoczyć. Nagle Iza zatrzymała się gwałtownie i wycelowała broń w bok. Mężczyźni zareagowali błyskawicznie – w ułamku sekundy każdy był gotowy do oddania strzału.

– Przepraszam, coś mi się zdawało – szepnęła dziewczyna.

Opuścili broń. Wtem usłyszeli cichy syk z drugiej strony.

– Co to było? – zapytał Jacek.

Hubert celował w mgłę. „To bez sensu” – myślał, gdy za nimi rozległ się kolejny syk. Gwałtownie się odwrócił.

– Idziemy, jeszcze tylko kawałek – powiedział Henryk. – Bądźcie ostrożni.

Przyspieszyli kroku, trzymając broń w pogotowiu. Syki stawały się coraz częstsze i głośniejsze. Z boków i z tyłu coś szeleściło w trawie.

Hubert spróbował uspokoić oddech. Ręce zaczęły mu się trząść. Czekał, aż jakiś trybik zaskoczy mu w głowie i instynkt podpowie, co robić. Tak było zawsze, gdy miał do czynienia z niebezpieczną sytuacją, wcześniej czy później zaczynał działać mechanicznie. Czuł się wtedy, jakby stał obok i obserwował poczynania komandosa, którym się stał. Jednak tym razem nic takiego nie nastąpiło. Nie zapaliła się żadna ostrzegawcza lampka, gdy z mlecznobiałej mgły wystrzeliła nagle głowa uzbrojona w ostre zęby. Odskoczył, unikając kontaktu z dziesiątkami małych i ostrych kłów. Stwór, gdy nie trafił na żaden opór, poleciał do przodu i machnął silnie ogonem, podcinając chłopakowi nogi. Po czym, wspierając się na dwóch łapach, odpełznął we mgłę.

– Widzieliście to?! – wykrzyczał Hubert. Myślał, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi.

– Wstawaj, młody. – Henryk złapał go za ramię i podciągnął w górę.

Inni stali do nich plecami, celując we mgłę. Nerwowo reagowali na każdy dźwięk.

Wtem, nie wiadomo skąd, wyskoczył kolejny demon. Ten był większy, miał potężniejszą paszczę i olbrzymie wijące się cielsko. Zaatakował Izę. Dziewczyna z siłą uderzyła go w trójkątny jaszczurzy łeb. Stwora odrzuciło na bok, lecz po chwili podniósł się na łapach na wysokość głowy dorosłego człowieka i zasyczał gniewnie. Henryk zareagował w mgnieniu oka. Uniósł karabin, wycelował i strzelił. Stwór zachwiał się, syknął i odpełznął.

– Trafiłeś go? – zapytała Iza.

– Chyba tak.

Co się potem stało, Hubert dokładnie nie wiedział. Zapamiętał jedynie, że najpierw patrzył w miejsce, gdzie pojawił się większy wij, a potem usłyszał łomot i zobaczył Adama szamoczącego się na ziemi z mniejszym demonem wbijającym mu zęby w krtań. Jacek kolbą karabinu uderzył stwora z taką siłą, że słychać było trzask łamanych kości. Wij ześlizgnął się z ciała strażnika i syknął z gniewem. Nagle tuż przy nim znalazł się Henryk z maczetą. Ostrze świsnęło i zatopiło się w szyi demona. Były wojskowy przycisnął butem do ziemi wijące się cielsko. Z wysiłkiem wyrwał maczetę i ciął jeszcze raz. Dopiero za czwartym razem Henrykowi udało się odrąbać stworowi łeb. Potwór do samego końca kłapał zębiskami, a ciało dygotało na ziemi jeszcze długo po tym, jak zostało oddzielone od łba.

Hubert zdołał w końcu oderwać przerażone spojrzenie od okrwawionego wijka. Przypomniał sobie o Adamie. Przypadł do niego.

– Nie, nie, nie – szeptała Iza, klepiąc chłopaka po białych policzkach.

„On nie żyje, nie mógłby przeżyć czegoś takiego” – Hubert myślał gorączkowo, patrząc na rozharatane gardło przyjaciela. Wokół ciała widniała wielka plama krwi.



– Idziemy, zanim przylezie ich więcej. – Henryk złapał Izę za ramię i szarpnął ją do pionu.

– Nie możemy go zostawić! – krzyknęła, szamocząc się.

– On nie żyje!

Gdzieś we mgle rozległ się głośny syk.

Hubert oprzytomniał. Potrząsnął głową, żeby przerwać niemoc, jaka ogarnęła go na widok martwego przyjaciela.

Usłyszał wiązaną przekleństw płynącą z ust Jacka. Henryk oddał kilka strzałów w stronę, gdzie coś zaszeleściło.

– Idziemy! – rozkazał i pociągnął za sobą Izę, nie patrząc, czy pozostali za nimi podążają.

Zaczęli biec. Syczenie na chwilę zamilkło, a potem odezwało się gdzieś po lewej.

„Kiedy się skończy ten cholerny park? – chciał wiedzieć Hubert. – Adam nie żyje. Zabiły go! Tyle krwi...”

– Widzę budynki! – krzyknął Henryk. Wciąż trzymał Izę za rękę. – Jak będą nas nadal gonić, tam się schowamy!

Plecak obijał się Hubertowi o plecy, trzymanie pepeszy utrudniało bieg, granaty podskakiwały w kieszeni.

Wbiegli pomiędzy budynki. Zatrzymali się dopiero po kilkudziesięciu metrach.

– Goni nas? – zapytał szeptem Jacek.

Nasłuchiwali przez chwilę. Świat wydawał się cichy i spokojny.

– Chyba nie... – mruknął niepewnie Henryk i wtem, gdzieś niedaleko, z gruzów potoczyły kamienie.

Syk wija nie był głośny, ale wystarczył, żeby znów zmusić ludzi do biegu.

– Tam! Jest otwarte! – Henryk wskazał na blok przed nimi.

W miejscu, gdzie powinny być drzwi do klatki schodowej, zionęła ciemna dziura.

Słyszeli dźwięki wydawane przez stwora. Był tuż za nimi.

Wpadli do budynku i zaczęli wspinać się po schodach. Demon się zawahał, a potem wystrzelił przed siebie. Pnąc się po stopniach, szybko przebierał potężnymi łapami wyposażonymi w pazury, długie grube cielsko gięło się zwinnie.

„Już po nas – przemknęło Hubertowi przez głowę. – Jesteśmy w pułapce”.

I wtedy poczuł, jak granat znów uderzył go w pierś. Olśniło go. Sięgnął po granat, wyciągnął zawleczkę i rzucił bestii pod łapy.

– Szybciej! – ponaglił innych.

Wybuch ogłuszył ich na chwilę. Tuż po nim nastąpił huk osypującego się gruzu. Jedno piętro klatki schodowej się zapadło, grzebiąc wija.

Oni jednak zatrzymali się dopiero w opuszczonym mieszkaniu na czwartym piętrze.

– Coś ty narobił?! – wykrzyczała Iza. – I jak teraz stąd wyjdziemy?! – Uderzyła Huberta pięścią w pierś. – Całe miasto słyszało wybuch!

– Iza! Uspokój się! – zganiał ją Henryk.

– Ale przez niego wszystko szlag trafi!

– Iza! On właśnie nas uratował – syknął Jacek.

Dziewczyna pięścią uderzyła w ścianę.

Henryk podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Trochę niżej jest gruzowisko – mruknął. – Zejdziemy dwa piętra i wydostaniemy się przez okno. Ale najpierw poczekamy tu trochę.

– One zabiły Adama – szeptała Iza. – Zawiedliśmy. Zawiedliśmy już na początku.

Hubert miał w sercu pustkę. Przecież to mógł być każdy z nich. Lubił Adama, a jednak gdzieś w głębi serca cieszył się, że wij nie wbił zębów w jego gardło, że to nie on leży teraz martwy w parku, rozszarpywany przez inne demony. I te myśli sprawiły, że poczuł się jeszcze gorzej. Dopadły go wyrzuty sumienia.

Wyszedł na klatkę schodową, ale tam panował spokój. Wrócił więc do pustego pokoju. Jacek siedział na ziemi i patrzył tępo przed siebie. Henryk znalazł jakąś szmatę i zaczął wycierać w nią krew z maczety.

– I co teraz? – zapytała Iza, siląc się na spokojny ton.

– Park leży daleko od zamieszkaných dzielnic – odparł Henryk, patrząc wciąż przez okno. – Najprawdopodobniej nikt nie słyszał wybuchu. A jeśli nawet... to pewno uznał, że to jakiś budynek się zawalił. A strzały... cóż. Przecież ciągle mają tu jakieś wewnętrzne wojny. Liczę, że to zignorują.

– I co? Chcesz iść dalej? – zaatakowała go niespodziewanie Iza. – Już jeden z nas zginął, a to dopiero początek. Niebezpiecznie dopiero będzie!

– Opanuj się. – Henryk uciął jej tyradę.

– Jakie opanuj się?! Adam nie żyje i to moja wina!

Henryk stanął przed nią, złapał ją za brodę i zmusił do spojrzenia mu w oczy.

– To nie twoja wina – powiedział dobitnie. – To był wypadek. Nikt się nie spodziewał tych demonów. A Adam, jak każdy z nas, z nieprzymuszonej woli wyruszył na tę wyprawę. Nie musiał, a jednak chciał, bo wierzył, że może się udać. Ogarnij się teraz. To był twój pomysł i nie pozwolę ci ot tak sobie odpuścić po jednym niepowodzeniu. Zrozumiałas?

Iza szarpnęła głową, odwróciła się gwałtownie i kopnąwszy szufladę leżącą na ziemi, wyszła z pokoju. W sąsiednim mieszkaniu trzasnęły drzwi.

– Myślę, że możemy tu poczekać do zmroku. Przespać się, odpocząć – zakomenderował Henryk, znów stając przed oknem.

Hubert oparł się bokiem o ścianę. Przyłożył czoło do zimnego betonu. Plan zaczynał się psuć. Spojrzał na Jacka, który zabrał się do czyszczenia karabinu. Najwyraźniej musiał się czymś zająć, żeby oderwać myśli od tego, co stało się parku. Henryk wyszedł do innego pokoju.

Hubert ruszył, by poszukać Izy. Znalazł ją siedzącą pod ścianą w mieszkaniu obok. Chciał ją pocieszyć, powiedzieć coś krzepiącego, ale nie znajdował właściwych słów. W milczeniu usiadł obok niej. Po policzku dziewczyny spłynęła łza.

– Śmierć Adama to nie jest zwykłe „niepowodzenie” – szepnęła, a potem położyła głowę na jego ramieniu.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział i ją objął. Dużo łatwiej być twardym mężczyzną, jeśli ma się dla kogo być twardym.

Siedzieli tak przez godzinę, czerpiąc siłę z bliskości.

– Prześpij się – odezwał się w końcu Hubert. – Ja lub Henryk staniemy na warcie.

Wstał z ziemi i rozprostował sztywne kości. Zajrzał do Jacka, który drzemał w kącie z karabinem na kolanach. A potem odszukał Henryka, który w sąsiednim pokoju stał przy oknie i patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– Jak chcesz spać, to mogę stanąć na warcie – zaproponował chłopak.

Były wojskowy drgnął i spojrzał na niego.

– Dzięki – powiedział, po czym rozwinął na ziemi porzucony dywan i położył się na nim. – Zmienię cię za kilka godzin.

– Henryk? – odezwał się po chwili Hubert.

– Co?

– Naprawdę nie powinniśmy się wycofać? Jest szansa, że się nam uda?

– Ludzie codziennie umierają. Gdybyśmy teraz się wycofali i wrócili do wioski, nawet nie próbując, jego śmierć poszłaby na marne.

Hubert pokiwał głową. Czuł się tak okropnie, że nie mógł myśleć ani o spaniu, ani o jedzeniu. Żał po śmierci przyjaciela dławił go w gardle i powodował cierpienie, niepozostawiające nadziei na to, że minie. Pozostanie w sercu na zawsze.

Krążył po mieszkaniu, wyglądając przez okna, pewien, że zaraz zobaczy na zewnątrz wije, gwałtownie reagował na najcichsze nawet dźwięki. Zajrzał do każdego mieszkania w klatce schodowej. Wszystkie wyczyszczono do cna z jakichkolwiek cennych przedmiotów. Sprawdził, czy rzeczywiście będą mogli wydostać się z bloku w sposób zaproponowany przez Henryka, a na koniec usiadł w jednym z pustych pokoi i zaczął czyścić pepeszę.

– Północ. Idziemy – zdecydował Henryk.

Od dwóch godzin żadne z nich już nie spało. Zjedli cokolwiek, choć wcale nie mieli ochoty, napili się i spakowali. Wszyscy byli milczący i pochłonięci własnymi myślami.

Wyjście z bloku nie stanowiło większego problemu. Hałda gruzu przylegająca do zewnętrznej ściany nie była stroma i choć kilka niewielkich kawałków betonu potoczyło się na dół, reszta trzymała się dobrze. Po wijach nie został nawet ślad.

Księżyc w pełni wznoszący się ponad budynkami zalał srebrną poświatą zrujnowany Poznań, który przywodził na myśl olbrzymi grobowiec.

Kierując się mapą, dotarli do barykady Łazarza. Tak samo jak ta zbudowana dookoła Gniazda, była wzniesiona z wraków samochodów, drewna, starych mebli, kaloryferów i innych niepotrzebnych już nikomu przedmiotów. Ta jednak wydawała się o wiele wyższa i potężniejsza.

– Na razie idzie gładko – zauważył Hubert.

– Na razie – potwierdził Henryk. – Teraz pójdę sam, dam wam znać, czy droga jest wolna – dodał, po czym wspiął się na barykadę. Zajęło mu to kilkanaście minut.

Hubert wstrzymał oddech i mocno zacisnął dłonie na kolbie pepeszy, patrząc, jak przyjaciel ostrożnie wygląda ponad barykadą.

– Czysto. – Dał znak ręką.

Inni po kolei zaczęli wspinać się za nim. Nie okazało się to tak proste, jak oczekiwali. Barykada była stroma, Hubert czasem nie mógł znaleźć punktu podparcia i ciągle się bał, że konstrukcja nagle runie, robiąc taki raban, że usłyszy całe miasto. A jednak się udało. W absolutnej ciszy stanęli na ziemi Łazarza. Od biblioteki dzieliło ich około dwóch kilometrów,

ale teraz nie mieli już aktualnej mapy. Nikt nie wiedział, jakie zmiany zaszyły na Starym Mieście po tym, kiedy wprowadzili się tu fanatyczni wyznawcy Boga. Szli więc tak, jak kierował ich instynkt. W końcu natrafili na zawalony budynek, który tarasował drogę. Z żadnej strony nie mogli go obejść.

– Musimy iść inną trasą – zdecydował Henryk.

– Sprawdź, czy tam jest przejście. – Hubert machnął pepeszą w stronę bocznej uliczki.

Były wojskowy kiwnął głową.

– Dobrze. Tylko nie odchodź za daleko.

– I bądź ostrożny – dodała Iza.

Lekko pochylony przebiegł przez ulicę i skradając się wzdłuż linii budynków, zatrzymał przy skřęcie. Ostrożnie wychylił głowę zza rogu. Serce zabiło mu szybciej, kiedy w cieniu dostrzegł zarys sylwetki odwróconego plecami człowieka. „Zaraz mnie usłyszysz – spanikował Hubert. – A jak nie mnie, to resztę, i zawiadomi swoich”. Nie miał innego wyjścia, musiał go obezwładnić, nie robiąc przy tym żadnego hałasu.

Wartownik przez cały czas stał odwrócony do niego plecami i palił papierosa. Hubert cicho się podkradł. Pod jego stopą zachręściło szkło. Zastygł w bezruchu, gotowy do obrony, lecz mężczyzna nie zareagował. Chłopak miał wrażenie, że serce wali mu tak głośno, że słysząc je na sąsiedniej ulicy.

– Hej – szepnęła, kiedy znalazł się od przeciwnika nie więcej niż na wyciągnięcie ręki. Tamten odwrócił się gwałtownie, upuszczając niedopałek na ziemię. Hubert błyskawicznie uderzył go kolbą pepeszy w szczękę. Mężczyzna stęknął głucho i zwałił się na ziemię.

– Yupikayey mother... no, sam wiesz – sapnął Hubert z satysfakcją.

Wtem, kiedy już miał się odwrócić i przywołać gestem ręki towarzyszy, coś, co do tej pory brał za kupkę szmat leżących pod ścianą budynku, poruszyło się i zerwało do biegu.

Zaskoczony chłopak uniósł broń gotową do strzału, ale zaraz ją opuścił. Ulicą uciekał dzieciak mający nie więcej niż dziesięć lat.

– Cholera! – zaklął Hubert.

Nie mógł strzelić dziecku w plecy. Nie miał też szans, żeby je dogonić.

– Co się stało? – Iza podbiegła i zerknęła na nieprzytomnego mężczyznę. Zaraz dołączyli do nich Henryk i Jacek.

– Dzieciak mi uciekł. Nie mogłem go zastrzelić. – Zły i zawiedziony spojrział dziewczynie w twarz.

– Boże, wszystko idzie źle – szepnęła.

– On zawiadomi innych – powiedział Hubert. – Co robimy?

Henryk potoczył dokoła wzrokiem.

– Jesteśmy tak blisko – powiedział z siłą.

– Henryk, wycofajmy się – powiedziała Iza łamiącym się głosem. – Proszę, nie pozwól, żeby ktoś jeszcze zginął.

– Masz rację. – Kiwnął głową. – Nie chcemy tu być, jak obudzą się Łazarze. A jeśli dzieciak ich nie zawiadomi, to zawsze możemy wrócić tu jutro w nocy.

– Dobra, idziemy. Musimy jak najszybciej się stąd zmyć. – Iza się odwróciła i nie czekając na nich, ruszyła dziarskim krokiem.

Nikt go o nic nie oskarżał, ale Hubert czuł się paskudnie. Znów znaleźli się w niebezpieczeństwie, tym razem z jego winy. Zawiódł.

– Nie martw się – odezwał się Henryk, kiedy wracali tą samą drogą, którą przyszli. – O tej porze większość ludzi tutaj powinna spać albo, nie wiem, modlić się i leżeć krzyżem. Nie sądzę, żeby zdołali zmobilizować się tak szybko, by nas odkryć.

Przyspieszyli. Miasto było nadal ciche niczym grobowiec.

Wtem uciekających dobiegło wycie starej syreny policyjnej.

– Szybciej! – popędził ich Henryk.

Zaczęli biec, teraz już nie musieli być cicho.

„Uda się nam, musi, jeszcze trochę” – modlił się w duchu Hubert.

Nagle kula świsnęła mu tuż nad głową.

Cała czwórka równocześnie się odwróciła. W oddali zobaczyli blask pochodni.

– Niemożliwe, nie mogli zareagować tak szybko. – Jacek z niedowierzaniem pokręcił głową.

Najważniejsze było teraz dotarcie do barykady i przejście przez nią. Gdyby opuścili ich teren, ludzie Łazarza być może zakończyliby pościg. A nawet jeśli nie, to na zewnątrz mieli większe możliwości ukrycia.

Pochodnie coraz szybciej się przybliżały. Z bocznych alejek zaczęli wybiegać ludzie.

– Nie uciekniemy im! – zakrzyknął Jacek.

Dystans pomiędzy strażnikami a ich przeciwnikami drastycznie się zmniejszał.

– Ja ich spróbuję zatrzymać – krzyknął Henryk. – Wy biegnijcie dalej.

– Nie! Zabiją cię! – sprzeciwiła się Iza.

– Idźcie! Zaraz tu będą – powiedział były wojskowy. – Już!

Iza zagryzła wargi. Hubert złapał ją za rękę.

– Dogoni nas – szepnął, nie wierząc we własne słowa.

Pobiegli.

Henryk zaś wspiął się na wysoką stertę betonu, odbezpieczył karabin maszynowy i czekał.

„Jeszcze trochę – modlił się Hubert. – Powstrzymaj ich choć na chwilę”.

Byli już na końcu ulicy, kiedy usłyszeli wybuch. Jeden, potem drugi i trzeci. Hubert się odwrócił. Na tle łuny bijącej od ognia zobaczył Henryka stojącego na wzniesieniu i rzucającego przed siebie kolejny granat. Rozległy się pierwsze strzały. Spokojna, cicha noc zamieniła się w piekło.

– Henryk, pospiesz się – szepnęła Iza.

Ale były wojskowy nie miał wcale zamiaru dołączać do nich. Stał pewnie na stercie gruzu i strzelał do każdego, kto tylko się do niego zbliżył.

Wtem Hubert zobaczył jakiś cień, który wybiegł z bocznej alejki tuż za Henrykiem.

– Neeee! – krzyknęła Iza, gdy ciemna postać zaszła ich towarzysza od tyłu.

Usłyszeli serię wystrzałów. W przerażeniu patrzyli na ciało przyjaciela szarpane dziesiątkami kul.

Iza chciała pobiec w jego stronę, ale Hubert złapał ją i zatrzymał.

– Puść mnie! – szarpała się.

– On nie żyje! – krzyknął. – Musimy przejść przez barykadę!

Dziewczyna szamotała się jeszcze chwilę, ale razem z Jackiem pociągnęli ją w pobliską uliczkę. Nie miała więcej niż dwieście metrów. Potem wystarczyło tylko skręcić w prawo i już byli przy barykadzie.

Iza zagryzła wargi, łzy ciekły jej po policzkach, ale pozwoliła strażnikom się poprowadzić.

„Henryk nie żyje, Henryk nie żyje. – Ta myśl nie dawała Hubertowi spokoju. – I to moja wina, nie powstrzymałem tego dzieciaka”.

– Jesteśmy już niedaleko – wydyszał Jacek, nie przerywając biegu.

Wypadli na wąski plac pod barykadą.

Wtem rozległ się strzał. Potem drugi. Hubert wraz z Izą przypadł do ziemi i pociągnął dziewczynę w kierunku niewielkiej sterty gruzów. Ukryli się. I wtedy zobaczył, jak Jacek pada. Pocisk roztrzaskał mu połowę czaszki. Usłyszał następną kanonadę i zobaczył iskry, gdy kula wbijała się w metal przewróconej latarni za nimi. Nie miał pojęcia, gdzie ukrywa się strzelec.

– Hubert? – odezwała się Iza. Zerknął na nią i zobaczył, że dziewczyna przyciska dłonie do brzucha. Pomiędzy palcami przeciekała jej krew.

– Jak źle jest? – Uniósł jej dłonie i zobaczył wielką, czerwoną plamę rozkwitającą na bluzce.

Zaklął i wystawił głowę znad kamienia. Kolejne pociski minęły go o centymetry, ale udało mu się wypatrzeć drania. Snajper ukrył się w zrujnowanym budynku i strzelał przez okno na parterze. Hubert, niewiele myśląc, przystawił do ramienia pepeszę i wstał. Zignorował kolejne strzały i puścił całą serię w kierunku okna. Kiedy zdjął palec ze spustu, zapadła cisza. Przypadł do Izy.

– Iza? Iza? – Brudną ręką potarł ją po policzku. Dziewczyna, blednąc coraz bardziej, spojrzała na niego nieprzytomnie.

– Nie udało się – szepnęła.

– Wyciągnę cię z tego – mówił gorączkowo, przyciskając swoimi rękoma jej dłonie do rany. – Zobacz, jesteśmy już przy barykadzie, zaraz uciekniemy.

Rozejrzał się, kilka metrów dalej leżało ciało Jacka. Kałuża krwi rozlewała się dookoła jego głowy. Znikąd nie było ratunku. „Ludzie codziennie umierają”.

„To się nie może tak skończyć! Nie może” – myślał.

– Coś wymyślimy – szeptał do Izy. – Tylko bądź przytomna, zostań ze mną.

Ale dziewczyna patrzyła przed siebie coraz bardziej zamglonym wzrokiem. Coraz słabiej przyciskała ręce do brzucha, aż w końcu jej ciało stało się zupełnie wiotkie.

– Nie, proszę, nie! Nie rób mi tego! – Hubert zakrwawionymi dłońmi poklepał ją po policzku, ale głowa dziewczyny opadła bezwładnie na bok. – Iza, nie rób mi tego – zaszlochał, przykładając czoło do jej czoła.

Po chwili do chłopaka dotarło, że znów słyszy hałas. Podniósł wzrok i zobaczył w oddali ogień. Zbliżyli się do niego.

„Zawiedliśmy – myślał. – Nie dotarliśmy nawet do biblioteki, wszystko na marne...”.

Ludzie Łazarza byli coraz bliżej. Hubert przestał czuć cokolwiek, wierzchem dłoni otarł łzy z policzka, w sercu miał pustkę. Pustkę, która zaczęła zżerać go od środka. Powolnym krokiem wyszedł na środek ulicy, w jednej ręce trzymał pepeszę, drugą wyjął z kieszeni granat.

Wrogowie nadchodzili, już potrafił rozróżnić poszczególne sylwetki.

– I tak to wszystko się kończy – powiedział gorzko.

Wyrwał z granatu zawleczkę i czekał.

– Hubert, wstawaj. Za dziesięć minut mamy zbiórkę na śniadanie.

– Co? – Hubert gwałtownie usiadł na łóżku. – Zbiórka? Śniadanie? – Spojrzał prosto w twarz Ernesta.

– Ja idę, nie zamierzam się przez ciebie znowu spóźnić. – Ernest wyszedł z hotelowego pokoju, trzaskając drzwiami.

Hubert się rozejrzał. Znów znajdował się w hotelu, w miękkiej i czystej pościeli. Wiosenne słońce świeciło przez zasłony. Zerwał się z łóżka i popędził do łazienki. Z lustra spojrzął na niego siedemnastolatek z zaczątkami zarostu, śmiałym i wesołym wzrokiem. Zdjął koszulkę, ciało, które zobaczył, było lekko zwiotczone, na brzuchu znajdowała się cienka warstwa tłuszczu. Nigdzie nie dostrzegł żadnej blizny.

– I to wszystko było tylko snem? – zapytał swojego odbicia.

Nieosiągalne, przecież jeszcze dręczył go ból po śmierci Izy, dłonie nie odwykły od dodającego otuchy dotyku pepeszy. A przede wszystkim czuł setki pocisków rozszarpujących mu ciało.

Nie wiedząc, co jest snem, a co jawą, niespiesznie się ubrał i zszedł do jadalni. Wszystko wydawało się takie nierealne. Uczniowie już pozajmowali miejsca przy stołach i jedli. Nauczycielka generał Goebbels spojrziała na niego krzywo. Hubert popatrzył na nią nieprzytomnie.

W tłumie spostrzegł rudą czuprynę Ernesta i ruszył w jego stronę.

– Siadaj, zająłem ci miejsce. – Przyjaciel nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

Hubert zerknął na swój talerz. Leżały na nim kanapki z serem i szynką, ale nie był w stanie ich zjeść. Nadal dławilo go w gardle.

– Co ci? – Ernest przyjrzał mu się uważnie.

– Nic. – Hubert tępo wpatrywał się w swoje śniadanie.

Gdy wszyscy zjedli, ustawili się przed hotelem i wyruszyli zwiedzać. Hubert wciąż nie wiedział, co się z nim dzieje.

– Przed nami widzimy katedrę Notre-Dame – ciągnęła przewodniczka monotonnym tonem. – Wzniesiono ją na wyspie na Sekwanie. Jest to budowla gotycka, zasłynęła na świecie dzięki powieści Wiktora Hugo Dzwonnik z Notre-Dame. Jej nazwę tłumaczymy jako „Nasza Pani”. Oczywiście chodzi o Matkę Boską...

Hubert rozejrzał się dookoła, nikt jej nie słuchał. Kilka osób podrygiwało ze słuchawkami w uszach, dziewczyny plotkowały na uboczu, a chłopcy opowiadali sobie niewyszukane kawały.

– Teraz wejdziemy do środka – przewodniczka poprowadziła grupę do ciemnego wnętrza katedry.

W ciemnej katedrze Hubert bezskutecznie usiłował zrozumieć, co się wydarzyło. Co ze Święcinem? Co się stało z Izą, Henrykiem, Jackiem? Przecież mieli zdobyć demonologię i wrócić do domu. Następną noc zamierzał przespać w łóżku w domu odziedziczonym po świętej pamięci nieboszczce Niwickiej. Ela upiekła dla niego ciasto rabarbarowe! Chciał zdobyć drobiazg dla Ani, dla tej wesołej nastolatki, która mogłaby być jego siostrą.

– Teraz macie dwie godziny czasu wolnego – powiedziała donośnie generał Goebbels, kiedy wyszli na zewnątrz. – Tylko nie rozłąć się za daleko!

Uczniowie liceum ogólnokształcącego z Poznania rozpieczęli się we wszystkich kierunkach.

– To idziemy pod Luwr? – zapytał Ernest.

– Pod Luwr? – powtórzył nieprzytomnie Hubert.

– No, mieliśmy się spotkać z Christelle i jej koleżanką – wyjaśnił przyjaciel. – Dobrze się w ogóle czujesz?

– Taa. – Chłopak popatrzył na mijających ich ludzi. Wszyscy spieszyli dokądś zajęci swoimi małymi przyziemnymi sprawami. Życie toczyło się, jakby żadna apokalipsa nigdy nie nastąpiła.

„To nie mógł być sen – pomyślał. – W życiu nie byłbym w stanie tego wszystkiego wymyślić. Tylu ludzi mających twarze, imiona, każdy o innym charakterze”. Zamknął oczy i spróbował sobie przypomnieć Święcino. Stara szkoła zbudowana z cegły, gdzie mieszkał Sołtys z córką, kolorowe ogródki, nowa szkoła z zimną i wilgotną piwnicą, gdzie spotykali się strażnicy. Przecież któregoś dnia, gdy mu się nudziło, zmasał z tablicy grafik wart i narysował jakiś głupi komiks! Pamiętał zapach pieczonego chleba, którym zawsze pachniała Kasia, i silny uścisk dłoni Łukasza. A nawet smród gnoju, który tyle razy wywoził ze stajni Maciejaka, starego pijaczka. To była prawda, to wszystko się wydarzyło. Musiało.

– Nie idziemy pod żaden Luwr – odezwał się. Głos mu nie zdrzął. Wiedział już, co należy zrobić.

– To co robimy? – Ernest był najwyraźniej zaskoczony dziwnym zachowaniem przyjaciela. To było do niego niepodobne. Przegapić okazję do poderwania ładnej Francuzki?

– Usiądziemy i poczekamy. – Hubert usiadł przy niewielkim stoliku w kawiarnianym ogródku.

– Na co?

– Zobaczysz. Muszę coś sprawdzić.

Podszedł do nich kelner i przyjął zamówienie. Ernest nie chciał nic, za to Hubert poprosił o kawę i już po chwili rozkoszował się jej aromatem.

– Od kiedy pijesz kawę? – zapytał Ernie.

„Od kiedy całymi nocami musiałem siedzieć na warcie” – pomyślał chłopak.

Zegary miejskie wybiły południe. Jeszcze chwila, a wszystko się zacznie. A co jeśli nie? Jeśli to był tylko koszmar? Myśli kotłowały mu się w głowie. Jednak wspomnienie ostatnich miesięcy wydawało się tak świeże. Nie wierzył, że to tylko sen. Zerknął na zegarek. Piętnaście po.

– I...? – zaczęła, gdy całym Paryżem wstrząsnął wybuch a po nim fala uderzeniowa. Przechodnie przypadli do ziemi. W samochodach uruchomiły się alarmy. Zapanowała panika. W zamieszaniu ludzie biegali wte i wewte, a niedawny strażnik ze Święcina bez pośpiechu dopił kawę, wstał od stolika i ruszył przed siebie.

– Co się dzieje? – panikował Ernest.

Zobaczył, że przyjaciel był niczym wyspa spokoju w morzu popłochu, więc bez wahania podążył za nim.

Hubert bez słowa podniósł z chodnika kluczyki od samochodu, które ktoś musiał zgubić podczas wybuchu, i podrzucił je w dłoń z uśmiechem. Kliknął na pilot przywieszony do breloczka. W oddali zamigotały światła czarnego bmw.

– Czad. – Hubert ruszył w jego stronę.

– Co ty wyprawiasz?! Przecież to kradzież! – protestował Ernest.

– Uwierz mi, nikt się tym nie przejmie.

W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na wysokiego, rudego i przestraszonego nastolatka ani na jego niższego kolegę, który ze stoiska z mapami przy niewielkim kiosku zabrał atlas samochodowy Europy, a po namyśle sięgnął jeszcze po kilka batonów.

– Wsiadaj. – Hubert otworzył drzwi pasażera i wepchnął Ernesta do środka. Sam zajął miejsce za kierownicą.

– Co my robimy?! – Ernest nie poznawał przyjaciela.

– Na początek wracamy do domu uratować kilka osób – odparł wesoło Hubert. – A potem udamy się do biblioteki.

Wsunął kluczyk do stacyjki.

„Tym razem zrobimy wszystko tak, jak należy” – pomyślał Hubert i ruszył.